TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 19 – 25 sierpnia 2026 | nr 34 (4024)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)

SENS ZAMIAST SENSACJI

Nasze dane: kto naprawdę ich pilnuje

J.D. Vance i katolicyzm po amerykańsku

Czarnogóra: turystyczny paraliż w raju

Gospodinow: opowieści podchodzą jak sarny

Psyche: jak lubić swoich sąsiadów

NOWA POLSKA WIEŚ

JUŻ NIE BIEDNA, JUŻ NIE BIAŁA, JUŻ NIE KATOLICKA

RAPORT JAKUBA DYMKA | STR. 10-15

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA
ALUPROF
LET'S BUILD A BETTER PLACE
OKNA I DRZWI I FASADY I OSŁONY PRZECIWSŁONECZNE I PERGOLE
AMBASADOR
Szymon Marciniak
Pierwsze wrażenie robi się tylko raz.
Zadbaj o wizytówkę swojego domu.
Drzwi wejściowe MB-86N Pivot Door

4 Edytorial
KS. ADAM BONIECKI, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Test dla państwa
AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

8 Komentarze

■ ■ KRAJ

16 Polska nie ma planów
MATEUSZ STAWCZYK: *Od września koniec z zabudową na podstawie tzw. wuzetek. Skutki mogą być dramatyczne*

19 Bez wytchnienia
ANNA KORYTOWSKA: *Opiekunowie dzieci z niepełnosprawnościami muszą liczyć głównie na siebie*

22 Pomóżmy naszym drzewom
ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK: *Dlaczego polskie lasy płoną?*

■ ■ PSYCHE

26 Jak dobrze mieć sąsiada
ROZMOWA Z PRZEMKIEM DZIEWITKIEM, TRENEREM INTERPERSONALNYM, *o relacjach sąsiedzkich po polsku*

■ ■ ŚWIAT

30 Wyspa, której się nie spieszy
JAN BLUZ: *O tym, czy Islandia ma wejść do Unii, zdecyduje mniejszość*

34 Siła i wolność

ARCHIWUM PRYWATNE RUKSHAR AMIRI

MIŁKA FIJAŁKOWSKA: *Dwie historie o nowym życiu Afganek w Polsce*

37 Paraliż w raju
ALEKSANDRA WOJTASZEK *o urokach i przekleństwach turystyki w Czarnogórze*

40 Zmiany na szachownicy
MAREK KĘSKRAWIEC: *Konflikt z Iranem zburzył równowagę na Bliskim Wschodzie i zachwiał pozycją USA*

■ ■ ROZMOWA

42 Ojciec, zdobywca
ROZMOWA Z MARKIEM KAMIŃSKIM, PODRÓŻNIKIEM, *o relacjach, ojcostwie i podróżach*

■ ■ WIARA

46 Wiara i Vance
PIOTR POPIOŁEK: *Biografia wiceprezydenta tłumaczy i amerykańską religijność, i politykę*

JERZY SKAKUN DLA „TP"

TEMAT TYGODNIKA

10
Nowa polska wieś
JAKUB DYMEK

Polska prowincja już nie jest biedna, nie jest biała i nie jest katolicka – nawet jeśli folwarki wciąż się na niej odradzają.

■ FELIETONY ■

9 BARTOSZ MINKIEWICZ *o selfie na defiladzie*

25 OLGA DRENDA *o największej toksynie naszych czasów*

45 WOJCIECH BONOWICZ *o nienasyceniu*

76 PAWEŁ BRAVO *o diecie władców Ameryki*

82 TOMASZ STAWISZYŃSKI *o pisarzu Clivie Barkerze*

GRAFIKA NA OKŁADCE: JERZY SKAKUN DLA „TP"

REDAKTOR PROWADZĄCY: PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

50 Gdy sacrum spotyka się z ruiną
ROZMOWA Z BORYSEM FIODOROWICZEM, ARTYSTĄ, *o sztuce i religii*

53 Cztery razy sumienie
ARTUR SPORNIAK *o pułapkach katolickiej etyki seksualnej*

55 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA SJ
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ HISTORIA

56 Radiowe przedszkole
JAN BŁASZCZAK: *Audycje Marii Wieman miały zastąpić brakujących nauczycieli muzyki. Wprowadziły rewolucję*

59 Sługa Klio. Tomasz Szarota (1940-2026)
MAREK ZAJĄC

■ ■ NAUKA

60 Śnieżka czy breja?
ŁUKASZ KWIATEK: *W zapisie geologicznym naszej planety zionie olbrzymia dziura, sięgająca nawet miliarda lat*

■ ■ KULTURA

64 Opowieści podchodzą jak sarny

MIRCO TONIOLO / SHUTTERSTOCK / EAST NEWS

ROZMOWA Z GEORGIM GOSPODINOWEM: *Ojciec dzwonił, mówił: musisz zobaczyć, jak wspaniałe pomidory urosły. To zdanie na język emocji można przetłumaczyć: starzeję się, tęsknię, przyjedź*

68 Model bliskości
PIOTR KOSIEWSKI: *Tegoroczne Manifesta opowiadają o Zagłębiu Ruhry przez historie migrantów, przemysłu, wiary i wspólnoty*

71 Czas przygód
BISERKA ČEJOVIĆ *o dobrych książkach dla dzieci*

74 Za kulisami
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Nowa Fala" w reżyserii Richarda Linklatera*

75 Powrót opowieści
LEKTOR *o zbiorze czeskich pisarzy „Sudety. Raj utracony. Opowieści z czesko-niemieckiego pogranicza"*

■ ■ ZMYSŁY

78 Zanim roześmiała się gwiazda
JULIA FIEDORCZUK *o doświadczaniu świata przez dotyk*

KS. ADAM

Boniecki: *Nie wszystko jest przesądzone*

O samych dziełach nie piszę, bo w tym miejscu numeru raczej nie publikujemy recenzji. Wystawy Borysa Fiodorowicza (rozmowa z nim w dziale Wiara) nie widziałem, nie jestem krytykiem sztuki i nigdy na pisanie recenzji z wystaw się nie porywałem. Wiem zresztą, że z czytaniem recenzji różnie bywa. Podobnie jak z samym chodzeniem na wystawy: czasu brak, dobre intencje nie wystarczą przy nawale codziennych spraw, zaraz przychodzi następny numer.

Do idei wywiadu z malarzem również podchodziłem bez entuzjazmu: na tym (chyba) polega poświęcenie się malarstwu, że się nie mówi, lecz maluje; naprawdę „mówi się" przez to, co się tworzy. Mówienie nie musi być mocną stroną artystów, dzieła powinny wystarczyć. Ale może także dlatego, że słowo nie jest specjalnością Fiodorowicza, rozmowę z nim radzę przeczytać. To, co powiedział, jest poruszające i ważne, wręcz wstrząsające.

Tytuł jego wystawy to „Error 666". Prowadzący rozmowę Dawid Gospodarek stwierdza, że brzmi to niepokojąco, na co artysta odpowiada, że tak właśnie ma brzmieć, bo „żyjemy w chaosie, który wydaje się osiągać apogeum". I dalej, że najwłaściwszym językiem do mówienia o tym jest język biblijny, w którym został, jak powiada, wychowany, ale który niesie ze sobą tyle znaczeń niezależnie od religii, jaką reprezentuje.

GRAŻYNA MAKARA

GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP

PRZEMYSŁAW

Wilczyński: *Musimy się spotkać*

Tej historii nie mogłem w ostatnich dniach wyrzucić z głowy. Łomża, wysoki blok, V piętro. Pijana matka śpi w jednym z mieszkań, jej czteroletnie dziecko wymyka się na taras. Przechodzi przez barierkę, co z dołu zauważają sąsiedzi. Ktoś coś krzyczy do dziewczynki, ktoś inny biegnie budzić matkę, ktoś trzeci dzwoni po służby. O tym, jak się to skończy, zdecydują sekundy. I ludzie – sąsiedzi.

Natrafiając na tę historię, przypomniałem sobie rozmowę **MICHAŁA KUŹMIŃSKIEGO** z trenerem interpersonalnym **PRZEMKIEM DZIEWITKIEM**. I spróbowałem przywołać w pamięci własnych sąsiadów – z kilkunastu w sumie miejsc, kilku dekad i dwóch różnych epok. Ułożyli mi się we wzór pokazujący, niestety, że się od siebie na naszych klatkach schodowych i osiedlach oddalamy. Jasne: dawna sąsiedzka bliskość oznaczała czasami i wścibskość, i niezapowiedziane wizyty, i konflikty – ale jak przypomina Dziewitek, także konflikt jest znakiem bliskości.

Żeby sobie zaufać, dodaje nasz rozmówca, musimy się spotykać (o tym, jak to jest z tym spotkaniem, opowiada pośrednio także okładkowy

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

ZAMÓW PRENUMERATĘ TERAZ STRONA 49

SPRAWDŹ PROMOCYJNĄ OFERTĘ: PRENUMERATA.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

I zaraz następuje jedno z tych zdań, które zatrzymały mnie na dłużej. Rozmówca mówi: „przestrzegasz”. Fiodorowicz odpowiada: „Nie przestrzegam, a dostrzegam”. I wyjaśnia, że nie chce nikomu mówić, co ma myśleć. Stawia pytania. Odpowiedzi? Nie ma odpowiedzi jednoznacznych. Ale (dalszy ciąg rozmowy) „w ogóle nie ma jednego stałego miejsca i czasu, które by były raz na zawsze bezpieczne (...) Nasza perspektywa nie jest jedynym obrazem świata”. Świat zaś jest jak nasz kraj: najpierw „naturalny odruch wobec człowieka w potrzebie, a później obojętność, niechęć, a wraz z nimi nastroje i działania antyukraińskie”. I tu pada coś, co wydaje mi się najistotniejsze: „Mamy w sobie odruch pomocy, ale mamy też zdolność do przemocy. Jedno nie unieważnia drugiego”. I wyznanie wiary: „Bardzo chcę wierzyć, że w ludzkiej naturze jest więcej tego pierwszego”.

Nie chcę tego rozmiękczać swoim komentarzem. Zapamiętałem, że choć ponoszę konsekwencje decyzji podejmowanych za mnie i nade mną, to przecież moje decyzje w czasach mniejszych lub większych apokalips również mają sens. W walce bezmyślności i zła z dobrem nie wszystko jest przesądzone. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego”

tekst **JAKUBA DYMKA** – pokazuje, jak mało mieszkańcy wielkich miast wiedzą o będącej tuż obok wsi i jej mieszkańcach), tymczasem właśnie spotkania i kompetencji społecznych nie nauczyła nas szkoła. Przypominają mi się setki artykułów, których autorzy (z niżej podpisanym włącznie) wychwalali polską oświatę za jej czołowe miejsca w międzynarodowych rankingach kluczowych kompetencji uczniów (tak było i już nie jest, ale to osobna historia). Za rzadko dodawaliśmy przy tych peanach gwiazdkę: podobne rankingi nie mierzą tego, na czym nam najbardziej dziś zależy. Współpracy, dialogu, zaufania. Skoro nasze dzieci w szkołach głównie ze sobą konkurują, to jak mają 20 lat później spotkać się na sąsiedzkim pikniku?

A jednak w Łomży się udało: ktoś wykazał czujność i refleks, ktoś dał sygnał do wspólnego działania. Nie wiem, czy ci trzej panowie, których można zobaczyć na nagraniu z osiedlowego monitoringu, dogadaliby się na zebraniu wspólnoty mieszkaniowej, ani czy ten z lewej nie skoczyłby do gardła temu z prawej, gdyby poczuł dym grilla idący od sąsiedniego balkonu. Wiem, że w ciągu kilkunastu sekund przeskoczyli na parterowy taras, jeden z nich z wytrzaśniętym nie wiadomo skąd kocem. I wiem, że czterolatka, zamiast na ziemię, spadła na ten trzymany przez nich wspólnie i kurczowo kawałek miękkiego materiału. ©℗

Redaktor i dziennikarz „TP” piszący na tematy edukacyjne i społeczne. Biograf ks. Jana Kaczkowskiego, współautor książki „Broad Peak. Niebo i piekło”.

TP WKRÓTCE W „TYGODNIKU”

MAGAZYN LITERACKI „KSIĄŻKI W TYGODNIKU”
Rozmowa z Maciejem Siembiedą, recenzje najnowszych powieści historycznych, najlepsze książki dla dzieci oraz specjalne strony przed ogłoszeniem laureatów i laureatek Nagrody Literackiej GDYNIA.

KONRAD CIESIOŁKIEWICZ, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
Debata o higienie cyfrowej dzieci i młodzieży toczyła się dotychczas wokół zagadnień związanych z ich dobrostanem psychicznym i fizycznym. Czas najwyższy dodać do niej jeszcze jeden aspekt, czyli wpływ nadużywania smartfonów i platform społecznościowych na bezpieczeństwo państwa.

AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI
Firma, która zaczynała jako lokalna księgarnia wysyłkowa. Studencki projekt badawczy, który stał się zalążkiem wyszukiwarki internetowej. Narzędzie do wymiany informacji między studentami, z którego dziś korzysta ponad 3 miliardy ludzi. Amazon, Alphabet i Meta, czyli właściciele Google i Faceboka. Jak doszło do tego, że Big Techy mogą dziś więcej niż niejedno państwo?

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

Zapisz się na newsletter
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/PODKAST

OBRAZ TYGODNIA

10–16 SIERPNIA 2026

W KATASTROFIE AUTOKARU NA WĘGRZECH zginęło 12 polskich pielgrzymów wracających z Medziugorja. ■■■ **DANE 19 MILIONÓW** obywateli z ok. 12 tys. placówek medycznych zostały wykradzione po cyberataku na firmę MyDr. ■■■ **MIN. MACIEJ BEREK** ma zostać sędzią Trybunału Konstytucyjnego – ogłosił Donald Tusk. Polityczność kandydatury wzbudza kontrowersje wśród prawników i polityków, także koalicji rządzącej, która deklarowała odpolitycznienie TK. ■■■ **W WARSZAWSKIEJ DEFILADZIE** uczestniczyło ok. 2 tys. żołnierzy. Prezydent Nawrocki powiedział, że „polskie siły zbrojne nie potrzebują obcojęzycznych przymiotników do tego, aby się określać"; minister Kosiniak-Kamysz odpowiedział, że skrót SAFE oznacza „s – jak sojusze, a – jak armia, f – jak fabryki, e – Europa". Premier Tusk uczestniczył w uroczystościach na Pomorzu, gdzie odbył się chrzest fregaty ORP Wicher. ■■■ **PONAD 800 UKRAIŃSKICH DRONÓW** zaatakowało Rosję; ok. 600 poleciało na Moskwę. Atak wywołał pożar w największym magazynie platformy sprzedaży internetowej Wildberries. Rosja tymczasem atakuje ukraińskie miasta, w tym Kijów, rakietami balistycznymi. ■■■ **PREZYDENT ZEŁENSKI** apeluje do Stanów Zjednoczonych o sprzedaż Ukrainie 10 proc. swoich pocisków Patriot: w wywiadzie dla CNN ukraiński przywódca powiedział, że w ten sposób jego kraj będzie zdolny zestrzelić wszystkie rosyjskie pociski balistyczne. ■■■ **MYŚLIWIEC NATO** zestrzelił drona, który naruszył rumuńską przestrzeń powietrzną. Mołdawia ocenia, że był to dron typu Szahed. ■■■**KARD. GRZEGORZ RYŚ** w liście do wiernych napisał, że przemoc i obojętność wobec przemocy są grzechem. Metropolita krakowski podkreślił, że „nie ma dnia, aby media nie informowały o nowych aktach przemocy: wobec dzieci i młodzieży, wobec kobiet, wobec migrantów, szczególnie Ukraińców". ■■■ **NIELEGALNIE DO UE** w 2026 r. przedostało się ok. 61 tys. osób – ocenia Frontex. To prawie 40 proc. mniej niż w 2025 r. Dane nie uwzględniają jednak niedawnego kryzysu w Ceucie, gdzie obecnie przebywa ok. 5 tys. nielegalnych imigrantów. ■■■ **MARCIN ROMANOWSKI**, były wiceminister sprawiedliwości w rządzie PiS, przebywa w kontrolowanym przez Rosję Naddniestrzu – przynajmniej tak wynika z jego wniosku o wydanie listu żelaznego, wysłanego do sądu w Warszawie. ■■■ **PROGRAM CPN**, zmniejszający podatek VAT na paliwo, został przywrócony do końca wakacji (sytuacja w cieśninie Ormuz daleka jest od unormowania, a Donald Trump mówi nawet o ogłoszeniu jej terytorium USA). Ceny na stacjach spadają o ok. 1 zł za litr. ■■■ **IGA ŚWIĄTEK** wygrała pierwszy turniej tenisowy w tym roku. Po zwycięstwie w Toronto zadedykowała je wszystkim, którzy mierzą się z niesprawiedliwymi ocenami i hejtem. ■■■ **POLSKIE LEKKOATLETKI I LEKKOATLECI** zdobyli 8 medali na mistrzostwach Europy w Birmingham. ■■■ **W KONOTOPIE** poświęcono 60-metrowy pomnik Matki Bożej Miłosiernej. Fundatorami dzieła są Grażyna i Roman Karkosikowie. ■■■ **NA SYCYLII** w lokalnym muzeum skradziono pięć renesansowych obrazów Antonella da Messina. ■■■ **MILIONY LUDZI** na całym świecie śledziły zaćmienie słońca. ©℗

ZBYSZEK KACZMAREK / FORUM

TEST DLA PAŃSTWA

Wyciek danych blisko 19 milionów Polaków trzeba zbadać równie skrupulatnie, jak się bada katastrofy lotnicze. Nie tylko po to, by znaleźć winnych.

AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

POWYŻEJ: Minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski podczas briefingu prasowego po wycieku danych medycznych z MyDr. Warszawa, 12 sierpnia 2026 r.

Większość z nas dopiero w zeszłym tygodniu usłyszała o istnieniu spółki MyDr, choć okazało się, że MyDr nie tylko o nas słyszała, ale wie całkiem sporo. W jej systemach przetwarzano m.in. imiona i nazwiska, numery PESEL i telefonów, numery recept, informacje o przepisanych lekach i wizytach u lekarza, a potencjalnie także o schorzeniach, choć nie wiadomo jeszcze,

Co możemy zrobić

SKRADZIONE DANE mogą służyć do zawierania umów, wynajmu samochodu lub mieszkania, a nawet prób zakładania firmy. Zastrzeżenie PESEL znacznie ogranicza te możliwości, ale nie daje pełnej ochrony. Warto więc regularnie sprawdzać, kto weryfikował nasz PESEL, i reagować na każdą podejrzaną aktywność.

NASZE DANE mogą posłużyć do phishingu, czyli podszywania się pod bank, urząd, przychodnię czy bliską osobę w celu wyłudzenia pieniędzy lub kolejnych informacji. Im więcej oszust o nas wie, tym bardziej wiarygodna może być jego opowieść. Szczególną ostrożność warto zachować wobec SMS-ów i e-maili oraz telefonów od obcych osób, które proszą o dotyczące nas informacje.

WARTO także włączyć powiadomienia o logowaniach do banku, używać unikalnych haseł oraz uwierzytelniania dwuskładnikowego. Nie zaszkodzi uruchomić powiadomień o próbach weryfikacji zdolności kredytowej, co poprzedza umowy pożyczkowe.

czy każdy z 19 mln wykradzionych rekordów rzeczywiście zawierał pełen zestaw takich danych. Nie wiemy tego, bo o zawartości wycieku poinformowali na razie jedynie sprawcy włamania.

NIE ZROBIŁA tego publicznie (przynajmniej do czasu, gdy piszemy ten tekst) spółka MyDr. W komunikatach na swojej stronie podała, że sytuację analizuje i współpracuje z odpowiednimi służbami. Czyli napisała dokładnie to, co piszą firmy, gdy chcą powiedzieć jak najmniej, nie sprawiając wrażenia, że milczą. W zasadzie jedyny konkret dla pacjenta brzmi: „dane pochodzą z 2024 roku oraz lat wcześniejszych i mogą nie obejmować wszystkich klientów MyDr ani wszystkich ich pacjentów". Cóż za ulga, w szczególności dla tych, którzy w ciągu ostatnich dwóch lat zmienili nazwisko, chroniczne schorzenia i PESEL.

MyDr miała prawo przetwarzać nasze dane, bo 12 tys. placówek medycznych (czyli ponad połowa w Polsce) powierzyło jej te informacje. Nie musiały nas pytać o akceptację, bo zgodnie z prawem przetwarzanie danych o zdrowiu jest dopuszczalne, jeśli jest niezbędne do udzielania świadczeń medycznych. Prawo rozdziela tu jednak role precyzyjnie: administratorem danych są placówki medyczne, a firmy takie jak MyDr mogą je jedynie przetwarzać. To zrozumiałe, bo stomatolog czy laryngolog ma umieć leczyć, a nie zabezpieczać systemy przetwarzania informacji, których wymaga państwo. Tyle że teraz to tych 12 tys. podmiotów może się okazać współodpowiedzialnymi za wyciek. Takie mamy prawo.

– Formalna ochrona danych rozmija się z doświadczeniem obywatela. Na papierze wszystko może być zgodne z procedurami, ale w praktyce większość z nas nie wie, jakie firmy ani skąd mają nasze dane. To podważa sens części praw, które gwarantuje nam RODO. Trudno skorzystać z prawa do usunięcia danych, jeśli nie ma się pojęcia, iż dana firma w ogóle istnieje, a tym bardziej że przechowuje informacje na nasz temat – mówi Krzysztof Kaliński, audytor i specjalista ds. cyberbezpieczeństwa z Uniwersytetu Civitas.

W TYM MIEJSCU zaczyna się odpowiedzialność państwa. Nie dlatego, że samo ma tworzyć oprogramowanie dla lekarzy. – Powinno precyzyjnie wyznaczać standardy. Nie może być tak, że każdy urząd i firma tworzy własne zasady i sposoby przechowywania danych. Powinno istnieć jedno miejsce, które określa, jak systemy mają się komunikować, jakie są minimalne wymagania bezpieczeństwa, jak kontroluje się przepływ informacji i rejestruje dostęp. Dostawcy mogą być różni, ale reguły gry muszą być te same i nie dotyczy to jedynie danych osobowych, ale ogólnie budowy krytycznych z punktu widzenia państwa systemów, gdzie podmioty publiczne i prywatne muszą zapewnić ciągłość działania i odporność sieci elektroenergetycznych, telekomunikacyjnych czy też bankowości – uważa Michał Jarski, dyrektor firmy Forcepoint zajmującej się bezpieczeństwem danych.

Zidentyfikowanie autorów przestępstw komputerowych prawie zawsze jest bardzo trudne, ale to nie powód, by za fanaberię uznać oczekiwanie, że najbardziej intymne informacje pozostaną między pacjentem a lekarzem i w bezpiecznym systemie. Pytanie, na które państwo powinno nam wszystkim dziś odpowiedzieć, brzmi: czy zauważyło moment, w którym prywatny dostawca oprogramowania zaczął obsługiwać połowę placówek w kraju, stając się elementem infrastruktury, od której zależy bezpieczeństwo danych milionów ludzi? I czy wraz z rosnącą liczbą obsługiwanych placówek wzrósł także poziom nadzoru nad MyDr?

ZASTANAWIAJĄC SIĘ, kto jest winny w tej sprawie, musimy pamiętać, że to hakerzy ukradli dane, firma ich nie upilnowała, państwo zaś ma ustalić, dlaczego było to możliwe, wskazać odpowiedzialnych i doprowadzić do ich ukarania. Jeśli okaże się, że zawiodły nie tylko zabezpieczenia MyDr, lecz także przepisy, nadzór albo jedno i drugie, państwo powinno najpierw to przyznać, a potem naprawić.

Pewnym pocieszeniem jest to, że nasi politycy – zwykle chętnie skaczący sobie do gardeł – tym razem zachowują się wyjątkowo powściągliwie. Być może przeczuwają, że problem jest systemowy, narastał latami i ma tę niewygodną cechę, że odpowiedzialność rozkłada się na więcej niż jedną ekipę rządzącą. Dobrze, żeby przy tym pamiętali, że jeśli chcą zachować wiarygodność, to zapewnienia w stylu „wiemy, gdzie był błąd, i został on naprawiony" w kontekście największego w historii wycieku wrażliwych danych polskich obywateli raczej nie wystarczą. ©℗

Trybunał na śmietniku

MAREK KĘSKRAWIEC

Miało być inaczej. Wybory prezydenckie miał wygrać Rafał Trzaskowski, a wtedy złożyłby podpis pod ustawą reformującą Trybunał Konstytucyjny i pozbylibyśmy się wszystkich sędziów dublerów oraz prezesa Bogdana Święczkowskiego, ostatniego tak silnego wspomnienia po epoce Zbigniewa Ziobry w wymiarze sprawiedliwości. W Pałacu głównym lokatorem został jednak Karol Nawrocki i nie było szans, by wrócić do projektu, który zablokował Andrzej Duda.

To była dobrze napisana ustawa. Wymuszała kompromis, bo kandydaci do TK musieli zdobyć w Sejmie aż trzy piąte głosów, ale też odpolityczniała najważniejszą instytucję stojącą na straży zgodności prawa z konstytucją. Wstęp do Trybunału otrzymałyby tylko bezpartyjne osoby, które przynajmniej od czterech lat nie pełniły funkcji posła, senatora, europarlamentarzysty oraz członka Rady Ministrów. Na dodatek prezydent nie mógłby zwlekać z ich zaprzysiężeniem dłużej niż dwa tygodnie.

Ustawa poszła do kosza, bo dla Dudy i PiS-u oznaczała pozbycie się wpływów w instytucji, która wciąż jest bastionem oporu wobec Tuska. Niestety, dziś również idee stojące za tą potrzebną reformą zostały odstawione na półkę, na czele z główną zasadą: czterech lat karencji między polityką a Trybunałem.

To nawet nie jest półka, ale śmietnik, skoro premier uznał, iż najlepszym kandydatem na zwalniające się miejsce w TK po sędzim-dublerze będzie minister Maciej Berek, a więc jego prawa ręka, odpowiedzialna za kontrolę procesu legislacyjnego oraz wdrażanie w życie strategii rządu. Trudno sobie wyobrazić bardziej polityczną funkcję i krótszą drogę od polityki do Trybunału oceniającego ustawy, które zresztą samemu się wcześniej nadzorowało. Na nic zdadzą się więc zaklęcia, że mamy do czynienia z apolitycznym państwowcem – jego droga awansu przypomina przypadki Krystyny Pawłowicz i Stanisława Piotrowicza.

Berek ma zostać zatwierdzony przez parlament i podjąć „odważne kroki" wobec Święczkowskiego, niedopuszczającego do pracy prawidłowo wybranych przez Sejm sędziów. Tyle że nie wiadomo, na czym te odważne kroki miałyby polegać, skoro Nawrocki zapewne również i od Berka nie odbierze przysięgi. Jeśli na jakiejś formie siłowego rozwiązania (po wyborze Berka koalicja miałaby 8 z 15 sędziów w TK) w stylu przejęcia TVP, będzie to co najwyżej kolejne wejście w buty PiS i powód do awantury w kampanii wyborczej. A w efekcie do dalszej degrengolady sądu konstytucyjnego, który dziś – po 11 latach politycznych manipulacji – stał się instytucją wyglądającą poważnie tylko na papierze i zupełnie pozbawioną autorytetu. ©℗

FILIP NAUMIENKO / REPORTER

Prezes Trybunału Konstytucyjnego Bogdan Święczkowski podczas konferencji. Warszawa, 10 grudnia 2024 r.

Spór o dzieła

PIOTR KOSIEWSKI

Rodzina Lubomirskich wystąpiła do sądu o zabezpieczenie dwóch obrazów ze zbiorów Lwowskiego Muzeum Historycznego prezentowanych na wystawie „Pogranicza Europy" w Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku. Chodzi o XVI-wieczny „Portret Roksolany" nieznanego autora oraz „Portret młodzieńca", tworzącego w połowie XIX w. lwowskiego malarza Alojzego Rejchana. Lubomirscy nie po raz pierwszy wystąpili z roszczeniami wobec ukraińskich muzeów. Podczas ekspozycji „Geniusz Lwowa" otwartej jesienią 2023 r. na Zamku Królewskim w Warszawie wniesiono o zabezpieczenie aż 12 obrazów pochodzących z kolekcji Lwowskiej Narodowej Galerii Sztuki. Zanim sąd rozpatrzył wniosek, dzieła wróciły do Ukrainy.

Od momentu wybuchu wojny w Ukrainie Polska wspiera sąsiadkę w ochronie dóbr kultury, m.in. przechowując jej zbiory muzealne. W ten sposób zabezpieczono część zasobów Narodowego Muzeum Sztuki im. Bohdana i Warwary Chanenków w Kijowie, najważniejszej w Ukrainie kolekcji sztuki europejskiej, oraz Lwowskiego Muzeum Historycznego. Ukraińscy muzealnicy powierzali dzieła w przekonaniu, że nie tylko będą one bezpieczne, ale też bez przeszkód powrócą na swoje miejsce po zakończeniu działań wojennych.

Spór pomiędzy potomkami Lubomirskich i Ukrainą będzie miał poważne konsekwencje dla polsko-ukraińskiej współpracy. Owszem, możliwe jest występowanie o tzw. immunitet muzealny, który zabezpiecza wypożyczone obiekty przed roszczeniami na czas trwania wystawy. Nie wiadomo zresztą, dlaczego o taki immunitet nie zadbało Muzeum Pomorza Środkowego, a wcześniej Zamek Królewski w Warszawie. Jednak najważniejsze jest wzajemne zaufanie.

W 1997 r. Polska złożyła wnioski rewindykacyjne, w tym dotyczące zbiorów Zakładu Narodowego im. Ossolińskich łącznie z Muzeum Lubomirskich. Ukraina nie tylko je odrzuciła, ale ograniczeniu uległa współpraca muzealna i biblioteczna. Konieczne stało się zbudowanie relacji na nowo.Wielką rolę w tym odegrało wrocławskie Ossolineum. Zaczęto nawet odtwarzać, tym razem nad Odrą, Muzeum Książąt Lubomirskich, a dzieła z lwowskich kolekcji trafiały na wystawy do Wrocławia.

Dziś reprezentujący Lubomirskich mecenas Maciej Obrębski przekonuje, że celem jego klientów jest wsparcie w odbudowie tego właśnie muzeum. Jednak podejmowane przez nich działania mogą doprowadzić do tego, że przez długie lata w Polsce w ogóle nie zobaczymy dzieł z lwowskich kolekcji. ©

Kule gluonowe – epokowe odkrycie fizyki

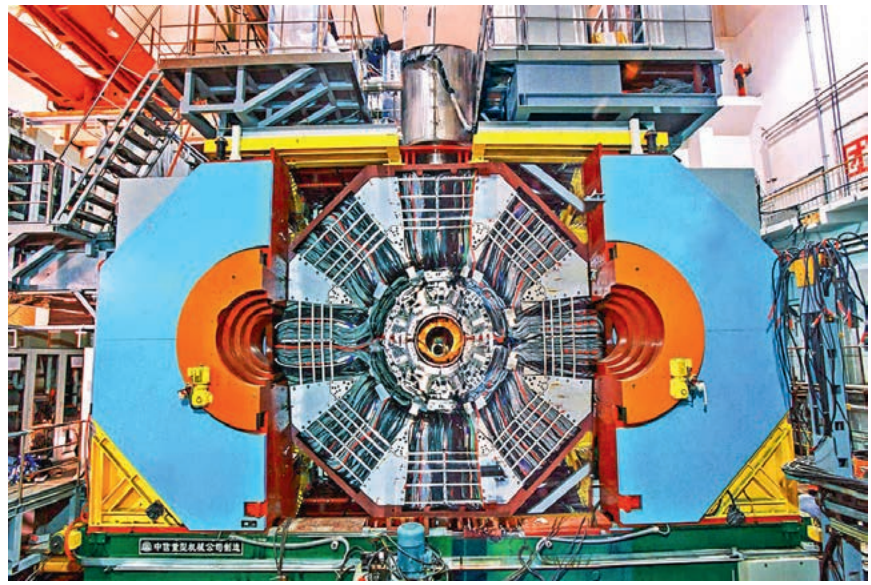

IHEP

Po przeszło pół wieku poszukiwań kul gluonowych, cząstek zbudowanych niejako z czystego oddziaływania, wykrył je pekiński detektor BES III (na zdj.).

KWANTY ▪ Od lat 60. wiemy, że protony i neutrony nie są cząstkami fundamentalnymi, lecz składają się z jeszcze mniejszych cegiełek zwanych kwarkami. Kwarki przyciągają się z najpotężniejszą znaną w fizyce siłą, nazywaną po prostu oddziaływaniem silnym. To właśnie ta siła spaja jądra atomowe i odpowiada za gigantyczną energię uwalnianą w reaktorach (i bombach) jądrowych.

Jak uczy współczesna mechanika kwantowa, z każdym fundamentalnym oddziaływaniem związana jest specyficzna cząstka (lub cząstki), stanowiąca niejako najmniejszą porcję – czyli kwant – tego oddziaływania. Przykładem takiej cząstki jest foton, będący kwantem oddziaływania elektromagnetycznego. Z kolei kwant oddziaływań silnych nosi nazwę gluonu (od angielskiego *glue*, czyli klej). Zasadniczo protony i neutrony zawierają więc nie tylko kwarki, ale także tętniącą kipiel gluonów.

Oddziaływania silne od dekad przyprawiają teoretyków o ból głowy. Są bowiem znacznie trudniejsze w opisie niż elektromagnetyzm. Dość powiedzieć, że o ile w tym ostatnim występuje tylko jeden rodzaj ładunku (o dwóch możliwych znakach: plus i minus), o tyle w teorii oddziaływań silnych są aż trzy. Ładunki te oznacza się dla wygody kolorami (czerwony, zielony i niebieski), a samą teorię oddziaływań silnych nazywa się w związku z tym chromodynamiką kwantową (ang. *quantum chromodynamics*, w skrócie QCD).

Historycznie jednym z pierwszych przewidywań QCD była możliwość istnienia cząstek zbudowanych wyłącznie z gluonów. Te tzw. kule gluonowe (ang. *glueballs*) lub gluonia, dziwaczne zgęstki czystej energii oddziaływania silnego istniejące przez kilka kwadrylionowych części sekundy, nie mają swojej analogii w elektromagnetyzmie. Ich doświadczalna detekcja od dekad stanowiła ważny test poprawności QCD i marzenie fizyków cząstek, porównywalne z polowaniem na słynny bozon Higgsa (zakończonym sukcesem w 2012 r. i Nagrodą Nobla rok później).

Wszystko wskazuje na to, że sztuka ta udała się wreszcie fizykom skupionym wokół chińskiego akceleratora BEPC II (Beijing Electron-Positron Collider II). Po niemal 20 latach cierpliwego gromadzenia i analizowania danych z detektora BES III (Beijing Spectrometer III) działającego przy pekińskim zderzaczu, badacze ogłosili, że wykryta w nim już w 2011 r. cząstka-kandydatka o oznaczeniu X(2370) ma szereg własności przewidzianych dla kuli gluonowej. Do zmierzonej już wcześniej masy (ok. dwóch i pół masy protonu) i spinu (zero) doszła obecnie cecha „równorzędnego traktowania" wszystkich rodzajów kwarków, charakterystyczna dla czysto gluonowego obiektu. Również produkty rozpadu cząstki X(2370) są takie, jakich należałoby oczekiwać po gluonium.

Wydaje się więc, że fizyka cząstek – tak teoretyczna, jak i doświadczalna – po raz kolejny zdała egzamin.

I dobrze się klei.

© TOMASZ MILLER

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

TEMAT TYGODNIKA

NOWA WIEŚ

Nasza prowincja już nie jest biedna, nie jest biała i nie jest katolicka – nawet jeśli folwarki wciąż się na niej odradzają.

TEKST JAKUB DYMEK
ILUSTRACJA JERZY SKAKUN DLA „TP"

Cofnijmy się najpierw o 30 lat: z czego ówczesna Polska lepiła sobie obraz wsi? Jedna z możliwych odpowiedzi brzmi: z filmu „Arizona", legendarnego dokumentu o – cytuję portal Culture.pl – „brzydkich, zniszczonych kobietach, potwornych mężczyznach, intrygach, knuciu, ludzkich tragediach i zwierzeniach, jakich nikt nie chciałby usłyszeć". Oraz oczywiście z alkoholu, tytułowego jabola, który zdaje się być jedynym paliwem, jakie porusza jeszcze mieszkańcami sportretowanych na ekranie Zagórek i w ogóle terenów popegeerowskich.

Arizona

Nakręcony w 1997 r. film Ewy Borzęckiej bulwersuje do dziś. Ludzie w nim pokazani piją, klną, kradną, śpią i znów piją.

Niezwykle dopracowane kadry – tyle błota, co u Chełmońskiego, tyle światła, co u Caravaggia – ogląda się jak pornografię biedy. Problem w tym, że przez wiele lat i w wielu wpływowych środowiskach „Arizona" funkcjonowała bardziej jak fotografia niż malarska impresja.

Film Borzęckiej – i inne dzieła kultury w jego stylu – dokumentowały zjawisko, które badacze, publicyści i politycy widzieli i chcieli widzieć. Czyli ludzi niezdolnych do transformacji, i to w podwójnym sensie: niezdolnych do zmiany siebie, swojej roli społecznej czy drogi zawodowej, a przez to generalnie niepasujących do nowych czasów, które dokładnie tego od nich oczekiwały.

„Oddzieleni od rzeczywistości płynną błoną alkoholu, wiodą życie w bezczasie – w taniej półnieważkości, w bełtowym transie. (...) Nie przejedzie ich samochód, bo żaden samochód tu nie przyjeżdża. Nie zamarzną przy drodze, bo przez lata bumelowania w pegeerze uodpornili swoje ciała na alkohol i na mróz. Są na poły nieśmiertelni, choć zarazem półmartwi" – pisał o nich literaturoznawca Przemysław Czapliński.

Samoobrona

Obok wsi pasywnej i zamarłej, III RP widziała jednak także twarz wsi wkurzonej i groźnej – w Andrzeju Lepperze. Urodzony kilkadziesiąt kilometrów od Zagórek lider Samoobrony pokazywał mieszczuchom, czego mają się bać. I co mogą stracić, jeśli nie wyjdą naprzeciw chłopskim oczekiwaniom.

Integracja europejska, doganianie Zachodu, demokracja – widmo ludowego populizmu wisiało nad marzeniami elit przez większość tamtej epoki. Odcięte świńskie łby, antysemickie okrzyki, groźby wywożenia polityków na taczkach, ataki na liberalne świętości, z Balcerowiczem na czele... Wieś zderzała się z miastem podczas blokad dróg i rolniczych protestów, podczas nagłaśnianych przez media afer – ale też konfrontując się z religijnością w wydaniu LPR-owsko-radiomaryjnym.

Kaczyński złamał Leppera, a potem zagospodarował wiejski bunt i wyborców, czyniąc w ten sposób PiS dominującą partią na długie lata. Jednak zanim to się stało, lider Samoobrony był w 1999 r. szóstym pod względem zaufania politykiem w kraju, a w sondażach ponad połowa Polaków popierała blokady dróg. Więcej naszych rodaków twierdziło wtedy, że nie ma żadnej partii, która by ich reprezentowała (80 proc.), niż że chce akcesji do UE (55 proc.). A spośród wszystkich grup w Polsce to rolnicy indywidualni najgoręcej sprzeciwiali się integracji europejskiej.

Wesele

Ale mieszczanin czy inteligent tamtych dziesięcioleci mógł się też przejrzeć we wsi podczas własnych z nią kontaktów. Odwiedzić rodzinę, stawić na pogrzebie bądź weselu. „Śliczne dziewczyny, ale kiedy zaczynały się uśmiechać (uśmiechy miały piękne) – odsłaniały braki w uzębieniu, wprawiające w wielkie pomieszanie. Mężczyźni umięśnieni, ale nienaturalnie chudzi, ciała suche i zniszczone, skutek ciężkiej pracy fizycznej połączonej z częstym spożywaniem alkoholu" – pisał Wawrzyniec Rymkiewicz w magazynie „Pressje".

„Różnica społeczna była wtedy, w tamtej Polsce, odczuwalna na najprostszym, fizjologicznym niemal poziomie" – konkludował filozof. Dodając oczywiście, że dziś procesy homogenizacji kultury, ujednolicające siły kapitalizmu i konsumpcjonizmu, prowadzą w przeciwną stronę. Ktoś, kto pojedzie na wieś, zobaczy nie inne dziewczyny i chłopców – lecz użytkowników tych samych chińskich platform zakupowych, przyklejonych do YouTube'a, marzących o urlopie w Dubaju.

Bo – i o tym jest ten tekst – stereotypy o wsi się zdezaktualizowały. Podobnie ↦

↦ jak jej socjologiczna i demograficzna panorama. Wieś jako „głęboka Polska", w której przechowano wszystko, co w kraju najlepsze i najbardziej tradycyjne zarazem, już nie istnieje. Jeśli chodzi o jej spójność społeczną, zamożność i oczekiwania, konserwatyzm oraz „sielskość i osobność" – prawie nic nie jest takie jak dawniej.

Przyjrzyjmy się zatem nowym obrazom.

Folwark

Jeśli ktoś chce zrozumieć, co mieli na myśli francuscy historycy pisząc o „długim trwaniu", mógłby wybrać się na Warmię lub Mazury. I odszukać współczesny folwark.

Niegdyś, wieki temu, odrabiali tam powinności na rzecz Krzyżaków chłopi przybyli z Mazowsza czy Ziemi Chełmińskiej. W późniejszych wiekach na włościach pruskiego pana czy dziedzica pracował chłop lokalny, polski, mazurski. Później w miejsce dziedzica czy pana pojawił się nowocześniejszy bauer, a odbiorcą płodów rolnych zebranych rękami mazurskiego rolnika z porozbiorowej Polski był port w Królewcu i niemiecki klient.

Po I wojnie światowej w tym samym miejscu pojawił się rolnik albo przedsiębiorstwo polskie. Na krótko. A po II wojnie światowej zjawił się tu dyrektor z mianowania, na którego dalej pracowali miejscowi, tylko w systemie innego, PGR-owskiego wyzysku.

W III RP, o ile PGR-u nie zlikwidowano, dyrektora z partii zastępował zagraniczny inwestor i właściciel, który przejmował majątek i zaprowadzał swoje porządki. I to na dywidendę akcjonariuszy, a nie pańszczyznę pracowali teraz chłopi.

A dziś? Dziś w tym samym miejscu dalej stoi folwark, tylko w ciągle rozbudowujących się kurnikach, halach i stodołach pracują dla polskiego przedsiębiorcy rolnego Kolumbijczycy, Ukraińcy i Hindusi.

Podstawowa relacja pozostaje zachowana – szefa i podwładnego dzieli granica kultury, języka i narodowości. Najemna siła robocza w gospodarce folwarcznej ma inne prawa i ograniczony zestaw wolności. Część z nich jest tu nielegalnie, pracuje pod przymusem, bez umowy lub paszportu, ściągnięta do Polski przez agencje pracy, a w najgorszym przypadku przez grupy przestępcze – o czym pisali w „Tygodniku" Anna Mikulska i Rafał Wietoszko.

Obcy

Dziś polski przemysł, rolnictwo i przetwórstwo żywności zatrudniają dziesiątki, a raczej setki tysięcy migrantów z całego świata. Oficjalne dane zakłamują ten obraz, bo ściągani przez agencje Kolumbijczycy czy Indonezyjczycy figurują w rejestrach jako pracownicy administracyjni czy „sektora usług dla biznesu". Faktycznie znajdziemy ich jednak nie w biznesowym kampusie, a stłoczonych w wiejskiej pakowni albo sortowni.

Najnowsze dane GUS mówią, że jeśli chodzi o odsetek obcokrajowców Kraków (11 proc.) czy Warszawa (14,5 proc.) nie mogą równać się z Mszczonowem (31,7 proc.) czy Mławą (27,8 proc.), które pod tym względem zostawiają daleko w tyle Paryż (ok. 22 proc.).

Widok grupek obcokrajowców, często o ciemniejszej karnacji, udających się do lokalnego sklepu, to coraz częściej element wiejskiej panoramy, jak bociek w gnieździe i Maryjka przy drodze. W dyskontach Biedronka pracują przedstawiciele 41 narodowości, w sektorze meblarskim w samej gminie Kępno znajdziemy kilkanaście tysięcy cudzoziemców z 35 krajów. Obcokrajowcy zatrudniani przez Orlen rozbudowują największe polskie inwestycje i mieszkają w miasteczkach kontenerowych w okolicach każdej z nich.

Cytowani przez „Rzeczpospolitą" przedstawiciele przemysłu mięsnego i rybnego mówią – to ładny element biznesowej nowomowy – „że zatrudnienie cudzoziemców jest niezbędne ze względów ciągłości operacyjnej". Czyli, że bez nich nie umieliby już sobie dać rady.

Segregacja

Ich obecność w małych ośrodkach jest nieproporcjonalnie bardziej zauważalna i generuje większe problemy niż w metropoliach. Nie dlatego – albo nie tylko dlatego – że miasta są bardziej liberalne i dzięki lepiej zorganizowanym usługom lepiej rozkładają społeczne napięcia, ale dlatego, że dziś na prowincji migrantów jest dużo więcej, niż ktokolwiek jest gotów otwarcie przyznać. Tych kilkuset czy kilka tysięcy obcokrajowców w powiecie rzeczywiście robi różnicę.

Słyszałem niedawno anegdotę o wielkim zakładzie przetwórstwa żywności w centralnej Polsce, którego właściciele postanowili rozdzielić pracowników do różnych baraków i kwater oraz wprowadzić narodową i płciową segregację.

REKLAMA

Podobno wcześniej Kolumbijczycy i Ukraińcy bili się o kobiety, trzeba było więc wyłonić nieformalnych liderów i podzielić zakład na osobne „wioski". Teraz „chłopstwo" jest skoszarowane, a polski nadzorca przylatuje helikopterem z Warszawy dopiero, gdy pojawią się poważniejsze problemy.

I nawet jeśli jest w tej historii o nowym apartheidzie odrobina legendy, pokazuje ona wieś, o jakiej nie słyszeliśmy. I na którą nie jesteśmy gotowi. „Szok wywoływany przez migrację daleko od polskich metropolii ma przewrotne skutki" – pisałem w książce „Rewolucja ambicji". Powodowana szokiem wieś tym liczniej głosuje na partie najbardziej migracji niechętne.

Skutkiem jest coś, co moglibyśmy nazwać „paradoksem Mentzena–Brauna". Wyborcy nastawieni antymigrancko wspierają partie, które ze względu na upodobanie do deregulacji, małego państwa i sprzyjania przedsiębiorcom nie ograniczą uzależnienia rynku pracy od migrantów. Nie jest bowiem przypadkiem, że te same branże – hodowla zwierząt futerkowych, przetwórstwo spożywcze, transport i logistyka – które zatrudniają imigrantów, konkurują dzięki relatywnie niskim kosztom pracy i rozwijają się na wsi, znajdują też najgorętszych obrońców w ugrupowaniach antyestablishmentowej prawicy.

Folwarki odradzają się w coraz to nowym wydaniu. Ale wieś jako synonim narodowej czystości: biała, polska, katolicka? To już coraz częściej mit.

Braun

A skoro o Braunie mowa: choć cieszy się on na wsi ponadprzeciętnie dużą popularnością, to nie bezrobotni ze zlikwidowanego PGR-u tworzą elektorat tego polityka. Jego wyborca jest raczej człowiekiem w średnim wieku, z własną firmą i dochodami netto przekraczającymi średnią krajową. Mimo wizerunku lidera prawicy „ultrakonserwatywnej" i głoszącego program zmiany kraju w katolicką monarchię – jedna trzecia jego wyborców w ogóle nie chodzi do kościoła albo praktykuje okazjonalnie.

Ci, którzy próbują tłumaczyć popularność Brauna klerykalizmem czy konserwatyzmem wsi, nie zauważają, że jest on reprezentantem biznesu, najczęściej pozarolniczego, który wybierze wszystko – także wyjście z UE i sojusz z Rosją – byleby ochronić swoją firmę przed drogą energią, regulacjami i podatkami. W tym sensie rzeczywiście chłopska czy postchłopska mentalność – nieufność do państwa, wiara we własne siły, dystans do przychodzących z zewnątrz reguł i wąskie pojmowanie wspólnoty – dokładają się do jego sukcesu. Ale postawy wsi lepiej niż kategorie „tradycjonalizmu" czy nawet „konserwatyzmu obyczajowego" opisują dziś kategorie „pustki społecznej" i postrzegania życia jako gry o sumie zerowej.

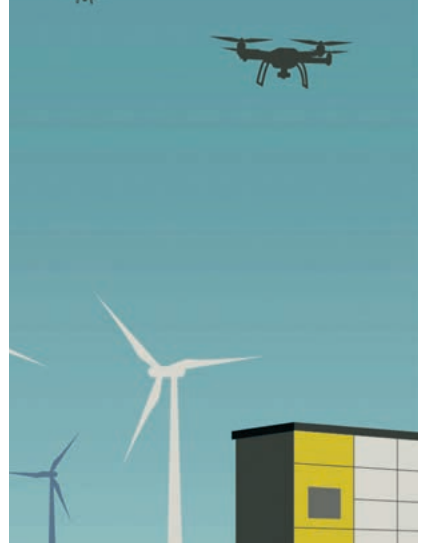

JERZY SKAKUN DLA „TP"

Dziś polski przemysł, rolnictwo i przetwórstwo żywności zatrudniają setki tysięcy migrantów. Oficjalne dane zakłamują ten obraz.

Jeśli w czymś wieś wciąż od miasta odstaje, to w poczuciu wpływu na polityczną rzeczywistość (zaledwie 4 proc. mieszkańców wsi uważa, że go ma) i poziomie niezainteresowania polityką czy nawet życiem samorządowym. Tylko 8-15 proc. mieszkańców wsi twierdzi, że kiedykolwiek spotkało jakiegokolwiek polityka z dowolnego szczebla władzy. Ale dziś na obie Konfederacje nie głosują wyłącznie babuleńki w chustach i karnie stawiający się na niedzielnych mszach gospodarze. Reprezentatywny dla tego elektoratu jest również właściciel warsztatu samochodowego albo nienawidząca Ukrainek fryzjerka.

Kontusz

Wieś jest częścią tych samych obiegów informacyjnych, co miasto. Ale inaczej postrzega hierarchie ważności potrzeb i pilności wyzwań. Polityka klimatyczna, a w szczególności podatki od emisji czy ograniczenia dla aut spalinowych są z perspektywy prowincji, gdzie wszędzie dojeżdża się autem, propozycją samobójczą i dowodem odklejenia elit. A jeśli nie rozumieją one tak prostej rzeczy jak ta, że człowiek potrzebuje samochodu, to może nie rozumieją niczego?

Jak tłumaczył to bon motem jeden z badaczy polskiej prowincji: wyborca wiejski jest prawicowy i antyunijny, ale nie dlatego, że jest konserwatywny, tylko dlatego właśnie, że jest wiejski. To znaczy, że dystans – geograficzny i nie tylko – wobec problemów, jakimi żyje debata medialna, prowadzi go do myślenia o całej polityce jako inscenizacji czy grze, którą należy gardzić.

„Politycy gadają o jakiejś pandemii, a u mnie nie ma żadnych chorych. Dajcie spokój!" – brzmiałby wyraz tej postawy. Albo: „ludzie mówią, że na Ukrainie jest wojna i bieda, a tu cały czas Ukraińcy luksusowymi samochodami przyjeżdżają". Głos na Brauna to zagranie na nosie mieszczuchom, a nawet bardziej: odrzucenie całej infosfery i aksjologii polskiego państwa. Oraz próba zastąpienia jej czymś innym, co na szczycie hierarchii wartości postawi święty spokój oraz twardy suwerenizm w dziedzinie ochrony granic (państwa) i majątku (własnego). Z Rosją można się dogadać, bo to naród słowiański i wierzący, ze zgniłym Zachodem i jego kolejnymi modami intelektualnymi – nigdy.

Czy coś nam to przypomina? Być może liberalny kontusz. Czyli powrót szlacheckiej wolności na czasy kapitalizmu. Dlatego na pierwszych stronach deklaracji programowej ugrupowania Brauna portret Matki Boskiej z dzieciątkiem sąsiaduje z postulatem likwidacji obowiązku posiadania kasy fiskalnej, obniżenia podatków i akcyz oraz zniesieniem deficytu budżetowego. Tak, to jest wiejski – a może raczej dworkowy – program.

Bogactwo

Wróćmy do początku tekstu i zadajmy pytanie, ile wspólnego z wsią biedy lat 90. ma dzisiejszy program libertarian, w szlacheckim kostiumie domagających się ↦

↦ „państwa minimum”? No właśnie. To także, paradoksalnie, skutek wzbogacenia się wsi.

Nie mamy dokładnych danych, ilu mieszka na niej multimilionerów. Ale wiemy jedno: w dzisiejszej Polsce właściciel rzeźni, warsztatu samochodowego albo średniej hurtowni spożywczej to bogacz. Podobnie, oczywiście, jak lekarz z prowincji. To – ku zdziwieniu Warszawiaków – dzieci przedsiębiorców z Podlasia (oraz zamożni Białorusini i Ukraińcy) kupują za gotówkę mokotowskie czy bielańskie mieszkania. Pozbawieni burżuazyjnej fantazji, nie myślą o apartamentach na hiszpańskim wybrzeżu, o kryptoaktywach, a tym bardziej o inwestowaniu w „kratfową piekarnio-śniadaniownię”. Ładują pieniądze w betonowe złoto i swoje dzieci.

To nie znaczy oczywiście, że problem biedy znikł. W najnowszym badaniu CBOS mieszkańcy wsi częściej niż mieszkańcy średnich i dużych miast deklarowali, że żyją skromnie lub biednie. Ciekawie robi się jednak, gdy spojrzymy na to, w jakim odsetku. Bo choć wieś deklaruje niższą zamożność, to za żyjących biednie lub skromnie uważa się i tak mniejszość jej mieszkańców (14 proc.), a tych, którzy twierdzą, że grozi im bieda i boją się, że sobie nie poradzą, jest jeszcze mniej (5 proc.). A więc między 80-95 proc. mieszkańców prowincji żyje średnio, dobrze lub wręcz luksusowo.

Na wsi pojawiły się radykalnie wzmocnione przez kapitalizm III RP zjawiska – pogłębiające się różnice dochodowe i emigracja kobiet do miast, zaburzająca proporcje płci, tworzenie się lokalnych fortun, które szukają ujścia i... dostarczają jeszcze więcej kapitału do miast.

Proporcjom płci warto się przyjrzeć osobno. Według KRUS mediana wieku kobiety mieszkającej na wsi w 2024 r. wyniosła 42,8 lat. „Wyraźnie widać trend opóźniania macierzyństwa, który w połączeniu ze spadającą liczbą kobiet w wieku rozrodczym przyspiesza proces depopulacji” – czytamy na stronach „Tygodnika Rolniczego”. W trakcie ostatniej dekady ze wsi ubyło 385 tys. kobiet w wieku rozrodczym, a różnica w liczbie kobiet i mężczyzn to już 166 tys. Czy rolnik, który szuka żony, ją znajdzie? Raczej nie. A jeśli znajdzie, to czy będą mieli dzieci? Cóż, współczynnik dzietności na wsi zrównał się z miejskim i wynosi 1,15.

JERZY SKAKUN DLA „TP”

Właściciel rzeźni, warsztatu samochodowego albo średniej hurtowni spożywczej to bogacz. Podobnie, oczywiście, jak lekarz z prowincji.

Bieda

Fantazje części polityków czy publicystów o tym, że tradycyjne wiejskie rodziny odbudują przyszłość naszej ojczyzny, nie znajdują więc potwierdzenia w faktach. Za to proporcja osób w wieku poprodukcyjnym do pracujących niedługo się na wsi zrówna – szybciej niż w mieście. Rozważania, jakie koszty utrzymania usług wygeneruje to dla NFZ i ZUS oraz budżetów samorządów, rozsadziłyby ramy tego tekstu.

Co się zaś tyczy innych przejawów rozwarstwienia: w ostatnich latach wzrósł zarówno poziom oszczędności na wsi, jak i mierzący nierówności współczynnik Giniego (0,318, a w mieście 0,304). To oznacza, że dysproporcje między zamożnymi i niezamożnymi mieszkańcami wsi są dziś większe niż między bogatymi i nędzarzami w miastach. Choć dalej są takie regiony – spójrzmy na wieś w Sudetach – gdzie większość (!) zabudowy mieszkaniowej powstała przed 1945 r., a dym z kominów zabija więcej ludzi niż w miastach.

Nawet w wychodzeniu z popegeerowskiej nędzy nie ma równowagi: pod Poznaniem i w pobliżu niemieckich inwestycji nie ma śladu po bezrobociu, ale są takie miejsca na Warmii i dawnym województwie słupskim, gdzie podwyższona stopa bezrobocia utrzymuje się do dziś. Powiaty Bartoszycki, Braniewski i Kętrzyński mają 16-procentową stopę bezrobocia rejestrowanego. Problem widać także np. w uzależnieniu mieszkańców województwa warmińsko-mazurskiego (zagęszczenie PGR było tam największe) od świadczeń pomocy społecznej, czyli od zasiłków. Pobierają je tam 372 osoby na 10 tys. mieszkańców, podczas gdy w całej Polsce jest to 221 osób (dane za 2024 r.).

Wieś stała się bardziej zróżnicowana, to prawda. Ale jedna prawidłowość powtarza się we wszystkich regionach: najszybciej rosną dochody tych, którzy założyli własną działalność. Ci bowiem zarabiają, w kwotach nominalnych, pięciokrotność tego, co przed wejściem Polski do UE. I to z nich wywodzi się nowa warstwa społeczna – prowincjonalna klasa średnia. Różniąca się od miejskiej nie tyle gustem i aspiracjami, co percepcją zagrożeń – w odróżnieniu od Warszawiaków czy Wrocławian mieszka nie w kamienicach czy blokach, ale w domach, więc wszystko, co mogłoby podnieść koszty utrzymania nieruchomości, samochodu, ziemi i przydomowej firmy, jest dla niej większym zagrożeniem, niż dajmy na to krach na giełdzie.

Status

„Poparcie, którego udzieliła prowincja Kaczyńskiemu [ponownie] w 2019 r., wynikało w znacznie mniejszym stopniu z jego konserwatywnych i prokościelnych deklaracji, a w znacznie większym – z tego, że okres jego rządów utożsamiała ona ze swoim sukcesem ekonomicznym, zaś w przekazie PiS odnalazła szacunek i afirmację dla swojej kulturowej odrębności, antidotum na wielkomiejską pogardę” – zauważał w książce „Transnaród” Jacek K. Sokołowski.

Co ciekawe: z kampanii 2019 czy 2020 r. pamiętamy przede wszystkim wojny kulturowe, a nie to, jak bardzo materialny postęp na wsi (Kaczyński) i wręcz „uczynienie ze wsi polskiego motoru rozwoju” (Morawiecki) podkreślali idący po reelekcję liderzy PiS. Fakt, że prowincja przestała wierzyć w obietnice wielkich funduszy – i że zmienił się profil wiejskiego wyborcy – przyczyniły się do gorszego wyniku PiS w 2023 r.

Antyunijne czy eurosceptyczne – wracając na chwilę do Brauna, Mentzena (czy prezydenta Nawrockiego) – nastroje nie wynikają więc z nędzy. Przeciwnie: to raczej obawa o utratę już zgromadzonych majątków lub poziomu życia i konsumpcji, któremu zagrażają nowe regulacje. Dzisiejsza emocja polexitowa jest odległa od strachu przed UE, który w czasach referendum akcesyjnego rozsiewały poprzedniczki Konfederacji – LPR i Samoobrona. Wtedy chodziło o to, że zachodni przedsiębiorcy wykupią polskie ziemie, skolonizują nas i zniszczą nasze tradycje. Dziś obawa jest przeciwna: że jesteśmy zbyt bogaci dla innych, którzy nam to zepsują.

Nawet w odniesieniu do natury i tradycji politycy konserwatywnej prawicy posługują się językiem antyregulacyjnej retoryki. Jak Braun, który mówił o Zielonym Ładzie jako „narzucaniu przedsiębiorcom branży leśnej i rolno-spożywczej komunistycznych ekoschematów".

Ujednolicające się wzory konsumpcji między wsią a miastem – te same torebki, perfumy, wakacje – tworzą problem dla tych drugich, to znaczy mieszczuchów. To oni boją się, że przestali gonić horyzont dobrobytu, a tuż za nimi widać „hordę mieszkańców wsi". Coraz zamożniejsza wiejska migracja do miast irytuje się z kolei, że za nimi gonią Ukraińcy.

Ameryka

Ale granica między miastem a wsią także zaczyna zanikać. Saldo migracji z miasta na wieś jest zbliżone albo nawet większe – 53 do 44 tys., według różnych danych – niż liczba Polaków wracających z emigracji. Co oznacza właściwie emigrację podwójną – mieszczanie przenoszą się na wieś, ale i wzbogaceni za granicą Polacy wracają do rodzinnych miejscowości. W 2022 r. saldo migracyjne wsi było najlepsze w historii pomiarów po 1989 r.

Jednocześnie pojawiają się konflikty. Przybysze mają np. pretensje do „lokalsów", że głośno używają maszyn rolniczych. „Nowi mieszkańcy terenów wiejskich nie powiększają niestety kapitału pracowników terenów wiejskich, a tereny te traktują zazwyczaj jedynie jako miejsce do odpoczynku i zamieszkania. Napływowi mieszkańcy w kwestii pracy wybierają dojazdy do miast lub pracę zdalną" – czytamy na stronach „Witryny Wiejskiej".

W jakimś sensie wieś się także amerykanizuje – nowi mieszkańcy postrzegają dom jako inwestycję i chcą zwiększyć jej wartość albo potencjał turystyczny, więc sprzeciwiają się rozwojowi rolnictwa i przemysłu w okolicy. Co jawnie uderza w lokalną społeczność, która chciałaby nowych miejsc pracy. To nasz nimbyizm – od „*Not in My Backyard*", nie na moim podwórku.

„Nowi osadnicy nie akceptują niektórych rodzajów produkcji rolnej, tych szczególnie, które umniejszają wartość pozyskanej dla celów nierolniczych ziemi. Rolnicy, mieszkańcy wsi, są natomiast przeciwni metodom rabunkowej gospodarki zasobami przyrody, które stosują nowi mieszkańcy" – czytamy w opracowaniu „Konsekwencje zmian demograficznych dla rozwoju rolnictwa".

Polska

Miejsko-wiejskie obwarzanki, tracące rolniczy charakter, przeżywające gwałtowny boom budowlany i głodne nowych usług dla nowych mieszkańców, należą do najszybciej rosnących gmin w Polsce. Tam też oglądamy największe architektoniczno-urbanistyczne potworki. Pozornie „luksusowe" blokowiska na ziemi wydartej polu, brak usług publicznych, Żabka na każdym rogu, zamiast żabek w stawie – to już nowy standard rozwoju. Tu też widzimy amerykanizację – w ostatniej dekadzie przybyło nam zmotoryzowanych suburbiów.

Jednak i to jest już coraz bardziej „swojskie". Normą stało się doklejanie do wsi poniemieckich obwarzanka nowych domów, a na Mazowszu czy w centralnej Polsce zabudowa łanowa. Przed nami jeszcze fala inwestycji budowlanych i mieszkaniowych pod powstający Port Polska. Z drugiej strony te wsie, które wsiami pozostały, i tak się wyludniają.

A zatem: czy obudowana paczkomatem, dyskontem, Żabką, zaopatrywana przez chińskie towary i pracę migrantów wieś jest dalej polską wsią? A może właśnie jest nią tym bardziej?

© JAKUB DYMEK

TYGODNIK POWSZECHNY

Redaktor naczelny: Jacek Stawiski
Redaktor senior: ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Okoński
Dyrektor artystyczny: Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik), Monika Białkowska, Zuzanna Radzik, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Marek Rabij, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Michał Kuźmiński, Piotr Mucharski, Monika Ochędowska (kierowniczka), Anita Piotrowska
Felietony: Natalia de Barbaro, Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński
Fotoedycja: Katarzyna Bułtowicz, Grażyna Makara (kierowniczka)
Skład: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (dyrektorka serwisu), Katarzyna Rutkowska, Jacek Taran
Marketing i sprzedaż: Justyna Hernas (dyrektorka ds. reklamy), Karolina Biały, Mateusz Gawron, Ewelina Lebida, Anna Pietrzykowska, Janusz Sieńko, Monika Sochacka, Jakub Starzyk, Barbara Ziajka
Dział IT: Piotr Muszyński, Katarzyna Rejdych, Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Paweł Musiałek, Maciej Müller, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Stefan Sękowski, Piotr Sikora, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Marcin Tusiński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Jacek Stawiski (wiceprezes), Edyta Płachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Erste Bank Polska S.A.
konto: 76 1910 1048 2102 0388 3361 0001
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

TygodnikPowszechny.pl

KRAJ

Zwarta zabudowa wsi Sułoszowa w województwie małopolskim.

POLSKA NIE MA PLANÓW

W dwóch trzecich kraju, gdzie gminy nie uchwaliły miejscowych planów zabudowy, decyzje o inwestycjach wydaje się na podstawie tzw. wuzetek. Z końcem wakacji ta ścieżka się zamyka – konsekwencje mogą być dramatyczne.

MATEUSZ STAWCZYK

Studia uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego we wszystkich gminach w Polsce wygasną z mocy prawa 31 sierpnia 2026 r. Ma je zastąpić plan ogólny gminy, nowy akt prawny wprowadzony reformą z 2023 r. Gmina, która planu nie uchwali, straci możliwość wydawania nowych decyzji o warunkach zabudowy.

Na 12 sierpnia plan ogólny uchwaliło 519 z 2479 polskich gmin, czyli ledwie 20,9 proc. Mieszka w nich 9,46 mln osób, a w pozostałych 1960 gminach 28,03 mln, które od 1 września zostaną bez planu ogólnego i bez studium określającego politykę przestrzenną i kierunki rozwoju gminy.

To nie jest zaległość urzędnicza, która rozejdzie się po kościach. To jest sytuacja, w której w kraju, gdzie własny dom bywa najważniejszą i najdroższą decyzją życia, państwo od trzech lat nie potrafi odpowiedzieć obywatelowi na najprostsze pytanie: czy „tutaj" wolno mi go zbudować?

ŁUKASZ GĄGULSKI / PAP

Teraz odpowiada na nie miejscowy plan zagospodarowania przestrzennego, określający długoterminowe reguły dla większego obszaru. Tam, gdzie planu miejscowego nie ma, przyznaje się „wuzetkę", czyli decyzję o warunkach zabudowy dla konkretnej działki. Szczegółowe plany miejscowe posiada tylko niecała jedna trzecia powierzchni kraju, więc w praktyce częściej w obiegu są „wuzetki". I to właśnie ta druga ścieżka zamyka się od 1 września w gminach, które nie uchwalą sobie planu ogólnego.

Państwo rewiduje KPO

Upłynięcie tego terminu nie oznacza automatycznie zakazu budowania. Jeśli gmina ma plany miejscowe, to pozostaną one w mocy i na ich podstawie można będzie dostać pozwolenie. Wydane wcześniej „wuzetki" również zachowają ważność. Tym samym rozpoczęte już inwestycje publiczne – drogi, szkoły czy wodociągi – będą kontynuowane. Wnioski o warunki zabudowy złożone przed 1 września urząd rozpatrzy na dotychczasowych zasadach.

Zamyka się co innego. Gmina nieposiadająca strategicznego planu ogólnego nie wyda żadnej nowej decyzji o warunkach zabudowy ani o lokalizacji inwestycji publicznej. Nie uchwali planu miejscowego określającego szczegóły dla wybranej okolicy, nie przyjmie też wniosku o zintegrowany plan inwestycyjny, czyli ścieżkę, na której deweloper uzgadnia z gminą własny plan.

Temat nie jest popularny, bo okazuje się skomplikowany nawet na poziomie terminologii. Jego skutki nikogo jednak nie oszczędzą, a ich zasięg wyznacza jedna porażająca liczba. Najwyższa Izba Kontroli ustaliła, że w 2021 r. (do dziś niewiele się zmieniło) plany miejscowe obejmowały 31,7 proc. powierzchni kraju. NIK podsumowała to jednym zdaniem: „po blisko 20 latach obowiązywania ustawy o planowaniu pokrycie planistyczne powierzchni kraju nie przekroczyło nawet 1/3". Na pozostałych dwóch trzecich Polski wszystko przechodzi przez warunki zabudowy, czyli dokładnie przez tę ścieżkę, która się zamyka.

Jeśli ktoś kupił działkę w gminie bez planu miejscowego i zechce wystąpić o warunki zabudowy we wrześniu, to ich nie dostanie, dopóki rada nie uchwali planu ogólnego, a to zajmuje zwykle kilkanaście miesięcy. Projekt i umowa z wykonawcą czekają razem z nim; ewentualna promesa kredytowa też ma swój termin ważności.

Deweloper budujący blok w mieście jest w innej sytuacji, bo miasta są pokryte planami miejscowymi znacznie lepiej niż wsie. Skutki omijają więc w większości miasta i trafiają w ich obrzeża oraz w gminy podmiejskie, czyli tam, gdzie powstaje większość nowych domów jednorodzinnych.

14 lipca 2026 r. Rada Ministrów przyjęła (kolejną) rewizję Krajowego Planu Odbudowy. Jednym z jej punktów było obniżenie celu, który Polska zapisała wobec Brukseli w sprawie planów ogólnych. Wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz wyjaśnił to tak: „80 proc. gmin miało mieć w najbliższym czasie uchwalone plany zagospodarowania przestrzennego. To na starcie było niemożliwe do realizacji. My to zmniejszyliśmy do 40 proc., a w tej rewizji zmniejszamy do 30 proc."

Obowiązek ustawowy nie zmienił się przy tym ani trochę. Prawie 2,5 tys. polskich gmin nadal ma uchwalić plan ogólny do 31 sierpnia i żadna nie została z tego zwolniona. Zmienił się wyłącznie próg, przy którym reforma zostanie uznana za rozliczoną wobec Unii Europejskiej. Do tego wystarczy niecała jedna trzecia kraju.

Plany bez głowy

Jeśli ktoś myśli, że w tej części Polski, gdzie plany uchwalono, nie ma problemów – bardzo się myli. Profesor Przemysław Śleszyński z Instytutu Geografii i Przestrzennego Zagospodarowania PAN policzył, ilu ludzi zmieściłoby się na terenach, jakie polskie gminy przeznaczyły w planach miejscowych pod zabudowę mieszkaniową. Wyszło 60 mln, w kraju liczącym 37,5 mln mieszkańców, którego prognozy demograficzne są katastrofalne. Rekordzistą jest podwarszawski Prażmów: 10 300 mieszkańców i tereny przygotowane na 255 800 osób.

Za rozrzuconą zabudowę płacą wszyscy pozostali mieszkańcy gminy, przez drogę, wodociąg, odbiór odpadów i dowóz dzieci do szkoły. Śleszyński ujmuje to jedną liczbą: „Koszt uzbrojenia obszarów najbardziej rozproszonych jest dla gminy nawet 100 razy większy od kosztów zabudowy zwartej".

I to jest sedno reformy. Dopóki gmina mogła zgadzać się na zabudowę w dowolnym miejscu, ten rachunek rósł bez ograniczeń, a płacili go także ci, którzy mieszkają w zwartej zabudowie i tych kosztów nie powodują.

W tej kwestii rachunek dla całego kraju zrobił zespół Komitetu Przestrzennego Zagospodarowania Kraju PAN, w składzie Adam Kowalewski, Tadeusz Markowski i Przemysław Śleszyński. Ich zdaniem chaos przestrzenny kosztuje Polskę 84,3 mld zł rocznie (wydatki całego państwa w 2026 r. mają wynieść 919 mld zł). Najwięcej tracimy na transporcie i dojazdach oraz na uzbrojeniu rozproszonego osadnictwa.

Jest też przyczyna prawna, mniej znana. Studium określające długofalową politykę przestrzenną gminy nigdy nie było źródłem prawa powszechnie obowiązującego, więc decyzje o warunkach zabudowy nie musiały być z nim zgodne. ↦

↦ Widać to w liczbach z kontroli NIK. W 17 zbadanych gminach wydano 1664 „wuzetki", z czego ponad 36 proc. na terenach, które w studium tej samej gminy miały zupełnie inne przeznaczenie. W skali kraju w 2021 r. wydano 155,4 tys. pozytywnych decyzji o warunkach zabudowy, a odmowy stanowiły tylko 5,1 proc.

Wniosek? Narzędzie pomyślane jako wyjątek od planowania stało się w Polsce podstawowym dokumentem. Zgłoszone w KPO plany ogólne gmin są więc pierwszą poważną próbą zapanowania nad chaosem przestrzennym, kosztującym nas fortunę.

Żeby to wymusić, ustawa wprowadziła twardy limit. Gmina może wyznaczyć strefy z zabudową mieszkaniową najwyżej do 130 proc. obliczonego zapotrzebowania na nową zabudowę. Po raz pierwszy w polskim planowaniu przestrzennym rada gminy musi więc komuś odmówić.

Policzyliśmy to sami

Ile gmin ma dziś uchwalony plan ogólny? Liczby w obiegu nie dają się złożyć w sensowną całość. Dla marca podawano 1,3 proc. gmin, dla maja 4 proc., dla początku lipca 10 proc. „Rzeczpospolita" w jednym z materiałów pisała o 32,5 proc. Główny Urząd Statystyczny nie prowadzi takiej statystyki.

Na pewno jednak tempo w skali kraju jest powolne i może je tłumaczyć niedobór urbanistów. Plan ogólny to nie formularz do wypełnienia: trzeba policzyć, ilu mieszkańców gmina będzie musiała pomieścić, zbilansować to z terenami już zabudowanymi, wyznaczyć strefy i zamknąć całość w cyfrowych danych przestrzennych, które muszą się zgadzać co do metra. To praca na kilkanaście miesięcy dla zespołu, który się na tym zna, a takich jest niewiele.

Gminy w większości nie mają własnych urbanistów i zamawiają plany na zewnątrz, więc mała gmina wiejska konkuruje o tego samego wykonawcę z miastem powiatowym i zwykle przegrywa. Do tego rozporządzenie mówiące, jak wyznaczać obszary uzupełnienia zabudowy, weszło w życie dopiero 16 maja 2024 r., osiem miesięcy po starcie reformy.

Dlatego policzyliśmy to wszystko sami w ramach portalu Dzialkopedia.pl. Nasz monitor planów ogólnych sprawdza wszystkie 2479 gmin, każdą osobno, a status potwierdza w Biuletynie Informacji Publicznej gminy albo w dzienniku urzędowym województwa. Ostatniej weryfikacji dokonaliśmy 12 sierpnia.

Za rozrzuconą zabudowę płacimy wszyscy.

Koszt uzbrojenia obszarów najbardziej rozproszonych jest nawet 100 razy większy od kosztów zabudowy zwartej. Ustawa miała to zmienić.

Z naszych obliczeń wynika, że tylko w 519 gminach (20,9 proc.), zamieszkanych przez 9,46 mln osób, uchwalono plan ogólny. W 1160 gminach (46,8 proc.) wyłożono projekt publicznie, w 671 (27,1 proc.) prace nad nim dopiero rozpoczęto, a w 129 (5,2 proc.) nie zrobiono nic. Prawie 29 mln Polaków obudzi się więc 1 września w gminach bez planów ogólnych. Nawet w tych, gdzie projekt już istnieje, od wyłożenia do uchwały minie kilka miesięcy, bo trzeba rozpatrzyć uwagi i uzgodnić projekt z różnymi organami.

Patrząc z poziomu regionów, jest jeszcze gorzej. W Świętokrzyskiem plan uchwaliła jedna gmina ze 102, w Podkarpackiem sześć ze 160. Na drugim końcu są województwa pomorskie i lubuskie, gdzie ma go niemal co trzecia gmina.

Żeby do 1 września zdążyły wszystkie gminy, plan ogólny musiałby być uchwalany średnio w 98 gminach dziennie przez pozostałe 20 dni. Ponad 190 razy szybciej niż przez całą reformę. To nierealne. Co się stanie z inwestycjami w gminach, które 1 września obudzą się bez planu ogólnego?

Termin wejścia w życie przepisów przesuwano już dwa razy, z końca 2025 r. na 30 czerwca 2026 r., a potem na 31 sierpnia. Logika podpowiada trzecie przesunięcie. Tyle że planowanie własnego domu na podstawie takiego założenia może być kosztowne. Jeżeli ustawodawca terminu nie ruszy, wniosek złożony 1 września w gminie bez planu ogólnego poczeka na decyzję do czasu uchwalenia go. Ale nawet wtedy mogą pojawić się problemy.

Kto na tym straci

5 stycznia 2026 r. wojewoda lubelski unieważnił w całości plan ogólny gminy Godziszów, która przewidziała tereny mieszkaniowe na ponad 130 proc. obliczonego zapotrzebowania, czyli wbrew ustawie, która ma ukrócić przeszacowane plany.

Z kolei w Boronowie (był jedną z dwóch gmin w powiecie lublinieckim, które zdążyły) rada uchwaliła plan ogólny 20 maja. Miesiąc później właściciel jednej z działek zaskarżył go, gdyż jego grunt nie trafił do strefy z zabudową jednorodzinną. 24 lipca rada przekazała skargę do WSA w Gliwicach, wraz z wnioskiem o jej oddalenie.

Odpowiedź gminy jest lekcją tego, jak działa reforma. Plan ogólny nie ustala przeznaczenia konkretnej działki, tylko dzieli gminę na strefy planistyczne; szczegółowe przeznaczenie ustala dopiero plan miejscowy. Działka skarżącego jest niezabudowana i już w planie miejscowym z 2012 r. była terenem rolnym z zakazem nowej zabudowy, więc plan ogólny niczego mu nie odebrał.

Najważniejszy jest jednak argument arytmetyczny. Gmina, której prognozy przewidują spadek liczby mieszkańców, ma zaplanowaną zabudowę dla ponad czterokrotnie większej liczby ludzi, niż wynosi ustawowe maksimum, a mimo to kolejny właściciel gruntu uważa, iż został pominięty, i idzie z tym do sądu. Diagnoza prof. Śleszyńskiego z PAN przestaje być więc abstrakcją o nadmiernych potrzebach mieszkaniowych i staje się odmową doręczoną konkretnemu człowiekowi.

Po wejściu w życie planu ogólnego, każda polska gmina wyda nowe warunki zabudowy, ale wyłącznie w obszarach uzupełnienia tejże zabudowy. Sposób wyznaczania ich granic określa rozporządzenie z 2 maja 2024 r. i jest to procedura mechaniczna: skupiska co najmniej pięciu budynków, z buforem 10 metrów wokół nich.

Właściciel działki, która wypadnie tuż za tą linią, nie przegra sporu politycznego ani sąsiedzkiego. Przegra z geometrią rozporządzenia, ale skutek okaże się wymierny. Strefa planistyczna z planu ogólnego musi znaleźć się w operacie szacunkowym, bo przesądza o potencjale inwestycyjnym gruntu. Różnica w cenie między działką w strefie z zabudową mieszkaniową a sąsiednią w strefie otwartej – bywa kilkunastokrotna.

Tymczasem odszkodowania za to nie ma. Brak jest przepisów przewidujących odpowiedzialność odszkodowawczą gminy za uniemożliwienie albo istotne ograniczenie dotychczasowego sposobu

korzystania z nieruchomości. Roszczenia uruchamia dopiero zmiana planu miejscowego, nie planu ogólnego.

Trzeba przy tym powiedzieć rzecz, której nie lubi żadna ze stron sporu. Wartość, którą reforma odbiera części działek, w znacznej mierze nigdy nie istniała. Była zapisem w dokumencie, za którego konsekwencje mieli zapłacić wszyscy pozostali mieszkańcy gminy. To jednak żadna pociecha dla kogoś, kto kupił działkę za realne pieniądze i planował na niej dom.

Warunki nie dla każdego

Mamy więc dziś sytuację, w której lokalny urząd nie może nic obiecać, a notariusz radzi poczekać z podpisaniem umowy. Może to będą trzy miesiące, może pół roku. Jedni odpuszczą z żalem działkę, którą ktoś inny kupi niemal od razu, ale nie będzie wiedział, czy zrobił dobrze. Żaden z nich nie zna zapewne pojęcia „obszar uzupełnienia zabudowy".

Praktycznie sytuacja wygląda tak. Jeżeli działka leży w planie miejscowym, cała ta historia w zasadzie jej nie dotyczy. Jeżeli planu miejscowego nie ma, status swojej gminy trzeba sprawdzić w Biuletynie Informacji Publicznej i liczyć się z tym, że po 1 września przez jakiś czas nie da się uzyskać dokumentów potrzebnych do budowy, bo w 2/3 gmin planu ogólnego nie uchwalono. Wniosek złożony do tego dnia pójdzie na szczęście starym trybem.

Jest jeszcze zmiana, o której prawie nikt nie mówi. Od 1 stycznia 2027 r. wniosek o warunki zabudowy złoży wyłącznie osoba z tytułem prawnym do nieruchomości. Dziś można wystąpić o nie na cudzą działkę i właśnie tak ostrożny kupujący sprawdza przed zapłatą, czy da się na niej coś zbudować. Od 2027 r. ta droga się zamyka. Kupujący najpierw zapłaci za ziemię, a dopiero potem dowie się, czy wolno mu tam cokolwiek zbudować.

Reforma miała uporządkować kraj, w którym plany mieszkaniowe przewidziano na 60 mln ludzi. Diagnoza była na pewno trafna, ale wykonanie doprowadziło do sytuacji, w której miesiąc przed terminem plan ma mniej niż jedna piąta gmin, a człowiek z odłożonymi pieniędzmi i znalezioną działką nie wie, czy będzie mógł na niej postawić dom dla własnej rodziny. © MATEUSZ STAWCZYK

Autor jest współtwórcą serwisu Dzialkopedia.pl

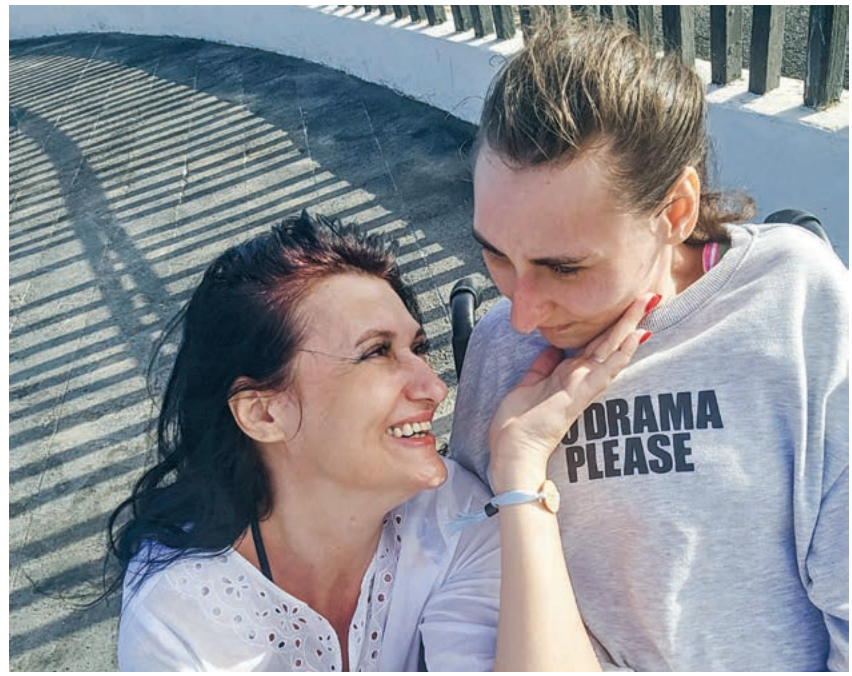

ARCHIWUM PRYWATNE

Marta Penew z córką Weroniką

Bez wytchnienia

ANNA KORYTOWSKA

ZDROWIE | Nie ma wolnych weekendów ani urlopu, a potrzeby dziecka trzeba postawić przed własnymi. Opiekunowie dzieci z niepełnosprawnościami muszą liczyć głównie na siebie.

Lata uciekają. Z każdym rokiem czuję, że jestem starsza. Coraz częściej zastanawiam się, co będzie, jeśli odejdę pierwsza, a ona zostanie sama – mówi Anna Żmuda, która od ponad 30 lat opiekuje się córką z niepełnosprawnością. Podobne myśli towarzyszą wielu innym opiekunom. Anna ma 70 lat, mieszka na południu Polski i samotnie opiekuje się swoją 45-letnią córką chorującą na czterokończynowe porażenie spastyczne. – Staram się jak najmniej myśleć o przyszłości. Robię to, co do mnie należy – dodaje.

Magda urodziła się jako zdrowe dziecko; problemy pojawiły się, gdy miała 14 lat. – Zaczęły się spastyczne rzuty. Wtedy całe nasze życie się zmieniło – wspomina Anna, która kiedyś pracowała jako pielęgniarka, ale zrezygnowała z zawodu, by zająć się dzieckiem. Od tamtej pory korzysta ze świadczenia pielęgnacyjnego i jest przy córce niemal bez przerwy. – Magda to osoba chodząca, ale z niepełnosprawnością intelektualną. Wiele czynności wykona, jeśli jej pokażę, co ma zrobić, ale jest niezdolna do samodzielnej egzystencji – tłumaczy.

Oczy i uszy otwarte

Na barkach Anny spoczywa dziś niemal wszystko, tymczasem sił zaczyna brakować. – W tym wieku człowiek powinien już trochę odpocząć, tymczasem ja cały czas muszę mieć oczy i uszy otwarte. Słyszeć i widzieć wszystko. A przecież sama mam poważne schorzenie kręgosłupa, jestem po operacji kolana. I ta cukrzyca pierońska też się mnie trzyma już od siedmiu lat – mówi z gorzkim uśmiechem.

Odrobinę wytchnienia ma tylko wtedy, gdy córka uczestniczy w warsztatach terapii zajęciowej.

– Poza tymi kilkoma godzinami muszę być do jej dyspozycji. Pomóc ↦

Anna Żmuda z córką Magdą

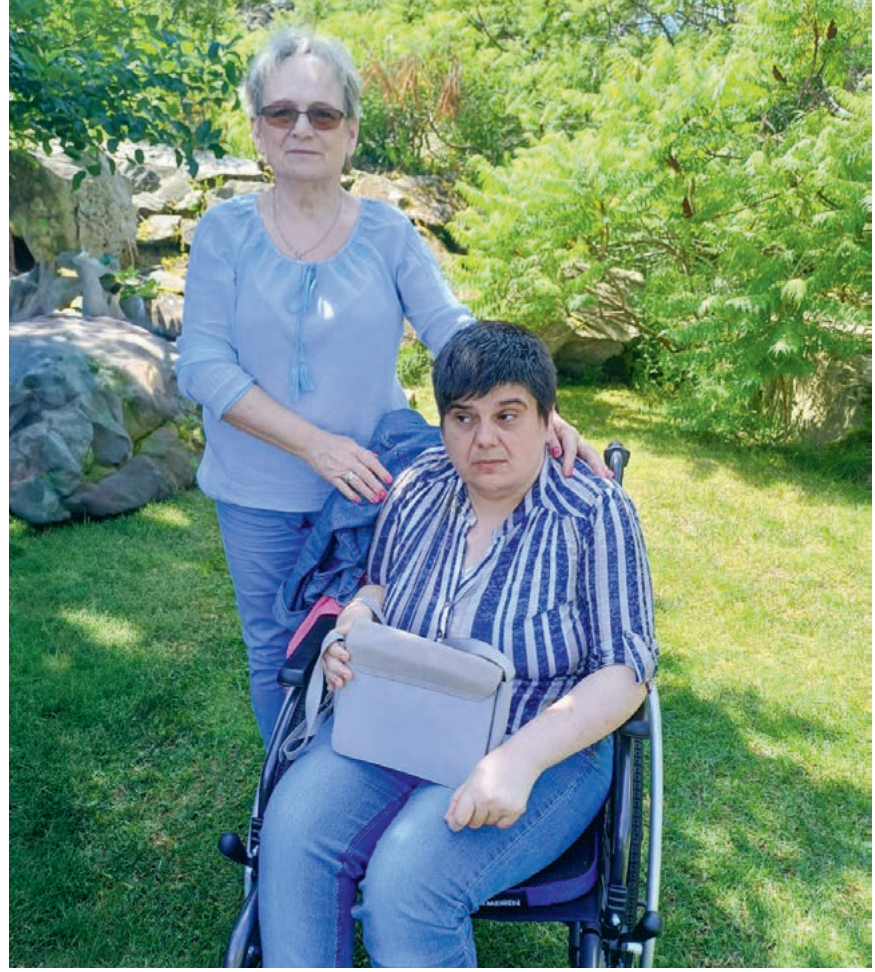

ARCHIWUM PRYWATNE

↦ w toalecie, ubrać, uważać, by się nie wywróciła, nakarmić. Czasami Magda zje sama, a czasami nie. Trzeba ciągle szukać nowych sposobów. W zasadzie żyję jej życiem, nie swoim – przyznaje. – Ale nie mam prawa narzekać. Widzę ludzi, którzy mają jeszcze trudniej. Są dzieci leżące, są takie, które nic nie rozumieją. A moja córka rozumie, mówi. Tyle że jest całkowicie zdana na mnie – tłumaczy.

Nie udało się im skorzystać z pomocy asystenta osoby z niepełnosprawnością. Mógłby on przychodzić tylko do godz. 15, a wtedy córka jest na warsztatach. Bardziej przydałby się jej ktoś po południu, z kim mogłaby porozmawiać, spędzić czas. – Tak bezinteresownie – wyznaje Anna.

Dziś nawet w najbliższym otoczeniu trudno o taką pomoc. – Niektórzy ludzie są bardzo złośliwi, choć wiedzą, że mam niepełnosprawną córkę i czasem muszę zaparkować bliżej wejścia do sklepu czy jakiejś instytucji. Porysowano mi już samochód, a raz obklejono go obraźliwymi napisami. Trudno mi zrozumieć takie zachowanie – dodaje.

Mimo wszystkich trudności Anna nie traci pogody ducha. – Nie wiem, skąd biorę siłę. To chyba jakiś dar. Od dziecka byłam osobą, której wszędzie było pełno. I tak jest do dziś. Funkcjonuję, radzę sobie. Nawet z trudnych sytuacji próbuję znaleźć wyjście. Bo cóż da narzekanie? Nic – mówi dobitnie.

Skrajnie przeciążeni

Osoby, które całą dobę opiekują się bliskimi z niepełnosprawnościami, mogą doświadczać zmęczenia i skrajnego przeciążenia.

– Tu odpowiedzialność nie kończy się po wyjściu z pracy. Nie ma wolnych weekendów i nie ma urlopu, a potrzeby drugiej osoby bardzo często są stawiane ponad własnymi. Opiekunowie mogą doświadczać chronicznego stresu, wyczerpania emocjonalnego, poczucia osamotnienia, a nawet objawów depresji i lęku – mówi psycholożka i psychoterapeutka Monika Machnicka.

Bywa i tak, że opiekunowie wręcz tracą samych siebie. – Człowiek tak silnie identyfikuje się z rolą opiekuna, że przestaje dostrzegać własne zainteresowania czy marzenia – tłumaczy Machnicka. Wielu opiekunów zmaga się również z poczuciem winy. Mają wrażenie, że nie mogą być zmęczeni, rozdrażnieni, nie dają sobie też prawa do odpoczynku. Tymczasem, jak podkreśla psycholożka, te emocje są naturalną reakcją na długotrwałe przeciążenie, a nie dowodem braku miłości czy oddania. – Troska o siebie nie jest egoizmem, lecz warunkiem pomagania. Korzystanie z pomocy innych członków rodziny, grup wsparcia, organizacji pomocowych czy konsultacji psychologicznych może znacząco zmniejszyć poczucie izolacji – wyjaśnia psychoterapeutka.

Cały czas w ruchu

Marta Penew opiekuje się 25-letnią córką Weroniką, która choruje na porażenie spastyczne i epilepsję. – Mamy wyuczony schemat życia. Nauczyłyśmy się nim cieszyć, mimo wielu operacji i bólu, którego doświadcza Weronika. Budzimy się rano. Jest rehabilitacja, są zajęcia, wyjazdy. Teraz mamy rok przerwy, ale od września Weronika zaczyna program „Rehabilitacja 25 plus" – opowiada Marta.

Program zawiera usługi opiekuńcze, aktywizację fizyczną, intelektualną i społeczną, a także wsparcie w budowaniu zaradności życiowej. Poza nim nie ma raczej ofert dla młodych dorosłych ze znacznym stopniem niepełnosprawności.

– Często jest tak, że i opiekun, i dziecko zostają zamknięci w domu praktycznie do śmierci jednego albo drugiego. W naszym ośrodku rehabilitacyjnym w Piotrkowie Trybunalskim pani dyrektor bardzo o nas zawalczyła i zorganizowała zajęcia, w których córka będzie mogła uczestniczyć – mówi Marta.

Mama Weroniki przez 15 lat prowadziła własną działalność gospodarczą. Dzięki temu mogła łączyć pracę z opieką nad nią i wychowywaniem pozostałych dzieci. – Mam jeszcze starszą córkę i młodszego syna. Wszystko udawało mi się godzić. Dobrze się z tym czułam. Byłam cały czas w ruchu, nie miałam czasu siedzieć, płakać czy rozmyślać – wspomina. Obowiązki były jednak coraz większe, więc pięć lat temu zrezygnowała z pracy i przeszła na świadczenie pielęgnacyjne (pomaga jej też rodzina). – Gdybym pracowała, straciłabym świadczenie. To zaś, co zarobiłabym zawodowo, musiałabym wydać na opiekę nad córką. To się po prostu nie kalkuluje – wyjaśnia.

Przez lata ich codzienność wyznaczały szpitale, operacje i rehabilitacja.

– Weronika odczuwa traumę po wielu pobytach w ośrodkach leczniczych. Miała w nich ciągłe zabiegi, podcinanie przywodzicieli, gipsy, rozpórki. Przez dwa lata nie

pozwalała na żaden dotyk. Potrzebna była praca z psychologiem i bardzo delikatne oswajanie. Do dziś, gdy ktoś obcy dotyka jej nóg, reaguje niepokojem – opowiada.

Niech ma coś z życia

Marta z czasem zmieniła też swoje podejście do leczenia córki. Zrozumiała, że nie postawi jej na nogi. Że Weronika nie będzie chodziła, tańczyła, biegała czy jeździła na rowerze. Pomyślała wtedy: „dlaczego resztę życia ma spędzić między szpitalami, ośrodkami rehabilitacyjnymi i kolejnymi zabiegami? Niech ma coś z życia". Od tamtej pory rehabilitacja nadal jest ważną częścią ich codzienności, ale jej celem nie jest już walka o niemożliwe.

– Robimy wszystko, żeby utrzymać jej kondycję i stan zdrowia, żeby się nie pogarszało. Ale chcę też trochę odciążyć Weronikę, dlatego staram się korzystać z każdej chwili i pokazywać jej Europę – dodaje. – Przejechałyśmy praktycznie całe Bałkany, byłyśmy w Bośni, Bułgarii, Serbii, na Węgrzech i w Rumunii. Odwiedziłyśmy również Wyspy Kanaryjskie, Cypr, Grecję, a ostatnio Turcję – wylicza. Swoją codzienność Marta pokazuje w mediach społecznościowych. Na TikToku obserwują ją głównie kobiety, bo to one stanowią zdecydowaną większość opiekunów osób z niepełnosprawnościami.

– Piszą do mnie mamy, że nie chciało im się wyjechać z dzieckiem nawet na weekend, bo trzeba spakować leki, pieluchy, podkłady i mnóstwo innych rzeczy. A potem obejrzały moje filmy i dziś mówią, że pierwszy raz od dziesięciu lat gdzieś pojechały. To dla mnie ogromna radość – przyznaje Marta.

W ubiegłym roku po raz pierwszy od dawna wyjechała sama, bez Weroniki.

– Starsza córka zadeklarowała, że raz w roku zajmie się Weroniką przez tydzień, żebym mogła odpocząć – mówi, ale po chwili dodaje: – Marzy nam się specjalny sportowy wózek, który mogłabym zabierać na rower. Chciałabym zrobić z Weroniką trasę wzdłuż polskiego morza. Ale chciałabym też choć na trochę wrócić do pracy, zachowując świadczenie. Mogłabym zająć głowę czymś innym, oderwać się od codziennych obowiązków, nabrać energii.

Dobre zmiany bez przełomu

Karola Kosecka jest współzałożycielką ruchu społecznego 2119, który walczy o poprawę warunków życia osób z niepełnosprawnościami i ich rodzin. Nazwa pochodzi od wysokości świadczenia pielęgnacyjnego, które w 2022 r. wynosiło 2119 zł, a jego pobieranie oznaczało zakaz podejmowania pracy przez opiekunów.

– Przepisy w tym zakresie się zmieniły, ale prawo nie działa wstecz, więc osoby, które pobierały świadczenie pielęgnacyjne i nie zdecydowały się przejść do nowego systemu, nadal funkcjonują według starych zasad – mówi Kosecka.

Dziś świadczenie pielęgnacyjne wynosi 3386 zł netto miesięcznie i nie wyklucza aktywności zawodowej. Nie przysługuje jednak wtedy, gdy osoba z niepełnosprawnością pobiera świadczenie wspierające. To nowa forma pomocy finansowej dla pełnoletnich osób. Jej wysokość, od 792 zł do 4353 zł miesięcznie, zależy od liczby punktów przyznanych przez Wojewódzki Zespół ds. Orzekania o Niepełnosprawności. Zmiany w systemie są dobre, ale nie przyniosły przełomu, na który liczyło wiele rodzin. Tymczasem potrzeby nie zniknęły. Zarówno osoby z niepełnosprawnościami, jak i ich rodziny nadal mierzą się z tymi samymi problemami.

– Pragnienia osób opiekuńczych nie mają szans wybrzmieć, jeśli wcześniej nie zostaną załatwione potrzeby osób, którymi się opiekujemy – mówi Karola Kosecka. I podaje własny przykład.

– Kiedy planuję życie z partnerem, myślę o przyszłej rodzinie. Czyli o tym, jak będzie wyglądało nasze życie za kilka czy kilkanaście lat. Ale cały czas z tyłu głowy mamy jedną myśl, że jeśli nic się nie zmieni, będziemy żyć razem z moimi niepełnosprawnymi braćmi – podkreśla.

Dlatego jedną z najpilniejszych potrzeb pozostaje asystencja osobista. Dziś brakuje systemowego rozwiązania, które realnie wspierałoby osoby potrzebujące pomocy oraz ich bliskich. Dzięki asystencji, która polega na indywidualnym wsparciu w codziennym funkcjonowaniu, osoba z niepełnosprawnością może zyskać większą niezależność, a opiekun czas dla siebie.

– Na odpoczynek, własne sprawy, relacje czy rozwój. Obecna asystencja jest niewystarczająca. Nie zmienia samodzielności osoby z niepełnosprawnością, a jedynie daje rodzicom czy opiekunom kilka godzin oddechu. Tak było, kiedy zaczynałyśmy protest, i tak wygląda to do dziś – podkreśla Kosecka.

Po prostu z miłości

Ustawa o asystencji osobistej od lat pozostaje w sferze zapowiedzi. Powstało kilka wersji przepisów, ale wciąż nie wiadomo, kiedy i w jakim kształcie rozwiązanie zostanie wprowadzone. To jednak niejedyny problem. – Kolejną kwestią są wspólnoty mieszkaniowe i mieszkania wspomagane dla osób z niepełnosprawnościami, które wymagają wysokiego poziomu wsparcia. One mają prawo do mieszkania, do niezależności, do własnego budżetu i własnego życia. Polska ratyfikowała przecież Konwencję o prawach osób z niepełnosprawnościami, ale w wielu obszarach nadal nie realizuje jej zapisów – mówi Karola Kosecka.

Mimo rozczarowań nie traci nadziei, że przed końcem tej kadencji Sejmu uda się uchwalić ustawę o asystencji osobistej. Gdyby do tego nie doszło, byłaby to ogromna porażka rządu Donalda Tuska. Rozwiązanie to było przecież wpisane do słynnych stu konkretów i nieustannie wraca w debacie publicznej. – Chciałabym wierzyć, że kiedyś wybrzmią też potrzeby nas, opiekunów – dodaje Kosecka. – A do tego czasu będziemy działać tak, jak do tej pory, z miłości. © ANNA KORYTOWSKA

Wytchnienie dla wybranych

PONAD 205 MLN ZŁOTYCH: tyle środków Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej przeznaczyło w tym roku na program „Opieka wytchnieniowa" dla jednostek samorządu terytorialnego. Z programu mogą skorzystać rodzice lub opiekunowie niepełnosprawnych dzieci w wieku 2-16 lat, a także opiekunowie osób z orzeczeniem o znacznym stopniu niepełnosprawności. Chodzi o tymczasowe zastępstwo w codziennych obowiązkach opiekuńczych – dzięki temu rodzic lub opiekun może odpocząć, załatwić swoje sprawy lub wyjechać na wakacje. Niestety, tylko wybrane samorządy uczestniczą w programie, dlatego nie mogą z niego skorzystać wszyscy chętni. Docelowo standardem ma być w Polsce opieka wytchnieniowa realizowana przez opłacanych przez państwo i zapewnianych ustawowo asystentów osobistych. Tyle że ci z pewnością nie pojawią się w Polsce przed 2028 r. ©℗ PW

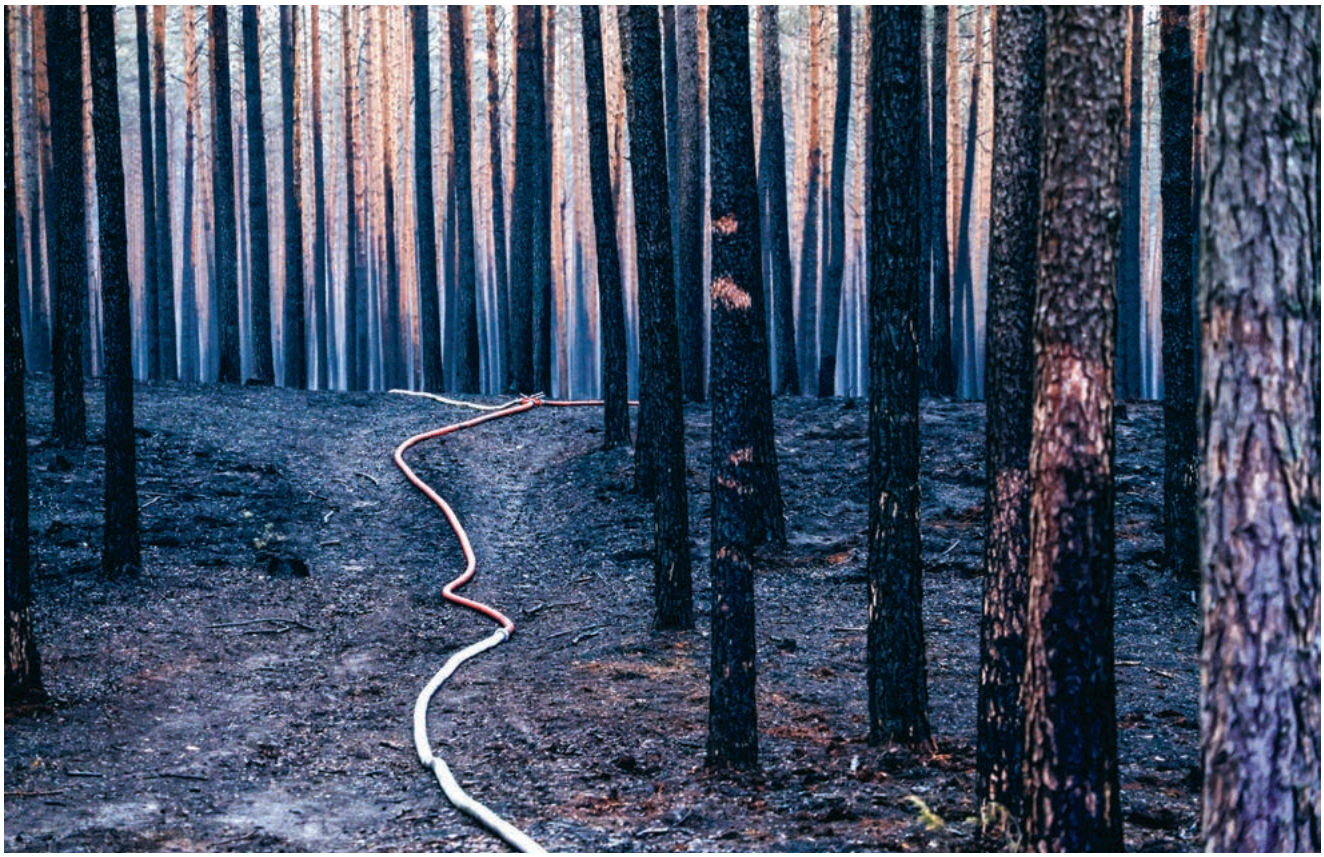

WOJCIECH OLKUŚNIK / EAST NEWS

Pożar Puszczy Solskiej w powiecie biłgorajskim, 7 maja 2026 r.

Pomóżmy naszym drzewom

ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

PRZYRODA | Niektóre polskie lasy przypominają bardziej hodowlę kalafiorów niż naturalny ekosystem. Być może dlatego tak łatwo płoną.

Pakowaliśmy się w pośpiechu. Dokumenty, trochę ubrań, biżuteria, albumy ze zdjęciami i komputer. Nie było tego dużo, ale i tak bagażnik oraz tylną kanapę auta szczelnie wypchaliśmy. Transporter z kotem trzymałam na kolanach – wspomina Krystyna, mieszkanka Józefowa.

Pożar w Puszczy Solskiej na Roztoczu trwał przez tydzień, a rozpoczął się 5 maja 500 metrów od drogi między Józefowem a Osuchami. Ogień objął bardzo cenne tereny, m.in. siedliska programu Natura 2000.

Jadę drogą bardzo wolno, krajobraz przypomina scenerię katastroficznego filmu. Jak okiem sięgnąć ciągną się osmolone pnie martwych drzew.

– W pewnym momencie w mieście wybuchła panika – relacjonuje dalej Krystyna. – Dym był tak gęsty, że niemal do zera spadła widoczność. Ludzie mówili, że jak ogień „przeskoczy" przez kamieniołom, to zajmie się Józefów. Nasz dom przylega do lasu.

Ogień w Puszczy Solskiej był największym od 32 lat pożarem trawiącym polskie tereny leśne. Dzięki mobilizacji strażaków i wojska udało się ochronić miejscowości najbardziej narażone – w akcji wzięło udział 7 śmigłowców i 4 dromadery, które wylały na puszczę tysiąc ton wody.

Z wielu województw przyjechały na pomoc kompanie gaśnicze, m.in. specjalistyczne zespoły GFFF operujące w trudnodostępnych miejscach. Strażacy z tej grupy wchodzą w las już po ugaszeniu tzw. pożaru płomieniowego i metr po metrze przeczesują go. Ich zadanie polega na zdławieniu ognia w poszyciu leśnym. Idą w specjalnym stroju, a sprzęt niosą na plecach. To właśnie polscy strażacy z GFFF pojechali w sierpniu pomagać gasić pożary w Hiszpanii.

Rzucamy pracę i biegniemy

Aleksandra Wybacz jest kierowniczką Urzędu Stanu Cywilnego w Józefowie i od 14 lat służy w Ochotniczej Straży Pożarnej. Właśnie wróciła z akcji, tym razem nie chodziło jednak o pożar, ale o spodnie. Ktoś je porzucił nad brzegiem stawu. Strażacy przez 3 godziny sprawdzali, czy ich właściciel nie leży na dnie zbiornika. Nie leżał, „rozebrał go" alkohol i zaprowadził w inną część miasta bez butów i spodni.

– Każdy strażak ochotnik gdzieś pracuje, ale kiedy wyje syrena, porzucamy nasze zajęcia i przybiegamy z różnych stron. Często lecę w szpilkach i oficjalnym stroju, ale z urzędu do bazy nie mam daleko – opowiada kierowniczka USC.

Kiedy zaczął się pożar w Puszczy Solskiej, Aleksandra Wybacz wyjechała o godz. 17 w trzecim zastępie i wróciła do domu następnego dnia o 10. – Hydrofornie w Łukowej i Józefowie bardzo szybko przestały działać, trzeba było utworzyć punkt czerpania wody na rzece Tanew i Sopot. Byłam w sztabie zarządzania kryzysowego, jeździłam po lesie i rozwoziłam jedzenie chłopakom. W bezpośredniej akcji brałam udział już podczas dogaszania – relacjonuje Wybacz.

Mimo to jej syn cały czas bał się, że mama spłonie w lesie, a kiedy rozeszła się wieść, że w ogień spadł jeden z dromaderów, lęk ogarnął także rodziny innych strażaków zaangażowanych w akcję. Zginął Andrzej Gawron, pilot z Mieleckich Zakładów Lotniczych. Miał duże doświadczenie, był instruktorem samolotowym 1 klasy i autorem wielu artykułów w pismach branżowych.

– Widoczność miał fatalną. Jego maszyna spadła 50 metrów od miejsca, gdzie palił się las, i 10 metrów od ulicy, na której stały samochody gaśnicze i nasi chłopcy. Mało brakowało, a doszłoby do jeszcze większej tragedii – mówi strażacka ochotniczka.

Kula ognia

Kiedy spadł samolot, aspirant sztabowy Piotr Mróz – strażak z państwowej straży w Biłgoraju – był na innym odcinku walki z pożarem i nie widział wypadku. Podczas akcji pełnił funkcję drugiego dowódcy.

– Dym ciągnął się na przestrzeni 15 kilometrów, a ogień, poprzez zmienny wiatr, rozprzestrzeniał się na wielu frontach. Biegłem wzdłuż drogi, ale nie mogłem dogonić kuli ognia. Skrzydła pożaru wydawały się nieograniczone.

Zanim wozy strażackie wjechały w płonący las, czołg poszerzył przejazd. Kierowcom dużych samochodów trudno operować na takim terenie, często nie mogą zawrócić, więc każdy poważniejszy błąd może kosztować życie całą załogę. Kiedy w 1992 r. płonął las w Kuźni Raciborskiej, w samochodzie spalił się kapitan Andrzej Kaczyna. Strażacy w Puszczy Solskiej też mieli obawy, że ich wóz stanie się pułapką.

– Udało nam się zepchnąć pożar z drogi wojewódzkiej 849. Gdyby płomień poszedł dalej, zagroziłby mieszkańcom wsi Kozaki. Długo nie mogliśmy opanować szalejącego żywiołu, bo niemal od początku rozprzestrzeniał się wierzchołkowo. Korony drzew niosły ogień błyskawicznie – relacjonuje Mróz.

Choć wciąż nie jest znana przyczyna zaprószenia ognia w Puszczy Solskiej, warto pamiętać, że 90 proc. pożarów powoduje w lasach człowiek. Raport Europejskiego Trybunału Obrachunkowego z 2025 r. podaje, że w krajach UE co roku ogień trawi obszar odpowiadający powierzchni dziesięciu miast wielkości Warszawy.

Polskie lasy palą się wyjątkowo często – zajmujemy 3. miejsce w Europie pod względem liczby pożarów, a wyprzedza nas tylko Hiszpania i Portugalia. Od 1 stycznia do 8 sierpnia, według danych Komendy Głównej Państwowej Straży Pożarnej, wybuchło w Polsce 5546 pożarów, o 1447 więcej niż w tym samym czasie w ubiegłym roku. Naukowcy podkreślają, że byłoby ich mniej, gdyby nie dominujące u nas drzewostany iglaste (często sadzone w ramach różnych akcji zalesiania), które płoną jak pudełka zapałek.

Peter Wohlleben, niemiecki leśnik i autor bestsellerowej książki „Sekretne życie drzew", był świadkiem pożaru w drzewostanie mieszanym, który zainicjowała burza. Opisał go tak: „Las naokoło był straszliwie mokry, przeskok iskry na pozostałe drzewa był wysoce nieprawdopodobny. Dominujące niegdyś drzewa liściaste nie dadzą się zapalić, bo ich drewno nie zawiera żywicy ani olejków eterycznych".

Dlaczego więc w polskich lasach dominują drzewa iglaste? Bo to na nich można najwięcej zarobić. Rosną szybko i są nasadzane tak, żeby łatwo je było wycinać, obrabiać i sprzedawać. Las przypomina więc bardziej hodowlę kalafiorów niż naturalny ekosystem. I choć 80 proc. powierzchni drzewostanów stanowią w Polsce lasy państwowe, obywatele nie mają wpływu ani na ich kształt, ani przeznaczenie. W ich imieniu decydują urzędnicy, którzy „wiedzą lepiej", a głosy biologów i ekologów od lat zbywają milczeniem.

Myślenie drewnem

Kiedy latem 1992 r. iskry z kół pociągu towarowego zaprószyły ogień w lasach Kuźni Raciborskiej, spłonęło 9062 ha drzewostanu – w pożarze Puszczy Solskiej żywioł pochłonął 1157 hektarów. Wielu moich rozmówców podkreśla, że w ciągu 34 lat zmieniła się technologia, a użycie dronów zwiadowczych i sprzętu lotniczego sprawia, że można szybciej i skuteczniej gasić pożary i ograniczać ich rozprzestrzenianie. Bo mimo że polskie lasy palą się wyjątkowo często, jesteśmy też w czołówce pod względem tempa lokalizacji pożarów i reagowania na zagrożenia.

Służby stosują patrole naziemne i lotnicze, dysponują siecią wież i punktów obserwacyjnych. W lasach funkcjonują też drogi pożarowe, którymi można szybko dotrzeć do punktów czerpania wody. Musimy jednak zrobić więcej, a do tego nie potrzebujemy technologii, tylko odejścia od „myślenia drewnem", czyli zmiany w postrzeganiu funkcji lasów.

– W Polsce przez ostatnie dziesiątki lat ogromny wysiłek był kierowany na osuszanie lasów. Budowano tysiące kilometrów rowów melioracyjnych, by odprowadzić wodę z obszarów wilgotnych i bagiennych. Robiono to po to, by las użytkować gospodarczo. Mokradła uznawano za tereny nieproduktywne, niepotrzebne. Dziś mamy sytuację taką jak w Puszczy Solskiej, że palą się lasy, które jeszcze 50 albo 100 lat temu były często bagniskami – mówi dr hab. Michał Żmihorski, zastępca dyrektora Instytutu Ochrony Środowiska, a także naukowiec w Instytucie Biologii Ssaków PAN w Białowieży.

Na dodatek rok 2026 upływa pod znakiem deficytu wody. Mimo większej ilości śniegu zimą, w kwietniu 64 proc. stacji pomiarowych odnotowało niski stan wody. Susza nie omija też lasów – ściółka na terenach naszych „fabryk drzew" ma bardzo niską wilgotność.

Sprawdzam jej stan dzięki Instytutowi Badawczemu Leśnictwa. 10 sierpnia w 8 województwach świecą się alarmowe fioletowe kropeczki, które oznaczają „zapalność ekstremalną". Ściółka leśna ma tam wilgotność poniżej 10 proc. Tego dnia duże zagrożenie pożarowe ogłoszono dla 9 województw, a dolnośląskie „świeciło się" właściwie całe. ↦

– Należy przestać sadzić monokultury świerków i sosen, które w przeciwieństwie do gatunków liściastych palą się szczególnie łatwo, zwłaszcza gdy są gęsto posadzone. Las naturalny jest na ogół mniej podatny na pożar, więcej w nim drzew liściastych i jest bardziej wilgotny – tłumaczy Michał Żmihorski.

Bóbr a sprawa polska

Kilka tygodni przed pożarem w Puszczy Solskiej Nadleśnictwo Józefów wystąpiło o zgodę do Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska w Lublinie na odstrzelenie 35 bobrów i rozbiórkę 8 tam. Tymczasem to dzięki nim można skutecznie chronić lasy przed rozprzestrzenianiem się ognia. Podczas licznych pożarów, które w ostatnich latach trawiły drzewostany, ogień zatrzymywał się właśnie na tych „wilgotnych wyspach zieleni", powstających dzięki bobrowym tamom.

W obronie zwierząt w puszczy wystąpiło Stowarzyszenie Nasz Bóbr i Akcja Demokracja; pod wspólną petycją podpisało się 11 tys. osób. Członkowie stowarzyszenia podkreślają niekonsekwencję, jaką obserwowali w działaniach Nadleśnictwa Józefów. Z jednej strony urzędnicy dążyli do uśmiercenia 80 proc. populacji bobrów na swoim obszarze, z drugiej występowali o dotację na budowę sztucznych tam, czyli o wykonanie za wielkie pieniądze tego, co bobry robią za darmo.

– Bobry dostały łatkę szkodników, bo utrudniają pracę rolników i leśników, ale ich wpływ na środowisko jest niedoceniany – przekonuje Jolanta Zadrożna, aktywistka oraz przyrodniczka ze Stowarzyszenia Nasz Bóbr. – Zatrzymują wodę w krajobrazie, spiętrzony przez nie ciek tworzy rozlewiska, żerują tam ptaki, płazy, rozwija się roślinność, która dzięki wilgotności jest bardziej odporna na ogień. Bobry skutecznie zapobiegają też suszy, z którą borykamy się w wielu miejscach naszego kraju. One oczywiście same z siebie wody nie wytworzą, ale tam, gdzie mają swoje siedliska, potrafią zatrzymać setki litrów.

Bobry nie rozwiążą wszystkich problemów wynikających ze zmian klimatycznych, mogą jednak pomóc wielu małym ekosystemom w zwiększaniu retencji wody. Susza, którą widać gołym okiem w obniżającym się poziomie rzek, wysychających jeziorach i stawach, czasowo zamykanych elektrowniach wodnych czy pożarach lasów – wymaga bardziej intensywnych działań. Na początek trzeba odejść od osuszania leśnych mokradeł i bagien.

Polskie lasy palą się wyjątkowo często, zajmujemy trzecie miejsce w Europie pod względem liczby pożarów. **Wyprzedza nas tylko Hiszpania i Portugalia.**

Pożar może być szansą

Lasy w Polsce zajmują ok. 30 proc. powierzchni, co jest wynikiem bliskim średniej zarówno światowej, jak i europejskiej. Drzewa pełnią kluczową rolę w naszym ekosystemie: produkują tlen, oczyszczają atmosferę, obniżają temperaturę powietrza, a ich brak odczuwamy szczególnie podczas upałów w zabetonowanym mieście.

Konieczność zmiany myślenia o lasach w Polsce widać w oświadczeniu wydanym po pożarze w Puszczy Solskiej przez Państwową Radę Ochrony Przyrody. Jej członkowie apelują, by dołożyć starań i zatrzymać odpływ wody z lasów, kładą także nacisk na wykorzystanie pożaru do odnowy biologicznej tego terenu. W oświadczeniu czytamy: „obecna sytuacja przyrodnicza w Puszczy Solskiej stwarza niezwykłą okazję do pozostawienia bez ingerencji i do naturalnej regeneracji przynajmniej części pożarzyska, w tym projektowanego rezerwatu Długie Bagno wraz z otuliną oraz innych cennych siedlisk Natura 2000, z jednoczesną poprawą uwodnienia całego tego obszaru poprzez pilne zatrzymanie odpływu wody siecią rowów melioracyjnych".

– Na pożarzysku szybciej rosną nowe drzewa, a spaloną powierzchnię kolonizują różne organizmy – tłumaczy Michał Żmihorski. – Jeśli nie będziemy przeszkadzać w tym procesie, na przykład sadząc drzewa, które lubimy, i usuwając te, których nie lubimy, to taki naturalny, spontanicznie regenerujący się las będzie dobrze dopasowany do lokalnych warunków. Na ogół będzie też bardziej bioróżnorodny i lepiej przystosowany do zmian klimatycznych.

Pożar w Puszczy Solskiej dotknął lasów w różnym wieku, spłonęły hektary drzew przeznaczone na sprzedaż i do celów gospodarskich, ale także niezwykle cenne siedliska przyrodnicze, torfowiska i bory bagienne, a także 180 ha przyszłego rezerwatu Długie Bagno. Straty oszacowano na ok. 6 mln złotych.

Praca leśników na tym obszarze zależy teraz od stopnia uszkodzenia drzew oraz charakteru danego obszaru pożarzyska. Kiedy jechałam przez dostępne fragmenty puszczy, widziałam, że drwale już ruszyli do lasu i wycinają drzewa, które nadają się na sprzedaż albo grożą zwaleniem.

Pracownicy Lasów Państwowych podzielili teren na trzy strefy. Pierwsza obejmuje Długie Bagno, które zostanie pozostawione naturalnym procesom; w drugiej strefie ingerencja człowieka ma się ograniczyć do usunięcia martwych drzew i pozostawienia żywych, z których nasieją się młodniki. Trzecia strefa obejmuje tereny najbardziej zniszczone, gdzie (po przygotowaniu powierzchni) nasadzone zostanie nowe pokolenie lasu.

Puszcza już tętni życiem

– Pierwszy raz w Polsce podjęto decyzję, że pożarzysko przynajmniej w części będzie się odnawiało na własnych warunkach. Leśnicy zostawią 200 ha puszczy pod kontrolą naukowców, by mogli badać i obserwować zmiany następujące w odradzającym się ekosystemie. Robiłem z żoną badania jakościowe i ilościowe ornitofauny w Puszczy Solskiej tuż po ugaszeniu pożaru i nie odnotowaliśmy katastrofy ekologicznej. Co prawda spaliły się lęgi ptaków i mrowiska, ale krótko po ugaszeniu ognia dorosłe osobniki wróciły, a mrówki budują mrowiska tuż obok spalonych kopców – opisuje sytuację w puszczy dr Przemysław Stachyra, ornitolog i przyrodnik, a także wicedyrektor Roztoczańskiego Parku Narodowego.

Jak podkreśla, las po pożarze tętni życiem, bo przyroda jest przygotowana na wiele trudności lepiej niż człowiek. Nie trzeba jej tylko przeszkadzać.

© ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

OLGA

Drenda:
Naleśniki czy gofry?

To, że ludzie spożywają mniej napojów wyskokowych, czy że dym papierosowy nie jest już tak regularnym bywalcem płuc, kurtek i tapicerek, to niewątpliwie dobra wiadomość. Niestety jest i gorsza – wygląda na to, że nie poszła za tym generalna równowaga czy umiejętność mówienia dość. Przeciwnie – rośnie pomysłowość w nadużywaniu czy nawykowym czynieniu tego, co szkodzi innym i sobie. Niedawna rozmowa z prof. Dariuszem Dolińskim w „Tygodniku" utwierdziła mnie w przekonaniu, że nowa toksyna, którą dziś szczególnie często aplikują sobie ludzie (a może wręcz jej aktywnie poszukują), to poczucie urazy. Tym groźniejsze, że darmowe – nie trzeba go nigdzie kupować, można samodzielnie wygenerować we własnej głowie.

Z klasycznymi substancjami uzależniającymi czy kompulsjami rozpoznanie jest o tyle oczywiste, że praktykujący często zdaje sobie sprawę, że sobie szkodzi. Czasem nawet kompulsywne działania nie sprawiają pożądanej przyjemności – nieraz słyszymy, że ktoś, kto zasiaduje się do późna, przeglądając na telefonie treści, których nawet nie rejestruje, czuje się jałowością doomscrollingu jedynie coraz bardziej zmęczony. Z poczuciem urazy jest inaczej, bo jest element, który zarazem podsyca je i dostarcza natychmiastowych tłumaczeń. Otóż urażony czuje się zawsze po dobrej stronie, po stronie sprawiedliwości. Często odruchowo budzi też solidarność, bo ludzie chcą wierzyć, że ktoś, kto żywi tak intensywne uczucia, faktycznie doznał jakiegoś zła i chce je rozliczyć. Na jego korzyść działa kultura – tłumaczyć musi się ktoś posądzony o urażenie, a urażony stoi na pozycji przewagi.

Czy to może być kość niezgody?

OLGA DRENDA

Co zatem, jeśli niektórzy żywiący urazę wcale nie zostali niczym realnie dotknięci, a specjalnie reinterpretują, wyolbrzymiają, przekręcają zupełnie obojętne, przypadkowe wydarzenia, zwłaszcza takie, które nie mają nic wspólnego z ich życiem – właśnie po to, by doznać ekstatycznego szału? A to doznanie tak upojne, że zwykłe, spokojne życie bez niego traci smak? Tak jakby kontrolę przejął „smak negatywny", by posłużyć się terminem zapisanym przez Georga Simmla. Simmel jeszcze pod koniec XIX wieku (człowiek jednak nie może wyjść z tych wiecznych powrotów) odnotował ówczesną tendencję społeczną, którą porównał do przeczulicy (objawu neurologicznego, w którym łagodny, neutralny dotyk wywołuje ból) i która objawiała się szczególną czujnością na wszystko, co może wywołać choćby cień nieprzyjemności.

Oczywiście nie jest to tekst o charakterze psychiatrycznym. Wielkim przywilejem i zarazem odpowiedzialnością felietonu jest to, że ma możliwość przedstawić poważne tematy w sposób lekki, bez żadnej twardej tezy, i dzięki temu zachęcić do samodzielnych dalszych poszukiwań. Nie wyciągnęłam mojego skojarzenia z uzależnieniami z kapelusza, bo jak się okazało, psychiatra James Kimmel Jr. rozwija tezę, że poczucie krzywdy i mściwość to nie tylko nałóg, ale też – jego zdaniem – nałóg najbardziej ze wszystkich śmiertelny. Kimmel twierdzi, że w badaniach neurologicznych mózg człowieka, który odczuwa silną urazę, przypomina mózg pod wpływem substancji psychoaktywnych, a do tego silnym komponentem bywa przyjemność. Co najważniejsze, Kimmel pisze, że do poczucia krzywdy realna krzywda nie jest konieczna – kompletnie wyobrażone urazy potrafią wywołać podobny, uzależniający stan nieustannego pobudzenia. Mózg to cudowna, ale częściej jednak potworna maszyna.

A wracając do rozmowy z prof. Dolińskim, to przypomniał mi się pewien znak czasów. Czytelnicy czasami irytują się, kiedy ilustruję coś przykładami z krótkich form internetowych, dlatego od razu uprzedzam na ewentualność możliwego rozczarowania, że zaraz to zrobię. Uważam bowiem, że niektóre takie miniaturowe teksty kultury działają w podobny sposób, jak niegdyś aforyzmy. Niekoniecznie zawierają prawdę (bo błyskotliwość i prawda to nie to samo), często trafiają obok bramki, ale potrafią złapać coś ulotnego i zawrzeć w kilku słowach to, co może ktoś bardziej wylewny i analityczny solidnie rozpisze.

Pierwszym przykładem jest legendarny *tweet* użytkownika @BravoCoolee, w którym wyjaśniał, że na platformie X zdanie „lubię naleśniki" zostanie na pewno odczytane jako „to znaczy, że nienawidzisz gofrów". Drugie zaś to „teoria zupy fasolowej", nazwana tak od przepisu na tę właśnie zupę, który ktoś musiał skomentować: „a co jeśli nie lubię fasoli?". Kiedyś będą analizowane przez historyków społecznych jako przykłady charakterystycznej uraźliwości naszych czasów, a być może jako symptomy większego kryzysu – i wcale nie będzie to zabawne, kiedy będą pytać: „co takiego opanowało tych ludzi?". ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

PSYCHE

JAK DOBRZE MIEĆ SĄSIADA

PRZEMEK DZIEWITEK, TRENER INTERPERSONALNY:

Gdy się nie znamy, nie ma szans na budowanie zaufania. Do tego musimy o sobie wiedzieć choćby to, jak kto ma na imię, powiedzieć sobie „dzień dobry".

MICHAŁ KUŹMIŃSKI: Lubisz swoich sąsiadów?

PRZEMEK DZIEWITEK: Tak, lubię. Ale mam wobec nich wyrzuty sumienia.

Dlaczego?

W naszym małym, dwupiętrowym bloczku mieszkamy już od 10 lat, jak nie więcej. Tuż po wprowadzeniu się wpadłem na pomysł zorganizowania pikniku – jest tam dziedziniec i trochę trawy. Nikt się wtedy nie znał, to był nowy blok, dopiero zawiązywała się wspólnota mieszkaniowa. Wywiesiłem na klatkach ogłoszenie o pikniku, że jeśli ktoś chce przyjść, trzeba coś ugotować czy upiec. O umówionej godzinie rozłożyłem koc, cały w nerwach, czy nie okażę się tym jedynym frajerem. Kątem oka obserwowałem okna. Zauważyłem, jak ruszają się firanki.

Balkonowe karaoke pod nazwą „The Voice of Balcony – Częstochowa zostaje w domach i bawi się na balkonach", czas pandemii, 30 kwietnia 2020 r.

GRZEGORZ SKOWRONEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Chwilę później przyszła sąsiadka i oznajmiła, że specjalnie dzisiaj wzięła urlop i cały dzień gotowała i piekła na tę okazję. Powoli zaczęli się schodzić inni. Przyszło kilkanaście osób, prawie wszyscy mieszkańcy. Niektórzy tłumaczyli się, że nic nie mają, ale jedzenia starczyło dla każdego. Poznaliśmy się, zaczęliśmy sobie ufać. Więc lubię swoich sąsiadów, a wyrzuty sumienia mam dlatego, że od tamtej pory nie zorganizowałem kolejnego pikniku, bo zająłem się budową wspólnoty mieszkańców w Krakowie i nie miałem już tyle czasu na swoją.

CBOS na początku ubiegłego roku opublikował badania nad relacjami sąsiedzkimi. Pokazały, że co siódmy badany izoluje się w miejscu zamieszkania, nie nawiązuje kontaktów sąsiedzkich, a wręcz ich unika. Prawie trzy piąte stara się postępować tak, żeby sąsiedzi nie mieli do niego pretensji, ale trzyma dystans. Prawie co dziesiąty badany jest skonfliktowany z sąsiadami, a co setny żyje z wszystkimi jak pies z kotem. Z drugiej strony, ogromna większość z nas, bo 88 proc., stara się choćby powiedzieć sąsiadom „dzień dobry" i zamienić parę słów, wzrósł też odsetek sąsiadów utrzymujących relacje towarzyskie. Jest dobrze czy źle?

Gdy mówisz o konflikcie, mi od razu przychodzi do głowy, że w konflikcie nie ma niczego złego. To słowo pochodzi od łacińskiego *conflictus* (zderzenie) – opcji, opinii, poglądów. Cały czas jesteśmy w jakimś zderzeniu, bo się różnimy. Różnimy się płcią, wiekiem, miejscem zamieszkania. Zderzenie jest wręcz pożądane, pytanie, jak przebiega. Czy mogę sąsiadowi powiedzieć: „kurczę, sąsiedzie, proszę, żebyś nie grillował na balkonie, bo dym wlatuje mi do mieszkania", czy raczej porysuję mu samochód albo powieszę na klatce ogłoszenie: „uprasza się sąsiadów z mieszkania tego i tego...". Chciałbym, żeby ludzie sobie na tyle ufali, na tyle bezpiecznie czuli się ze sobą, żeby mogli do siebie podejść i powiedzieć, co im przeszkadza. Albo też przejść się po sąsiadach i uprzedzić, że wieczorem będzie u mnie hałaśliwa impreza.

Ale gdy się nie znamy, nie ma szans na budowanie zaufania. Do tego musimy o sobie wiedzieć choćby to, jak kto ma na imię, powiedzieć sobie „dzień dobry", być w kontakcie.

A jeśli pełen dobrej woli przejdę się po sąsiadach uprzedzić o imprezie i usłyszę: „nie!"?

Jeśli nie robisz niczego, co łamie regulamin wspólnoty, pozostaje ci przyjąć tę niezgodę. Dużo się ostatnio mówi o empatii. Możemy wyróżnić empatię emocjonalną, kiedy współodczuwam stan drugiego człowieka, oraz poznawczą, kiedy próbuję przyjąć jego perspektywę i zrozumieć, co może czuć, myśleć i czego potrzebować. Ale empatia sama w sobie to za mało. Ona potrzebuje jeszcze reguł. I najlepiej, jeżeli na te reguły umawiamy się wspólnie. Czerpiąc z psychologii Gestalt, nazywam to „kontraktowaniem się". Jeśli na zasady czy regulaminy mamy wpływ, jeśli tworzyliśmy je razem i się na nie zgodziliśmy, to później łatwiej pogodzę się z tymi punktami regulaminu, które mi nie odpowiadają – bo przecież sam to ustalałem. Co więcej, reguły tworzą ramę, w której czujemy się bezpiecznie.

Problem w tym, że zwykle, gdy wspólnota potrzebuje regulaminu, administrator podsuwa gotowiec, ewentualnie ktoś pobiera wzorzec z sieci albo generuje treść w CzacieGPT, a pozostali uznają, że trzeba przyjąć to, co jest. Nie potrafimy zrobić kroku wstecz, usiąść i porozmawiać o tym, czy to nam wystarczy, czy potrzebujemy czegoś jeszcze. Współtworzyć zasady. Gdybyśmy to robili, owo przejście się po sąsiadach byłoby czystą formalnością.

To brzmi pięknie w małej kamienicy. A w bloku na kilkaset mieszkań albo dużej spółdzielni?

Nikt nie twierdzi, że to łatwe. Zwłaszcza że gdy się już zakontraktujemy, trzeba pamiętać o rekontraktowaniu się. Każda zmiana wymaga aktualizacji kontraktu, w kontrakt trzeba wprowadzić nowego sąsiada i tak dalej. Problem w tym, kto miałby to robić. Niestety, brak nam kompetencji społecznych i emocjonalnych – do współpracy, współbycia i współodpowiedzialności. Nie wykonaliśmy pracy nad dialogowaniem w domu, w szkole, w parafii.

Nikt nas tego nie uczył, więc nie mamy nawyku?

Więcej – otwartości umysłu, o której mówił Milton Rokeach. Otóż, żeby ↦

↦ skorzystać z empatii i pomyśleć o potrzebach sąsiada, muszę wyjść ze swoich kolein. Nieco otworzyć umysł. To wymagające, po prostu kosztuje dużo energii. W uważne słuchanie musimy włożyć wewnętrzną pracę.

Często, ucząc dialogu, sięgam po katolicką naukę społeczną (jak na otwartego ateistę przystało [sic!]), która rewelacyjnie opisuje warunki dialogu. Pierwszym jest wolność partnerów. „Jest to warunek fundamentalny, nie ma bowiem wspólnego poszukiwania i dochodzenia do prawdy w relacji zależności jednego partnera od drugiego". Dalej: „Nie może zatem we wspólnym poszukiwaniu prawdy, a to jest istotą dialogu, jeden podmiot dać odczuć drugiemu, że góruje nad nim w zakresie posiadania prawdy". Chodzi o wczuwanie się w punkt widzenia partnera dialogu i o uznanie, iż drugi partner dialogu zawsze ma także trochę racji. A jeśli nawet nie ma, to może mnie jego punkt widzenia zaciekawić, dostarczyć mi informacji o jego potrzebach. Dowiem się, jak on myśli. Pomyślę: „Kurczę, ciekawe, no to musimy wszystko jakoś inaczej poukładać, żeby uwzględnić też jego potrzeby". To właśnie jest owo otwarcie umysłu. Katolicka nauka społeczna podsumowuje to kluczowym zdaniem: że w ten sposób partnerzy są gotowi „prawdę drugiego partnera uczynić częścią swojej prawdy".

Łatwo powiedzieć, a tu sąsiad grilluje pod oknem i powołuje się na trzecią prawdę tischnerowską.

Do tego trzeba czasu. I nie tylko. Przy naszych ogólnie słabych kompetencjach społecznych i emocjonalnych, których nikt nas nie uczy w szkołach, potrzebujemy też zwyczajnie wsparcia, żeby zacząć się tego uczyć.

Bo to się wiąże z bezpieczeństwem psychologicznym. Zwykle powtarzamy zero-jedynkowo, że „Polacy nie potrafią się dogadać". Otóż nie potrafią, bo czują się zagrożeni. Gdy przychodzisz i mówisz coś zupełnie w poprzek „mojej prawdy", to w pierwszym odruchu czuję zagrożenie i mój umysł podąża, jak to nazwał Daniel Kahneman, szybką ścieżką myślenia – intuicyjną. Zwłaszcza że żyjemy dziś w ciągłym poczuciu zagrożenia: wojną, utratą pracy w swojej korporacji, sprawami bytowymi, jesteśmy przebodźcowani napływem negatywnych informacji. Na szybkiej ścieżce mogę zareagować odruchową wrogością, zamiast podążyć wolną ścieżką myślenia i przeanalizować twoje potrzeby. Kiedy cudze zdanie zagraża mojemu poczuciu racji albo tożsamości, łatwiej reaguję automatycznie i obronnie. Kahneman pokazał, że refleksyjne myślenie wymaga większego wysiłku niż szybkie sądy. A pod wpływem stresu jeszcze trudniej zatrzymać pierwszą reakcję i naprawdę przyjrzeć się cudzej perspektywie.

Ktoś powinien wziąć odpowiedzialność za to, żeby pomóc ludziom budować kulturę dialogu.

Kto by to miał być? Najstarszy z sąsiadów? Prezes z zarządu nieruchomości?

Niestety, facylitatorem – czyli „umożliwiaczem", bardzo potrzebną i bardzo pomijaną funkcją we wszelkich rodzajach wspólnoty, od konsultacji społecznych w mieście, przez spotkania zespołów w firmach czy wspólnotę mieszkaniową – powinna być osoba z zewnątrz, która ma odpowiednie kompetencje. Co ważne, to nie jest sędzia rozstrzygający spór, lecz ktoś, kto ma ułatwić ludziom bycie w konflikcie, w różnicy zdań. Ułatwić usłyszenie się i zaczęcie rozmowy.

Trzeba by go zatrudnić, a moja wspólnota mieszkaniowa nie może uzbierać nawet na remont sieni. Może podzielisz się swoimi sposobami?

Raczej – narzędziami facylitacyjnymi. Przykładowo, często popełniany błąd to dyskusja w 30- czy 50-osobowej grupie. Tak się nie da. Jedyne głosy, które wtedy usłyszymy, to te silne i negatywne. A ci, którzy myślą „to jest dobry pomysł" albo „zastanowiłbym się" – w ogóle się nie odezwą. W swojej „Diagnozie społecznej" prof. Janusz Czapiński opisał kiedyś ogromną niechęć ludzi do zebrań wspólnot mieszkaniowych. Bo jest na nich dużo trudnych emocji, trwają w nieskończoność i porusza się mnóstwo wątków, a na koniec niewiele z nich wynika. Dobry facylitator wie, że ludzie, którzy na spotkaniu nie zabiorą głosu, nie czują, by ich obecność była sensowna i wartościowa. Ale gdy taką grupę rozdzielimy na 4-5-osobowe podgrupy, każdy się wypowie.

Druga rzecz to bezpieczeństwo emocjonalne, o którym już mówiłem. Że nikt mnie nie napadnie, nie odbierze mi godności, nie obrazi. W sytuacji bezpieczeństwa nasz mózg uruchamia zupełnie nowe obszary, odpowiedzialne za porozumienie, rozwiązywanie problemów, kreatywność. Wtedy też otwieramy się na innych, a ze spotkania wyjdziemy z poczuciem, że sami się trochę zmieniliśmy.

W swojej pracy uwielbiam proste formy, jak ów piknik. Kuba Wygnański nazwał to kiedyś „akupunkturą społeczną". Nakłuwam i patrzę, co się dzieje. Ale nie da się tego zrobić bez spotkania. Nie wystarczy grupa na WhatsAppie czy Facebooku. Badania prowadzone w firmach pokazują dziś, jak praca zdalna czy hybrydowa osłabia więzi, co wpływa na erozję zaufania i spadek zaangażowania. Nie wystarczy też spotkanie wspólnoty mieszkaniowej raz do roku, dwie godziny z długą agendą – tak się niczego nie załatwi. Prostym sposobem może być zwyczajny grafik. Umówmy się na cykliczne spotkanie choćby co kwartał. Ono wcale nie musi być merytoryczne, nie musimy od razu ustalić, czy na rabacie mają być pelargonie, czy begonie. Spotkajmy się, każdy powie, co u niego. To nie jest przepalony czas. Niektórzy nazywają to networkingiem.

Tak się buduje kapitał społeczny, a on działa jak smar, gdy rzeczywiście trzeba coś załatwić albo sobie wyjaśnić. I gdy powiemy sąsiadowi: „wiem, że lubicie grillować, ale uwzględnijcie proszę to, że mieszkam piętro wyżej i wszystko do mnie leci", jest większa szansa, że usłyszymy „jasne, dobrze, że dałeś znać".

Tyle że grill to nie jest konieczność, a są konflikty, w których naprzeciw siebie stają dwa dobra. Na przykład plac zabaw pod oknami. To wspaniale, że dzieci mają swoją bezpieczną przestrzeń, gdzie mogą się wyszaleć, ale na pierwszym piętrze ktoś ciężko pracuje i zaraz od pisku oszaleje. Co wtedy?

Zwłaszcza, że akustyka dziedzińca zwielokrotnia hałas... To prawda. Ale bardzo dużo się dzieje, gdy ludzie usłyszą swoje racje. Mieliśmy kiedyś spotkanie w Nowej Hucie, konsultacje dotyczące wprowadzenia tam parku kulturowego. Temat zszedł na tzw. nowohuckie budki, czyli warzywniaczki, sklepiki. Jest ich dużo, każda wygląda inaczej i zasadniczo obskurnie. Pojawiły się głosy: „Po-

zbądźmy się tych ohydnych budek". I od razu inne: „Ale czego wy chcecie od budek? Ja codziennie u pani Krysi kupuję, bo ma najlepszy towar, a jest tam, odkąd pamiętam". Popracowaliśmy, moderując i parafrazując te głosy, i w efekcie ludzie, którzy chcieli pozbyć się budek, usłyszeli, że są one składnikiem miejscowej kultury, że są ważne dla społeczności. Część pojęła, że te budki tworzą ów mityczny „klimacik", dla którego sami się do Huty przeprowadzili. Aż wreszcie zabrzmiał kluczowy głos. Wstała pani i powiedziała: „Ja mam taką budkę. Powiedzcie mi, czemu ta budka jest brzydka? Bo nawet nie wiem, o co wam chodzi". Wtedy zaczęła się rozmowa o tym, że można by zrobić ujednolicony projekt, pomalować, słowem – szukanie rozwiązań.

Większość ludzi przez dialog rozumie „spokojną rozmowę, w której ja przekonam ciebie". Nic podobnego. Dialog się zaczyna, gdy ludzie zaczynają się słyszeć. Ale nie łudźmy się, że wszystko się zmieni po jednym spotkaniu. Po pierwszym spotkaniu dopiero zaczniemy sobie wszystko układać w głowie i sklejać w niej racje swoje i innych. Za to na kolejne spotkania przyjdziemy już z nową świadomością – że potrzeby dzieci są takie, a potrzeby sąsiada z pierwszego piętra – takie. I zaczniemy szukać rozwiązań. Może to będą ekrany akustyczne, może godziny ciszy. A może jeszcze coś innego.

Jest jeszcze jeden problem: czas. W przebodźcowanym i zapracowanym świecie zwyczajnie nie mamy czasu na takie spotkania.

Albo tak nam się wydaje. Bo to rzeczywiście czasochłonne. Tyle że chodzi o coś bardzo ważnego.

Bądź co bądź – o własne miejsce na Ziemi.

Otóż to. Ciągle mamy coś na głowie, a więzi się rwą. Może to nie kwestia braku czasu, ale przewartościowania priorytetów? Gdyby nas od dzieciństwa uczono, że inni ludzie ze swoimi potrzebami są ważni, że wspólna przestrzeń jest ważna, może wygospodarowalibyśmy na to więcej zasobów. Ale jeżeli tego przekonania nie wyniosłem ze szkoły czy z kościoła, to ciężko przeprowadzić sobie z tego korepetycje w dorosłym wieku. Wtedy wygrywają inne rzeczy. Kariera, Netflix, scrollowanie, rower.

ARCHIWUM PRYWATNE

PRZEMEK DZIEWITEK jest trenerem interpersonalnym, facylitatorem, socjologiem i pedagogiem. Współtwórca zespołu trenerów Human Reset, zajmuje się dynamiką grup i procesami zmiany, wspiera rozwój liderów, zespołów i społeczności pracy. Dawniej współtwórca Stowarzyszenia Pracownia Obywatelska, które zainicjowało krakowski Budżet Obywatelski i prowadziło procesy dialogu mieszkańców z samorządem.

Co, jeśli za sąsiada mamy reprezentanta tych 9 procent albo co gorsza, tego 1 procenta – który na nic się nie zgodzi, na piknik nie przyjdzie i jeszcze wszystkich obrazi?

Na jedno ze spotkań konsultacyjnych, które prowadziłem, przyszedł kiedyś człowiek, który zaczął krzyczeć, nazywać wszystko chucpą – wszystko było nie tak. Miał przy sobie grubaśny segregator. Przekazałem prowadzenie spotkania koleżance i podszedłem do niego. Nie, żeby go wyrzucać, tylko porozmawiać. Grubaśny segregator okazał się zawierać całą dokumentację jego pięćdziesięcioletniej batalii o jakąś działkę. Więc z jednej strony – człowiek z kompletnie nieadekwatną do tego zebrania sprawą, który zaraz całe zebranie rozbije. Z drugiej – człowiek z jakąś tragedią, jakąś potrzebą. Obiecałem mu, że odnotuję, z czym przyszedł na konsultacje, ale jasno uświadomiłem mu, że na tym spotkaniu jego sprawą się nie zajmiemy, bo jest o czymś innym. Dałem mu jednak całym sobą znać, że on sam i to, z czym przychodzi, jest dla mnie ważne.

Nie wiem, co stoi za tym, że ów sąsiad jest agresywny i „na nie". Może lęk, poczucie bezsilności, wcześniejsza krzywda albo długo nierozwiązany problem. Nie chcę go diagnozować, zanim go nie poznam. Może ta osoba nie odnajdzie się w tłumie na zebraniu, ale z uważnym sąsiadem, który chce go wysłuchać, porozmawia?

Nie brzmi to naiwnie?

Dla mnie to brzmi ludzko.

Wezwałbyś na sąsiada policję?

Tak, jeżeli miałbym przekonanie, że za ścianą dzieje się przemoc. Lub samemu będąc zagrożonym – gdybym za pierwszym razem zapukał do sąsiada, żeby zainterweniować, i dostałbym w twarz, za drugim razem sięgnąłbym po wsparcie. Ale rozumiem, że nie pytasz o tak ekstremalne sytuacje.

Z jakiejś przyczyny łatwiej nam czasem przychodzi sięgnąć po bardzo oficjalne i groźne środki – zadzwonić na policję, donieść do urzędu, wywiesić na klatce pismo – niż zapukać i powiedzieć, z czym mamy problem.

Uważamy, że „ktoś się powinien tym zająć". Istnieje zasada pomocniczości, obecna zarówno w nauce społecznej i samorządności, jak i – w węższym znaczeniu – w prawie Unii Europejskiej. Mówi ona, że sprawa powinna być rozwiązywana możliwie blisko ludzi, na najniższym poziomie zdolnym skutecznie się nią zająć. Problem w tym, że ludzie często nie wiedzą, gdzie ten poziom się lokuje – co należy do wspólnoty mieszkaniowej, co do dzielnicy, co do miasta. Gdy zaczynaliśmy w Krakowie prace nad budżetem obywatelskim, naszym głównym zajęciem było uczenie ludzi, że to nie ministerstwo ma coś załatwić, bo zaniedbany kawałek ziemi, o którym rozmawiamy, należy akurat do wspólnoty. Że gmina nic z czymś nie robi? Z definicji gmina to wspólnota mieszkańców, która wybiera swoje władze. A więc ty jesteś gminą, zaproponuj, co chcesz zrobić.

Nie potrafimy się dogadać nie dlatego, że istnieją między nami konflikty, lecz dlatego, że konflikt zbyt szybko przeżywamy jako osobiste zagrożenie i walkę o zwycięstwo. To tak, jak z tym placem zabaw; w dialogu nie chodzi o to, żeby wszyscy byli zadowoleni. Chodzi o to, żeby nikt nie wyszedł z konfliktu poniżony ani wykluczony i żebyśmy nadal potrafili być wspólnotą. Nie tylko mieszkaniową.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ KUŹMIŃSKI

WYSPA, KTÓREJ SIĘ NIE SPIESZY

O tym, czy Islandia ma wejść do Unii, zdecyduje mniejszość. Na referendum, które odbędzie się 29 sierpnia, nie pójdzie prawdopodobnie ponad 60 procent uprawnionych. Ale głosowanie i tak będzie ważne.

JAN BLUZ Z ISLANDII

BETTY LAURA ZAPATA / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

Ulica Skólavörðustígur w Reykjavíku. Islandia, 27 maja 2026 r.

Islandzkie lato. Z nieba nie leje się żar, po plecach nie leci pot. Zacina deszcz, wieje wiatr, a termometry pokazują ok. 10 stopni Celsjusza. Jednolite szare chmury spowijają krajobraz. Jest depresyjnie i ponuro.

Jeśli jednak pojawi się słońce, a temperatura dobije 15 stopni, miejscowi rzucają wszystko, rozpalają grille i w wakacyjnych ciuchach starają się korzystać z każdego powiewu ciepła. Dlatego ciężko tu też użyć metafory, że sierpniowe referendum rozpala kraj niczym kolejne fale upałów nękające resztę kontynentu.

W okopach

Tego lata słońca na Islandii jest niewiele. Właśnie w taki cieplejszy dzień siedzę na tarasie jednego z budynków parlamentu i rozmawiam z Ingvarem Þóroddssonem, posłem centrowej Partii Reform. Jego ugrupowanie tworzy koalicję rządową wraz z socjaldemokratami i ludowcami.

Ingvar nie ma wątpliwości, że członkostwo we Wspólnocie może dać rodzaj dodatkowej ochrony w tych niestabilnych czasach, szczególnie jeśli chodzi o gospodarkę.

– Jesteśmy już w Europejskim Obszarze Gospodarczym i Schengen. Przyjmujemy większość prawodawstwa Unii Europejskiej. Ale decyzje dotyczące prawodawstwa Unii są podejmowane bez naszego udziału – twierdzi poseł. – Nie mamy miejsca przy tym stole – dodaje.

Choć fale upałów do Islandii nie dochodzą (jeszcze?), to ewidentnie widać inny znak czasów. Społeczeństwo „kraju lodu i ognia" jest bardzo spolaryzowane. Dotyczy to także opinii na temat wejścia do Wspólnoty. Jak pokazują ostatnie sondaże, zwolenników dalszych negocjacji jest mniej więcej tyle, co przeciwników.

– Jeśli chodzi o poglądy, ludzie siedzą głęboko w okopach – tłumaczy mi metaforycznie Ingvar. – Staram się ich z nich wyciągać i dyskutować – dodaje.

Dyskutować w te wakacje jest o czym, bo 29 sierpnia kraj decyduje o swojej przyszłości. W ogólnokrajowym referendum mieszkańcy Islandii postanowią, czy rząd ma kontynuować zawieszone w 2015 r. negocjacje akcesyjne z Unią Europejską. Jeśli większość powie tak, nie oznacza to oczywiście, że Islandia do Wspólnoty wejdzie. Po zakończonych negocjacjach potrzebne będzie kolejne referendum, które ten „deal" zaakceptuje.

Rybacy, nie wikingowie

W świadomości społecznej Islandczycy uwielbiają identyfikować się z siejącymi niegdyś grozę w całej Europie wikingami. To jednak pradawny epizod. Przez większość ponad tysiącletniej historii narodu Islandczycy byli biednymi rybakami i pasterzami walczącymi o przetrwanie w skrajnie nieprzyjaznym klimacie i pod duńską supremacją. Aż do XIX w. był to jeden z najbiedniejszych obszarów Europy. Wraz z rozwojem technologii w XX w. rybołówstwo stało się źródłem dobrobytu i najważniejszym elementem gospodarki.

– Myślę, że nie ma w Europie państwa, w którym rybołówstwo miałoby tak duże znaczenie dla tożsamości narodowej – twierdzi Ingvar. – Jako Islandczycy wszyscy zgadzamy się, że chcemy sami kontrolować nasze rybołówstwo i że jest to dla nas bardzo ważna branża. Ale to nie jest argument, żeby teraz powiedzieć „nie" w referendum – dodaje.

Ingvar jest posłem z okręgu Akureyri na północy kraju. Jego 20-tysięczne miasto jest drugim największym na wyspie – po stolicy. Stąd też pochodzi ponad 30 proc. krajowej produkcji przetwórstwa rybnego. – W moim okręgu wyborczym ludzie obawiają się, że stracimy kontrolę nad rybołówstwem, jeśli przystąpimy do Unii – mówi poseł.

Chodzi o wspólną politykę rybołówstwa, w której to Unia decyduje, ile jej członkowie mogą łowić, co i gdzie. Ale Ingvar jest optymistą i wierzy w wyłączenie Islandii ze wspólnej polityki rybołówstwa.

Już nie wyspa na końcu świata

Geopolitycznie Islandia to naturalny „lotniskowiec" w połowie drogi między Starym a Nowym Lądem. Dobrze o tym wiedzieli Brytyjczycy, którzy prewencyjnie dokonali desantu na wyspę w 1940 r., zanim zrobiły to hitlerowskie Niemcy. Rok później Brytyjczyków zastąpili Amerykanie, którzy zasiedzieli się jeszcze na kolejne 65 lat, mimo zakończenia wojny i uzyskania przez Islandczyków pełnej niepodległości od Danii w 1944 r.

Znaczenie Islandii jako naturalnego „lotniskowca" i portu będzie wzrastać wraz ze zmianami klimatycznymi. Zwłaszcza gdy w następnych dziesięcioleciach roztopi się pasaż morski przez Ocean Arktyczny, skracający drogę z Azji Wschodniej na Zachód nawet o połowę. Wtedy wschodnie fiordy wyspy mogą stać się ważnym hubem tranzytowym.

Nie bez znaczenia są też tutejsze zasoby taniej energii geotermalnej. To szansa na ↦

↦ rozwój, ale też możliwe zagrożenie. Choć obecnie nikt sobie żadnego desantu na Islandię nie wyobraża, nie wiadomo, jak sytuacja będzie wyglądać w przyszłości.

Dlatego jeśli chodzi o bezpieczeństwo zewnętrzne, Islandia zawsze była i wciąż będzie musiała być na łasce większych i silniejszych. Na powierzchni wielkości jednej trzeciej Polski zamieszkuje mniej ludzi niż w Szczecinie. Państwo nie ma armii. A nawet jeśli kiedyś zdecyduje się na jej stworzenie, i tak nie będzie miała większego znaczenia strategicznego.

Jej gwarantem bezpieczeństwa jest NATO, w tym przede wszystkim Stany Zjednoczone. Z tą świadomością Islandczycy spali spokojnie przez kilka dekad. Panika zaczęła się, gdy Donald Trump zaczął zapowiadać zakup Grenlandii i głosić, że Kanada byłaby wspaniałym 51. stanem USA. To wtedy Islandczycy zaczęli się zastanawiać, czy czasem nie będą następni.

Sami sobie damy radę

Wchodzę na inauguracyjne spotkanie ruchu Áfram Ísland (Do przodu, Islandio) w jednym z hoteli w Reykjavíku. To początek antyunijnej kampanii. W eleganckiej sali koncertowej zbiera się prawie tysiąc osób (jak na Islandię to bardzo dużo). Większość ludzi jest w średnim i starszym wieku. Młodych widzę niewielu. Uśmiechnięta kobieta wciska mi przypinkę z napisem „Głosujmy na Islandię. Nigdy UE". Przemawia sędziwy, osiemdziesięcioparoletni były prezydent Ólafur Ragnar Grímsson, który grzmi, że wejście do Unii jest nierozsądne, ponieważ „odległe instytucje władzy zaczną w dużym stopniu dyktować Islandii, co ma robić".

Wśród tłumu pod sceną stoi i przysłuchuje się Sigríður Ásthildur Andersen, posłanka prawicowej partii Centrum. Kilka godzin wcześniej spotykam się z nią w pobliskiej siedzibie Althingi – islandzkiego parlamentu. Prowokacyjnie pytam, domyślając się odpowiedzi – jakie korzyści będzie mieć Islandia z wejścia do Wspólnoty? Sigríður odpowiada krótko: żadnych. Według niej dotychczasowe członkostwo w Europejskim Obszarze Gospodarczym i Schengen wystarczą.

Posłanka przekonuje, że nie ma znaczenia, czy Islandia będzie miała głos, bo Wspólnotą rządzi kilku największych graczy.

Sigríður w ogóle nie wierzy w dobry *deal* z Unią. Dotyczy to również rybołówstwa. – Gdybyśmy przyjęli wspólną politykę w tym zakresie, Unia regulowałaby kwoty połowowe na Islandii. Może nie od razu, ale po pewnym czasie inne kraje dostałyby dostęp do naszych wód terytorialnych. Dla nas to nie do przyjęcia – oburza się Sigríður.

– Nie widzę żadnych korzyści dla Islandii w byciu w jednej wspólnocie z Ukrainą, Albanią i Czarnogórą [które również chcą przystąpić do Unii – red.] – wylicza posłanka. – Ukraina ma wejść do Wspólnoty jako najbiedniejszy kraj Europy. Z problemami, których naprawienie będzie trwało dekady – twierdzi polityczka.

Organizator spotkania, Halldór Benjamín Þorbergsson, chwalił się w mediach, że w pierwszych dniach zapisało się do ruchu trzy tysiące osób. Ma to być siła, która pomoże zawalczyć o przyszłość kraju. Dla obserwatorów z zewnątrz, przyzwyczajonych, że o globalnej sile stanowią już nie miliony, a miliardy ludzi, może to brzmieć trochę groteskowo.

Wszystko jakoś się ułoży

Mówi się, że Islandia to „Hiszpania północy". Islandczycy nigdzie się nie śpieszą, niczym nie martwią. Narodowym mottem jest „Þetta reddast", czyli: „nie ma co się przejmować", „jakoś to będzie". Dotyczy to też polityki. Według krajowych sondaży frekwencja referendum może być niska (ledwie 30-40 proc.).

Wchodzę do Loftu, jednego z najbardziej popularnych barów i hosteli w Reykjavíku. Spotykam się tam z menadżerką Elín Rós Valdimarsdóttir.

Dwudziestoparolatka chwilę się zastanawia, czy pójdzie na referendum. – Pewnie będę głosowała. Ale jeszcze nie wiem jak – waha się Elín. – Zazwyczaj w takich decyzjach sugeruję się opinią rodziców czy narzeczonego. Bo nie jest to dla mnie temat aż tak bardzo wrażliwy.

Elín zaznacza, że nie stresuje się takimi rzeczami. W rodzinnym domu czy w gronie przyjaciół nie rozmawia zbyt często o polityce. – Chyba że coś się wydarzy. Bo poza tym to niepotrzebny stres – wyjaśnia. – Myślę, że jakoś wszystko to się ułoży – mówi Elín.

W firmie, w której pracuje, Elín ma na co dzień kontakt z ludźmi prawie z całej Europy i zdarza jej się rozmawiać o referendum.

– Pracuję z ludźmi z różnych krajów, którzy tu mieszkają i oni mają dużo bardziej ukształtowane opinie na temat przystąpienia Islandii do Unii niż ja, Islandka – opowiada Elín. – Uważam, że to dość zabawne.

ARCHIWUM PRYWATNE x3

DAREK GÓRSKI, *który z żoną Olą mieszka od 16 lat na Islandii, twierdzi: – Będę głosował przeciwko dalszym negocjacjom z Unią. Islandii jest to niepotrzebne.*

SIGRÍÐUR ÁSTHILDUR ANDERSEN, *posłanka prawicowej partii Centrum. Według niej dotychczasowe członkostwo Islandii w Europejskim Obszarze Gospodarczym i Schengen wystarczą.*

INGVAR ÞÓRODDSSON *jest posłem z okręgu Akureyri na północy kraju, z którego pochodzi ponad 30 proc. krajowej produkcji przetwórstwa rybnego. – W moim okręgu wyborczym ludzie obawiają się, że stracimy kontrolę nad rybołówstwem, jeśli przystąpimy do Unii.*

Polacy nie zagłosują

Co piąty mieszkaniec Islandii jest obcokrajowcem. Największą mniejszością narodową są Polacy (ok. 6,5 proc. populacji wyspy). W referendum zagłosować mogą jednak wyłącznie obywatele Islandii – cudzoziemcy, nawet po latach stałego pobytu, prawa głosu w głosowaniach ogólnokrajowych nie mają (w przeciwieństwie do wyborów samorządowych).

Rozmawiam z Darkiem Górskim, Polakiem, który mieszka z żoną Olą na Islandii od 16 lat. Darek ma islandzkie obywatelstwo. Przez wiele lat pracował w stolicy, w instytucjach miejskich, jako menedżer kultury, nauczyciel wspierający, animator czasu wolnego. Jak twierdzi, trochę wypalił się zawodowo i teraz woli spokojną pracę na basenie miejskim w Árbær na przedmieściach stolicy. Jest wyborcą partii islandzkich piratów – zwolenników ochrony życia prywatnego, wolnego dostępu do kultury i demokracji bezpośredniej.

– Będę głosował przeciwko dalszym negocjacjom z Unią. Islandii jest to niepotrzebne – twierdzi Darek. – I nie chodzi o to, że jestem prawicowy czy lewicowy i uważam, że Unia nas zje. Unijna biurokracja nie przystaje do tej islandzkiej. Wcielenie do tak dużego organizmu kłóci się trochę z tutejszym poczuciem wyjątkowości – dodaje.

Darek twierdzi, że większość mieszkających tu jego rodaków na referendum nie pójdzie. – Polacy na Islandii bardzo mało interesują się lokalną polityką. Przyjeżdżają w celach *stricte* zarobkowych i żyją w swoich bańkach – opowiada.

> Dumni potomkowie wikingów chcieliby żyć z boku i zajmować się swoimi problemami: **czy będzie dużo turystów, gdzie wybuchnie wulkan, czy połowy ryb były obfite.**

Według niego jednak ci Polacy, którzy już pójdą do urn, będą głosować raczej przeciwko. – Byłem w komisjach wyborczych w ambasadzie przy okazji polskich wyborów, miałem też do czynienia z Polonią, gdy pracowałem jako nauczyciel. Z moich obserwacji wynika, że będą głosować na nie – tłumaczy Darek.

– Dajmy na to, że to referendum jednak przejdzie i otworzą się negocjacje. W kulturze islandzkiej to nic nie znaczy – kwituje Darek. – Będą rozmawiać i negocjować jeszcze przez długie lata.

News z prognozą pogody

W Reykjavíku znowu pada. Siedzę w swoim pokoju, patrząc na depresyjną aurę za oknem i scrollując informacje na stronie telewizji publicznej RUV. Zapowiedź poprawy pogody to najważniejszy news. „Ma w końcu się rozchmurzyć i być może mieszkańcy Reykjavíku ujrzą słońce”.

Bo prognozy pogody to na Islandii poważny temat. Tym razem akurat tęsknią za chociażby kilkoma promykami słońca. W inne pory roku wyspa szargana jest przez niebezpieczne sztormy i śnieżyce. Zamykane są drogi, odwoływane loty, nawet na kilka dni. Sprawdzenie pogody może więc być kwestią życia lub śmierci. Dziś *news* o rozchmurzeniu „wisi” na stronie głównej obok informacji o nowych cłach Trumpa nałożonych na 85 państw. Tym razem Islandii się upiekło – żadnych nowych ceł. W zeszłym roku nie mieli takiego szczęścia i byli w głębokim szoku, gdy Stany Zjednoczone nałożyły na nich 15-procentowe taryfy.

Dla Islandczyków światowe wydarzenia z wielkiej polityki, kryzysy i wojny są gdzieś daleko. W ostatnich dekadach ich nie dotyczyły (z dwoma wyjątkami, jak kryzys gospodarczy 2008 r. czy pandemia koronawirusa). Dumni potomkowie wikingów dalej chcieliby żyć z boku. I zajmować się swoimi problemami: czy przyleciało wystarczająco dużo turystów, czy połowy ryb były obfite, gdzie wybuchnie wulkan, jak sprzedawać swoją energię geotermalną za granicę. No i oczywiście prognozą pogody.

Niestety, te czasy dla Islandczyków już się kończą i będą musieli zdecydować, co dla nich najlepsze. Choć, jak pokazują prognozy frekwencji, wcale się do tej decyzji nie kwapią. Liczą, że samo się wszystko ułoży. Choć mogą przez to stracić sporo z tego, co zyskali w XX w. I zostać w tyle.

© JAN BLUZ

TYGODNIK POWSZECHNY
Sklep „Tygodnika Powszechnego”

DO CZYTANIA | DO NOSZENIA | DO KUPIENIA
SPRAWDŹ
sklep.TygodnikPowszechny.pl
OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Siła i wolność

MIŁKA FIJAŁKOWSKA

AFGANISTAN | Fatima miała w Afganistanie siłę, by walczyć o siebie, w Polsce odnalazła wolność. Rukshar tam miała wolność, a tu odnalazła siłę. Dwie historie o nowym życiu Afganek w Polsce.

Mam niewiele, żyję skromnie, ale jestem silna jak nigdy wcześniej – mówi 35-letnia Rukshar Amiri. Pięć lat temu, kiedy talibowie przejęli władzę w Afganistanie, wraz z rodziną została ewakuowana do Polski. Zaczęła budować życie od zera i – jak się niedługo po przyjeździe okazało – również zupełnie sama. – Samotność w obcym kraju, gdy nie masz pracy, mieszkania i środków do życia dla siebie i dziecka, to ciężkie doświadczenie. Ale dziś wiem, że jestem w stanie podołać wszystkiemu.

Poznałam swoją moc

Tam żyła w dużej, wspierającej rodzinie. Ojciec był pilotem w liniach cywilnych, mama nauczycielką. Ma sześcioro rodzeństwa. – Miałam szczęśliwe życie. Rodzice nas wspierali, zachęcali do nauki. Dokonywałam własnych wyborów w kwestii edukacji i pracy. Ale dopiero w Polsce odnalazłam siłę, by o siebie walczyć.

Na spotkanie przychodzi z synkiem. Nie ma go z kim zostawić. W trakcie naszej rozmowy sześciolatek co chwilę przychodzi, by mamę przytulić lub coś jej powiedzieć. Wychowuje go sama, choć do Polski przyleciała z mężem i rodzicami. – Mieliśmy rodzinę w Holandii, więc rodzice postanowili do niej dołączyć. A mąż miał rodzinę w Niemczech, nalegał, żebyśmy się tam przenieśli. To bardzo odbiło się na naszej relacji. Nasze małżeństwo się rozpadło – opowiada. Mąż został w Niemczech, Rukshar została deportowana do Polski. – To był najtrudniejszy moment. Zostałam zupełnie sama, bez możliwości zapewnienia synkowi warunków, w jakich powinno wychowywać się dziecko. Nie miałam pojęcia, co robić.

Trafiła do obozu w Dębaku. – Patrzyłam na ten przytłaczający pokój i czułam się całkowicie zagubiona. Po kilku miesiącach udało mi się dostać miejsce w schronisku. Pomogła fundacja Humanosh. Ale po roku powiedziano, że musimy się stamtąd wyprowadzić, bo skończyło się finansowanie. Kompletnie nie wiedziałam, co dalej, nie znałam zbyt dobrze języka, nie znałam ludzi. Nawet nie miałam się komu wypłakać. Ale i tak Polska dawała mi poczucie bezpieczeństwa – wspomina.

To jest wolność

Dla Fatimy Ahmadi Polska też od razu stała się miejscem, w którym poczuła się bezpiecznie. – Przyleciałam tylko z tym, co miałam na sobie. W plecaku miałam telefon, który się zepsuł, ładowarkę, wodę, chusteczki i niecałe 12 dolarów. Zaczęliśmy od zera, ale czułam, że jesteśmy gotowi na to, co nas spotyka. Miałam 19 lat i ledwo doświadczyłam prawdziwego życia w moim własnym kraju – wspomina 25-latka z Heratu i dodaje: – Któregoś dnia po przyjeździe byliśmy w odwiedzinach u znajomych, jedliśmy kolację, wypiłam kieliszek wina, rozmawialiśmy i wtedy dotarło do mnie, że tu w końcu mogę żyć swobodnie, decydować o sobie. To jest właśnie wolność.

Mówi, że zawsze była „inna" niż reszta rodziny. – Taka „czarna owca". Wszystko kwestionowałam. Dostrzegałam rzeczy, które nie są w porządku. Tata tego nienawidził. Z nim nie było żadnej dyskusji. O wszystkim decydował, a mama to przyjmowała.

Wzrusza się, gdy mówi o rodzinie, choć jej historia jest bolesna. – Kiedy miałam 9 lat, kazali mi nosić hidżab. Zmuszali do modlitwy i postu w trakcie Ramadanu. A ja byłam drobną, małą dziewczynką. Nie dawałam rady znieść tego fizycznie. Powoli uświadamiałam sobie, że żyję w systemie, który odbiera mi prawo podejmowania decyzji. Kiedyś zostałam pobita przez najstarszego brata. Nie podobało mu się, że wychodziłam z domu. „Okazujesz brak szacunku" – mówili mi bracia, gdy mnie bili. Miałam być taka jak wszyscy – wspomina.

Do Polski została ewakuowana ze swoim chłopakiem Qasimem. – Najpierw byliśmy w ośrodku w Bezwoli. Po kilku miesiącach przyjechaliśmy do Warszawy. Znajomi, którzy pomogli nam w ewakuacji, znaleźli nam mieszkanie i opłacili je. Podobnie kurs polskiego. Po trzech miesiącach otrzymaliśmy dokumenty, po sześciu znalazłam pracę w szkole, jako asystentka nauczycielki. Zaczęliśmy układać sobie życie. Qasim, który jest grafikiem, też znalazł pracę. Chłonęłam każdą chwilę z wdzięcznością.

Wieczorami remont, w dzień praca

Rukshar, gdy musiała opuścić z synkiem schronisko, nie miała środków do życia ani dachu nad głową. Ale właśnie wtedy wszystko zaczęło się powoli układać. Poznała Karolinę, zaprzyjaźniły się. – Znalazła mi przedszkole dla synka, pomogła złożyć dokumenty. Jak tylko dostałam z urzędu pozwolenie na pracę, rzuciłam się w wir poszukiwań. Ale na każdą rozmowę musiałam zabierać synka, bo nie miałam go z kim zostawić. Więc od razu odrzucali moją kandydaturę – opowiada.

Znalazła ogłoszenie o pracy w Międzynarodowej Organizacji ds. Migracji (IOM). Spełniała wymogi, bo znała angielski i farsi. – Zaprosili mnie na rozmowę *online*. Nie miałam nawet komputera. Był środek dnia, ale udało mi się uśpić synka i połączyć się na telefonie. Przyjęli mnie. W tym samym czasie dostałam informację, że syn został przyjęty do przedszkola.

Polscy znajomi znaleźli jej mieszkanie. Było w fatalnym stanie, ale poradziła sobie dzięki pomocy Karoliny.

– Zaczęłam pracę, a wieczorami robiłam remont. W Afganistanie mieszkałam luksusowo. Jeździliśmy na wakacje do Dubaju, do Indii. Tu było mnie stać na niewiele, ale nie narzekałam. Wiele się nauczyłam – mówi.

Tyle cię dzieli od Europy

Czasami wracają wspomnienia z Afganistanu i ogarnia ją tęsknota. – Pamiętam moment wyjazdu. Rozglądałam się po mieszkaniu, które dopiero co urządziłam.

WAKIL KOHSAR / AFP / EAST NEWS

Poczekalnia kliniki kosmetycznej w Kabulu – jednego z nielicznych miejsc wolnych od surowości rządów talibów. 31 sierpnia 2025 r.

Było piękne. Idealne dla naszej rodziny. Nie wiedziałam, co z sobą zabrać. Ostatecznie spakowałam tylko pieluchy dla synka, mleko, parę ubrań i dokumenty. Metafora naszego życia. Odwracasz się, wychodzisz, wszystko zostawiasz za sobą – wspomina Rukshar.

Ma pochodzenie tadżyckie, ale urodziła się i mieszkała w Kabulu. Wyszła za mąż w wieku 25 lat, zaszła w ciążę. – Mąż jest radcą prawnym. Mieliśmy bardzo dobre życie. Wszystko się układało.

W tamtą niedzielę, 15 sierpnia 2021 r., nikt nie przypuszczał, że talibowie przejmą cały kraj. – Nagle pojawiły się informacje, że są już w Kabulu. Nie wiedzieliśmy, co robić, ale byliśmy świadomi, że pod ich rządami nie ma dla nas przyszłości.

Ich pierwszych rządów, w latach 1996-2001, Rukshar nie pamięta. Była wtedy dzieckiem. Ale słyszała o nich od mamy. – Zaczęłam wyobrażać sobie, że to samo spotka teraz nas. Pomyślałam o przyszłości swojego synka – opowiada.

Wracają traumatyczne wspomnienia z samej ewakuacji: – Czekaliśmy w tłumie przy lotnisku. Dzień i noc, w upale. Myślałam tylko o tym, że mam jedną butelkę wody i mleko modyfikowane. Co zrobię, kiedy się skończy? Mój tata cały czas powtarzał: „Bądź silna. Patrz, jak jest niedaleko do bramy, którą wejdziesz na lotnisko. Tyle cię dzieli od Europy. Tam czeka cię inna przyszłość. Tutaj już jej nie masz”.

Są obrazy, które trudno zapomnieć. – Patrzyłam na tatę siedzącego na podłodze wojskowego samolotu, którym nas ewakuowano. Zwykle to on był za sterami. Silny człowiek. W tamtym momencie wydawał się taki kruchy. Patrzył pustym wzrokiem przed siebie, wiedząc, że zostawia całe życie. Że już tu nie wróci – opowiada Rukshar.

Nigdy nie byliśmy jak ojciec i córka

Fatima najbardziej pamięta moment, gdy dostała stypendium językowe. Była w liceum, miała 14 lat i jechała do Turcji. Rodzina nie była zachwycona. – Walczyłam z nimi o ten wyjazd. Pierwszy raz tak się postawiłam. Kłóciłam się z tatą, choć nigdy nie rozmawialiśmy bezpośrednio. Ja w kuchni z mamą, on w pokoju. Nigdy twarzą w twarz. Nie byliśmy jak tata z córką – mówi.

Pytam, czy ją kiedykolwiek przytulił. – Nie pamiętam – odpowiada, ale chwilę się waha. – Chyba dopiero, gdy opuszczałam Afganistan. Wtedy podszedł, przytulił, pocałował w czoło, ja pocałowałam go w rękę. Wyszedł do drugiego pokoju i płakał.

Z dzieciństwa zapamiętała też strach i ciągłe przeprowadzki. Kiedy talibowie pierwszy raz rządzili Afganistanem, uciekli całą rodziną do Iranu. – Mama urodziła mnie po drodze, niedaleko Meszhedu. W Iranie byliśmy nielegalnie przez dziesięć lat. Bez żadnych dokumentów potrzebnych do szkoły czy pracy. Przez trzy lata uczyłam się w domu, potem nauczanie organizowali nam afgańscy nauczyciele, też nielegalni. Kiedyś połowa moich kolegów z klasy została deportowana, w ciągu jednego tygodnia.

Dopiero w ostatnim roku w Iranie poszła do normalnej szkoły, na podstawie dokumentów innej dziewczyny. – Bez przerwy zmienialiśmy miejsce pobytu, jakbyśmy ciągle uciekali. Gdy udało mi się z kimś bliżej poznać, to zaraz musieliśmy się przeprowadzać. Tata pracował fizycznie, razem z moimi braćmi, ↦

↦ którzy z tego powodu nie mogli chodzić do szkoły – wspomina.

Nie chciałam być taka jak oni

Pobyt w Iranie zmienił jej rodziców. – Stali się jeszcze bardziej konserwatywni. Posłali mnie do religijnej szkoły, ale ja zadawałam niewygodne pytania. Nauczyciele najpierw mnie uciszali, potem nie pozwalali mi brać udziału w zajęciach. Pamiętam, jak przed wyjazdem na stypendium do Turcji nie mogłam spać. Tata usiadł przy mnie i powiedział: „Od początku widziałem, że bardzo się różnisz od rodzeństwa. Chcę dla ciebie jak najlepiej, ale nie wiem, co powiedzą ludzie". Aha – pomyślałam – mam być taka jak wszyscy. Opinia sąsiadów i ciotek jest ważniejsza niż moje szczęście. Wtedy zrozumiałam, że nie chcę być taka jak oni. W Turcji poznałam fantastycznych ludzi, miałam nauczycieli z całego świata. Cieszyłam się każdą sekundą – opowiada.

Po powrocie poznała Qasima. Był studentem, pomagał jej przy projekcie, który realizowała z koleżanką. – Spędzaliśmy ze sobą dużo czasu i tak się zaczęło. Tyle że ja jestem szyitką, Hazarką, a on sunnitą i Pasztunem. W Afganistanie nie mieliśmy przyszłości – mówi.

Postanowiła uniezależnić się od rodziny finansowo. – Otworzyłam sklep z ubraniami. Potem zaczęłam gościć w domu turystów z innych krajów. Wiedziałam, że w ten sposób będę mogła poznawać ludzi, uczyć się. Tata w końcu pogodził się z moimi decyzjami, nawet z tym, że jak zakładam chustę, to widać mi połowę włosów. Niczego od rodziny nie potrzebowałam, byłam samowystarczalna. Wiedzieliśmy jednak z Qasimem, że albo wyjedziemy z Afganistanu, albo będziemy musieli się rozstać.

Kiedy talibowie przejęli władzę, bała się, że z powodu kontaktów z turystami może mieć nieprzyjemności. – Nocowali u mnie w domu. Bałam się, że zostanę posądzona o szpiegostwo. Pomogła nam para podróżników z Polski, Ola i Borys, która się kiedyś u nas zatrzymała.

Odkrywam się na nowo

Dla Rukshar też sytuacja zmieniła się, gdy zaczęła pracować. Od razu chciała się odwdzięczyć polskim przyjaciołom. Pytam, czy pamięta, co kupiła za pierwszą wypłatę. – Mamy taki zwyczaj w Afganistanie, że za pierwsze zarobione pieniądze kupujemy prezent dla rodziców. Ja kupiłam dla mojej przyjaciółki Karoliny, która zawsze była przy mnie, przywracała mi wiarę w siebie. Kupiłam jej komplet srebrnej biżuterii – mówi. Kiedy skończył się projekt w IOM, znalazła pracę w szkole. Ale priorytetem jest dla niej synek. – Wszystko to robię dla niego – powtarza kilka razy w trakcie naszej rozmowy.

ARCHIWUM PRYWATNE x2

RUKSHAR AMIRI *dopiero w Polsce przekonała się, ile ma w sobie siły, by walczyć o normalne życie dla siebie i dla dziecka.*

FATIMA AHMADI *w Afganistanie marzyła o wolności dla siebie i innych kobiet. Dziś cieszy się nią podczas każdego spaceru po Warszawie.*

W sercu ma teraz dwa kraje. – Afganistan noszę w sobie głęboko, bo tam są korzenie, wspomnienia, reszta rodziny. Boli mnie to, co dzieje się tam z kobietami. Zakaz edukacji od szóstej klasy czy studiów medycznych... A przecież tam kobiety nie mogą chodzić do lekarzy płci męskiej. Więc do kogo za parę lat pójdą po pomoc?

A Polska to nie tylko kraj, w którym mieszkam. Tu zdefiniowałam się na nowo. Czuję się związana z Warszawą. Uwielbiam spacerować nad Wisłą i po Starówce. Kocham to miasto. Nie potrafię tego opisać, ale kiedy wracam do mieszkania i staję przed tymi starymi drzwiami, czuję, że to mój dom.

Być wolną

Warszawa to również dom dla Fatimy. Chciałaby z Qasimem założyć rodzinę. – Kilka miesięcy temu jego rodzice pojechali do moich poprosić o moją rękę. Oświadczyny zostały odrzucone. Mój brat zadzwonił i powiedział: „Zapomniałaś, kim jesteś? Oni są sunnitami". Od tamtej chwili nie rozmawiałam z rodzicami. Dałam im czas, nie narzucam się. Może sobie przemyślą i spróbujemy ponownie.

Polska dała jej wolność, której tak pragnęła w Afganistanie. – Tu ludzie mają ją za pewnik, zapominają, że trzeba o nią walczyć. Przestają ją doceniać, zaczynają krytykować. Kiedy jej nie masz, doceniasz każdy szczegół, na przykład spacer po Warszawie, czy moment, kiedy pierwszy raz zobaczyłam morze, jak pojechaliśmy z Qasimem do Łeby.

Jest też bolesna część życia. – Przez te pięć lat, odkąd tu jestem, czekam, że rodzice zadzwonią i pochwalą mnie, że sobie poradziłam. Tymczasem oni nawet nie pytają, co u mnie.

Boli ją też to, co dzieje się w Afganistanie. – Mam kontakt z przyjaciółkami z mojego miasta. Jedna ma firmę i zajmuje się szyciem abaji, zatrudnia inne kobiety, zarabia pieniądze, ale nawet to nie pozwala jej prowadzić lepszego życia. Moja starsza siostrzenica zajmuje się stylizacją paznokci. Robi to w prywatnych domach. Bo kobiety, nawet jeśli zarobią własne pieniądze, nie są niezależne na zewnątrz. Nie mogą podróżować, iść do restauracji, parku. Ich życie sprowadza się do przebywania w domu. Doceniam bardzo, że w Warszawie mogę robić wszystko. Pamiętam moment, kiedy po przyjeździe poszliśmy z Qasimem na spacer. Zobaczyłam, że nikogo nie obchodzi, czy mam na sobie chustę, czy jej nie mam i jak wyglądam. Myślę o podjęciu studiów. Przede mną tyle możliwości.

© MIŁKA FIJAŁKOWSKA

Paraliż w raju

ALEKSANDRA WOJTASZEK Z PODGORICY

CZARNOGÓRA | Kiedy rozmawiam z miejscowymi o problemach tegorocznego sezonu, śmieją się. Korki, upały, wzrost cen benzyny – to przecież letni standard, jak figi i chłodzone arbuzy sprzedawane tu przy drodze.

Jeden z najlepszych czarnogórskich filmów wszechczasów, „Urok rozpusty" *(Lepota poroka)* z 1986 r., to historia wielkiej turystyki pukającej do bram modernizującej się dopiero Czarnogóry. Jaglika, młoda mężatka, żyje w górskiej wsi, gdzie tradycyjne zasady nie pozwalają na żadną czułość między małżonkami, nawet w alkowie.

Bieda zmusza ją do podjęcia pracy nad morzem, w słynnym ośrodku wypoczynkowym na wyspie Ada Bojana nieopodal Ulcinja. Od lat 70. aż do dziś funkcjonuje tam ośrodek nudystyczny, wówczas odwiedzany przez bogatych gości z Zachodu.

Jaglika początkowo jest przerażona, nie chce oglądać nagich ciał, a tym bardziej fizycznej fascynacji między gośćmi. W końcu zaprzyjaźnia się jednak z parą Anglików i daje wciągnąć w ich erotyczną grę, odkrywając nieznane dotąd pragnienia. Kiedy mąż, który zmusił ją do podjęcia pracy, orientuje się, jaka zmiana zaszła w żonie, zabiera ją w góry, aby wymierzyć zwyczajową karę za cudzołóstwo: śmierć poprzez rozbicie głowy kamieniem.

Kamień i mąż

To jeden z powracających czarnogórskich motywów: opowieść o odwiecznym konflikcie między tradycją a nowoczesnością, wielkim zepsutym świecie i surowej lokalnej wspólnocie. Patriarchalne prawo zwyczajowe regulowało funkcjonowanie klanowych wspólnot. A wynikało ono z czynników geograficznych i historycznych: ekstensywnej gospodarki pasterskiej na nieurodzajnych terenach oraz ciągłych walk z Imperium Osmańskim.

Dziś zderzenie świata Zachodu i Czarnogóry nie wywołuje kulturowego szoku u żadnej ze stron. Turystyka stała się podstawą niewielkiej lokalnej gospodarki. Nic dziwnego – ten kraj, mniejszy od Małopolski, dzięki różnorodności krajobrazów i oszałamiającemu pięknu natury zdaje się być predestynowany do takiego losu. Błogosławieństwo łatwo może zamienić się jednak w przekleństwo: przy odrobinie retorycznej wyobraźni turystyka mogłaby w tej metaforze być zarówno kamieniem, Jagliką, jak i jej mężem.

Państwo w zalewie

Początek sierpnia spędzam w stolicy Czarnogóry, Podgoricy. Miasto podczas letnich upałów wydaje się senne i niemal puste. Dopiero wieczorami, gdy temperatura spada poniżej 35 stopni, mieszkańcy – w trakcie dnia schowani w klimatyzowanych pomieszczeniach – wychodzą na ulicę. Tym bardziej zaskakują mnie sensacyjne wiadomości w polskich mediach o totalnym paraliżu na granicach Czarnogóry. ↦

Kotor, średniowieczne, czarnogórskie miasto, oblegane przez turystów z całego świata. Wielu z nich przypływa tylko na jeden dzień wielkimi wycieczkowcami.

KEITH LEVIT / DESIGN PICS EDITORIAL / GETTY IMAGE

↦ „Kilkunastogodzinne kolejki na przejściu granicznym w Konavle" – grzmią nagłówki. – „Ludzie czekają po dziesięć godzin w upale, aby przekroczyć chorwacko-czarnogórską granicę!". Oliwy do ognia dolewa ogłoszenie czarnogórskiej straży granicznej – w pierwszy weekend sierpnia granicę przekroczyło ponad 620 tys. osób – więcej, niż liczy cała populacja kraju.

Zagraniczne media, które piszą o „zalewie turystów", nie biorą pod uwagę lokalnej specyfiki: dla wielu ludzi przekraczających granicę Czarnogóra jest krajem tranzytowym, a na początku sierpnia odbywa się tradycyjna migracja pracowników sezonowych z Europy Zachodniej m.in. do Albanii, Kosowa czy Macedonii.

Turyści to nie wszystko

Postanawiam wybrać się na najbardziej obleganą granicę, czyli na przejście z Chorwacją w okolicach Dubrownika. Pierwszy przystanek robię w Virpazarze: turystycznym miasteczku położonym nad Jeziorem Szkoderskim. Luksusowy hotel znajduje się tu tuż obok partyzanckiego pomnika symbolizującego początek powstania przeciwko faszystom w 1941 r. Na pamiątkę tego wydarzenia obchodzi się tu święto narodowe przypadające na 13 i 14 lipca, a więc środek sezonu. Dla turystów bywa to sporym zaskoczeniem, bo wszystkie sklepy są nagle przez dwa dni zamknięte.

To w pewnym sensie kwintesencja tutejszej turystyki – w przeciwieństwie do sąsiedniej Chorwacji, kraj nie wydaje się podporządkowywać zupełnie gościom z zagranicy, nawet w letnie miesiące. Ludzie są życzliwi, ale bynajmniej nie służalczy, a zgodnie ze stereotypem o legendarnym czarnogórskim lenistwie, bywa i tak, że jeśli macha się kelnerowi, ten odmachuje i wraca do czytania gazety.

W zeszłym roku logistykę utrudniały protesty, które odbywały się na głównej drodze między morzem a stolicą. Na internetowych grupach poświęconych wyjazdom do Czarnogóry, często obok zachwytów nad pięknem kraju, widzę także wyrazy niezadowolenia – jeśli ktoś szuka tańszej i mniej zatłoczonej Chorwacji 2.0, może być rozczarowany. Czarnogóra jest w stanie zaoferować wiele, ale wymaga wysiłku logistycznego, odrobiny cierpliwości i świadomości kulturowych różnic.

GPS ma tu skłonność do przechodzenia w tryb „przygoda", a poruszanie się po mniej uczęszczanych drogach wymaga sprawnego klaksonu i znajomości kilku przekleństw.

W trybie przygoda

Głównym powodem do narzekań, zarówno turystów, jak i miejscowych, są gigantyczne korki. Rzeczywiście, czas przejazdu między nadmorskimi miejscowościami oddalonymi od siebie o kilkadziesiąt kilometrów potrafi wynieść dwie albo nawet trzy godziny. To cena tego, co w Czarnogórze najpiękniejsze, czyli ostrych, krasowych gór zajmujących większość kraju i sięgających aż po wybrzeże.

Na krętej drodze z widokiem na majestatyczny Kotor trzeba liczyć się nie tylko z długimi postojami, ale i ryzykownymi mijankami. Podobnie jest z szukaniem objazdu: GPS w Czarnogórze ma skłonność do przechodzenia w tryb „przygoda", a poruszanie się po mniej uczęszczanych drogach wymaga dużej odporności na stres, sprawnego klaksonu i znajomości kilku przekleństw w miejscowym języku.

Czasem wydaje mi się też, że w tym niewielkim kraju wszyscy są w ciągłym ruchu. Tak niedaleko tu z gór nad morze, z rybackich wiosek na średniowieczną starówkę, albo ze słynnego monastyru w Ostrogu do szesnastowiecznego meczetu, że żal nie pojechać.

Chińskie długi

Od dawna mówi się o planach budowy obwodnicy wokół takich miast jak Budva czy Tivat, ale nie są to bynajmniej proste ani tanie inwestycje. Czarnogóra bardzo chciałaby mieć lepsze drogi, ale musi uważać, bo to pragnienie doprowadziło już kraj do licznych problemów oraz spirali zadłużenia, kiedy budowę autostrady z południa na północ kraju powierzono chińskiej firmie państwowej.

Nie tylko chińskie, ale i rosyjskie czy tureckie inwestycje w turystykę nierzadko budzą wątpliwości, choćby ze względu na brak transparentności i podejrzenia o korupcję. Dzisiaj głównym graczem w regionie ponownie staje się Unia Europejska.

Czarnogóra zamyka kolejne rozdziały negocjacji i wiele wskazuje na to, że stanie się częścią wspólnoty już w 2028 r., co zapewne będzie mieć wpływ również na turystykę – może doprowadzić do wzrostu liczby turystów z krajów europejskich.

Najczęstszymi gośćmi w Czarnogórze są jednak mieszkańcy Serbii, którzy czują się tu jak u siebie, bo z Czarnogórcami łączą ich język, religia i spora część historii. Na drugim miejscu znajdują się Rosjanie, którzy według czarnogórskiego urzędu statystycznego zarezerwowali 16,4 proc. noclegów w 2025 r. Od 1 listopada tego roku, w związku z dopasowywaniem czarnogórskiego prawodawstwa do regulacji unijnych, będą oni musieli starać się o wizę, aby wjechać do kraju.

Jest świetnie

Kiedy rozmawiam z miejscowymi o problemach tegorocznego sezonu, śmieją się. Korki, upały, wzrost ceny benzyny – to przecież letni standard, jak figi i chłodzone arbuzy sprzedawane przy drodze. Oglądam archiwalny materiał telewizji czarnogórskiej z przełomu lipca i sierpnia 1979 r., niedługo po feralnym trzęsieniu ziemi. Mam wrażenie, że zmieniły się tylko uniformy policjantów i marki samochodów: na nagraniach dominują Zastavy, czyli popularne *fića* i *stojadiny*. Poza tym: korki, upały i dyskusje o cenach benzyny.

Kiedy pytam o nieoficjalne wrażenie z tegorocznego sezonu, najczęściej dostaję żartobliwą odpowiedź: „Nikt nie narzeka, to znaczy, że jest świetnie". Po rekordowym 2025 r., kiedy odnotowano 2,73 mln przyjazdów turystów, Czarnogóra liczy w tym roku na kolejny wzrost. Władze mówią o szansie na najlepszy sezon w historii, choć na razie nie ma to jeszcze oficjalnego potwierdzenia w statystykach. Wzrost zainteresowania krajem ma być efektem lepszych połączeń lotniczych i intensywniejszej promocji.

Jest jednak pewien szkopuł: wzrost jest pozorny, bo choć turystów z roku na rok jest coraz więcej, spada liczba noclegów,

a w konsekwencji także przychodów. Innymi słowy, turystów jest coraz więcej, a pieniędzy coraz mniej, choć nie bez znaczenia jest też duża szara strefa.

Ekonomista Rade Ratković mówi wprost: najwyższy czas na radykalną reformę, bo obecny model jest przestarzały i nieskuteczny, prowadzi do polityki braku równowagi i eksploatacji, zarówno środowiska, jak i lokalnych wspólnot.

Niedostępne enklawy

Innym problemem jest ogromne rozwarstwienie. Kiedy zatrzymałam się w Virpazarze i w końcu wytłumaczyłam nagabującemu mnie na wycieczkę po jeziorze mężczyźnie, że chcę tylko spokojnie wypić kawę, od razu się ożywił.

– Jesteś z Polski i mówisz po naszemu, zrobimy razem biznes, będziesz mi sprowadzać turystów, obydwoje na tym zarobimy – wpadł w entuzjazm, niemal wyrwał mi telefon z ręki i dodał się na Instagramie. Strategia poczty pantoflowej i drobnych wynajmujących oferujących swoje domy wakacyjne wciąż stanowi tu dużą część oferty.

Jednocześnie Kotor z przepięknym średniowiecznym starym miastem spotkał ten sam los co Dubrownik – turyści z całego świata przypływający drogimi wycieczkowcami dosłownie zadeptują miasto. Tuż obok znajdują się enklawy luksusu niedostępne zwykłemu śmiertelnikowi. Położone na skalistej wyspie miasteczko Sveti Stefan już w latach 50. zamienione zostało w hotel.

Dziś Czarnogórcy, chcąc obejrzeć własne dziedzictwo kulturowe, mogą zapisać się na płatną wycieczkę z przewodnikiem albo wynająć nocleg za kwotę kilku tysięcy euro. Mniej odgrodzona, ale równie niedostępna dla przeciętnego tubylca jest luksusowa marina i osiedle Porto Montenegro położone w nieodległym Tivacie, którego właścicielem jest fundusz inwestycyjny z Dubaju.

Złoty środek

O tym rozwarstwieniu w nadmorskim Herceg Novi rozmawiam z Anną Krauze-Radović, która razem z mężem Czarnogórcem pracuje w lokalnej turystyce.

– Rzeczywiście, mam wrażenie, że czasem brakuje tu złotego środka. Mamy albo bardzo drogie, luksusowe hotele, albo apartamenty trochę jak z czasów Tita – mówi.

To niejedyny problem położonego nieopodal granicy z Chorwacją Herceg Novi. Trwają ograniczenia w dostawie wody: od północy do piątej rano nie popłynie z kranów. Na początku września mieszkańców czekają znacznie ostrzejsze restrykcje – ze względu na czyszczenie i rewizję tunelu woda będzie tylko przez kilka godzin dziennie.

Ostatecznie na chorwacką granicę docieram przed północą. Kolejka wygląda na kilka godzin czekania, nie jestem gotowa na tak duże poświęcenie. Zawracam i jadę na lokalne przejście graniczne w Vitaljinie, położone zaledwie kilkanaście kilometrów dalej. Cała operacja trwa około godziny. Jakimś cudem w dobie sztucznej inteligencji i wszechobecnej nawigacji wciąż jest to dla turystów tajemnica.

– I niech tak zostanie – śmieją się znajomi Chorwaci. – Absolutnie nie pisz tego w artykule, bo jak się wszyscy dowiedzą, to za rok też będziesz stała.

Ucieczka w góry

Czarnogórskie wybrzeże może się pochwalić ogromną różnorodnością: to orientalny w swoim charakterze Ulcinj z twierdzą, w której według legendy więziony był Cervantes; frenetyczna Budva, symbolizująca kiczowatość tutejszej turystyki; dostojny Bar z portem i centrum przypominającym meksykańskie kapelusze; perełki Zatoki Kotorskiej, nazywanej najbardziej na południe wysuniętym fiordem Europy, takie jak Perast czy Risan.

Trwa fala upałów i po kilku dniach postanawiam zrobić to, co uczynili przodkowie Czarnogórców, chroniąc się przed Osmanami, a teraz powtarzają to ich potomkowie, chroniąc się przed upałami. Ucieknę w góry.

Wybór miejsc jest ogromny, widoki zapierające dech, a noce chłodne. Nie ma za to korków, tłumów ani hałasu. To tu, choćby w Durmitorze czy Górach Przeklętych, coraz prężniej rozwija się nowa turystyka na nowe czasy: kryzysu klimatycznego i potrzeby aktywności. Oby już bez rozbijania głowy kamieniem.

© ALEKSANDRA WOJTASZEK

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Zmiany na szachownicy

MAREK KĘSKRAWIEC

WOJNA W ZATOCE | Konflikt z Iranem zburzył delikatną równowagę na Bliskim Wschodzie i zachwiał pozycją USA jako światowego hegemona. Przerażone państwa regionu zaczęły budować nowe sojusze.

Prymat Stanów Zjednoczonych od wielu lat opiera się na militarnej, gospodarczej i technologicznej przewadze nad całym światem. W zamian za zaakceptowanie tego faktu, hegemon musi jednak wypełniać pewne obowiązki. Jednym z najważniejszych jest gwarancja wolnej żeglugi na morzach i oceanach oraz pełnienie roli żandarma w newralgicznych punktach globu, głównie na Bliskim Wschodzie.

Co prawda, tak jak w przypadku wojny w Iraku, wychodzi z tego często chaos, który trzeba potem latami przywracać do jakiej takiej równowagi, ale świat wciąż nie dorobił się lepszego zarządcy. Bez USA region, w którym krzyżują się ambitne interesy Izraela, Egiptu, Turcji, Arabii Saudyjskiej, Emiratów oraz Iranu, byłby tylko wielką beczką prochu.

Mieli paść na kolana

Byłby, ale może lepiej użyć słowa „będzie", bo ostatnie tygodnie wojny wytoczonej Iranowi przez USA i Izrael (dziś stojący już z boku konfliktu), świadczą o tym, że przynajmniej w tym kluczowym dla świata regionie prymat Stanów Zjednoczonych odchodzi do przeszłości, pozostawiając właśnie chaos. Mimo ściągnięcia jednej trzeciej floty imperium i rażenia niemal 30 tys. celów Waszyngton nie jest w stanie rzucić Iranu na kolana.

Opór przeciwnika to szok dla Donalda Trumpa, który w lutym był przekonywany przez swojego sekretarza wojny, Pete'a Hegsetha, że Iran się załamie, gdy precyzyjnymi atakami rakietowymi wybije się przywódców jego armii oraz zakończy żywot ajatollaha Alego Chameneiego wraz z rodziną. Do żadnej katastrofy systemu nie doszło i to pomimo że w styczniu Iran przeżył największe w historii islamskiej republiki protesty.

Państwo przetrwało bunt społeczny oraz późniejsze fale nalotów, a błyskawiczny proces zastępowania zabijanych z powietrza przywódców jeszcze bardziej nieustępliwymi personami, stał się ewenementem na skalę świata.

Z tak zideologizowanym, a do tego ogromnym i górzystym krajem nie da się wygrać wojny samymi nalotami. Można oczywiście zniszczyć infrastrukturę krytyczną, bombardując elektrownie, ujęcia wody, dworce, lotniska oraz mosty, ale byłaby to zbrodnia wojenna i nawet Trump, szokujący świat groźbami cofnięcia cywilizacji perskiej do epoki kamienia, nie jest chyba gotowy na taką eskalację. Zwłaszcza że nie ma gwarancji, iż przyniosłaby ona efekty.

Obecne elity Iranu zostały w zdecydowanej większości uformowane podczas rewolucji oraz ośmioletniej wojny z Irakiem. Najważniejsi politycy mają w życiorysach służbę na wysokich stanowiskach Korpusu Strażników Rewolucji i od co najmniej trzech dekad żyją w przeświadczeniu o nieuchronnej konfrontacji z Ameryką, ćwicząc najróżniejsze scenariusze. Ta wojna jest więc bardziej jak spełnienie proroctwa niż klasyczny dla tego regionu konflikt.

Stanom brakuje broni

W takich warunkach niespełnione groźby Trumpa stają się oznakami jego słabości, która rozzuchwala Teheran i przeraża zarazem arabskie państwa Zatoki Perskiej. Każde z nich wie, że eskalacja ze strony USA oznaczałaby bezpardonowe ataki odwetowe na każdy kraj, który gości wojska amerykańskie.

Biorąc pod uwagę, że Iran wciąż posiada ok. 2 tys. rakiet balistycznych i dziesiątki tysięcy dronów, mogłoby to oznaczać katastrofę arabskich gospodarek opartych na morskim eksporcie ropy, gazu i nawozów, a także dramat społeczeństw, uzależnionych w tym pustynnym regionie od odsalania wody morskiej.

Stany Zjednoczone nie są już w stanie skutecznie zapewnić bezpieczeństwa ani Arabii Saudyjskiej, Emiratom, Bahrajnowi, Jordanii czy Kuwejtowi, ani swoim własnym bazom w regionie. Informacje na temat ogromnych braków amunicji

FATEMEH BAHRAMI / ANADOLU / AFP/ EAST NEWS

Antyamerykański billboard przedstawiający upadłą Statuę Wolności i tłumy niosące irańskie i szyickie flagi. Plac Rewolucji w Teheranie. Iran, 3 sierpnia 2026 r.

zarówno do systemów defensywnych, jak Patriot i THAAD, czy też broni ofensywnych, jak pociski Tomahawk i ATACMS – pochodzą z bardzo wiarygodnych źródeł. Informuje o tym m.in. CNN, Reuters oraz „The Washington Post", i nawet jeśli są to wiadomości czasami przesadzone, skłaniają do ważnego wniosku.

Ameryka nie jest w stanie długo prowadzić tej wojny. Żeby naprawdę pokonać Iran, musiałaby zbyt mocno się osłabić, to zaś jest na rękę Chinom, które Trump przez ostatnie półtora roku próbował nieudolnie zdominować.

Stąd zapewne ostatnie oświadczenia Trumpa, wedle których USA planują raczej długotrwałą blokadę gospodarczą Iranu niż eskalację; o inwazji lądowej nikt już chyba w Waszyngtonie nie myśli. Byłaby to krwawa rzeźnia dla obu stron i nawet jeśli przyniosłaby siłowe przejęcie okolic cieśniny Ormuz, teren ten pozostałby niespokojny. Ataki małych irańskich komand uzbrojonych w ręczne wyrzutnie, drony i szybkie motorówki siałyby taki chaos, że ubezpieczenie tankowców stałoby się niemożliwe. Ameryka toczy tę wojnę zbyt daleko od swych granic, by móc wykazać oczekiwaną skuteczność wobec wroga zdeterminowanego walką o życie.

Prezydent USA musi też wiedzieć, iż jego wojska w pobliżu Zatoki Perskiej są bardzo zmęczone. 5 tys. marynarzy lotniskowca USS Abraham Lincoln jest już na morzach i oceanach od ponad 250 dni (to rekord US Navy), z czego większość czasu czeka w napięciu na rozkaz inwazji lub obrony przed rakietami Iranu. Co rusz w amerykańskich mediach pojawiają się informacje od rodzin żołnierzy o awariach na okręcie, wszechobecnej pleśni, niedoborach jedzenia i fatalnym stanie psychicznym marynarzy. Branżowy „Navy Times" donosił nawet o zdesperowanych żołnierzach, którzy próbowali wyskoczyć za burtę lotniskowca.

Szejkowie w strachu

Na wszystko to patrzą arabscy szejkowie, coraz mocniej przekonani, że nie mogą już liczyć na skuteczność zamorskiego sojuszu z USA, więc muszą budować własne, bliższe. Dotychczas w zamian za ochronę godzili się na prymat petrodolara (czyli systemu sprzedaży ropy opartego wyłącznie na walucie amerykańskiej), a także od lat inwestowali zyski w papiery skarbowe USA oraz w firmy skupione na nowych technologiach. Zapewne nie dojdzie szybko do zerwania tego przymierza, ale na pewno ulegnie ono erozji, co może wywołać ogromne tąpnięcie na giełdzie i w gospodarce Stanów.

Powyższe analizy stoją za nowym sojuszem, który bogata Arabia Saudyjska (zmagająca się z armią jemeńskich Hutich) zawarła z Turcją, prawdziwą potęgą militarną, oraz Pakistanem, który ma w swym arsenale ponad 150 głowic atomowych. Pakt ma charakter obronny, jak NATO, ale zarazem jest bardzo ofensywnym i czytelnym komunikatem. Skierowanym zarówno przeciwko Izraelowi, który obecnie zyskał na chaosie w regionie i nie chce zgodzić się na wynegocjowany przez Trumpa kompromis z Hamasem, jak i przeciwko coraz bardziej buńczucznemu Iranowi, który pragnie wypchnąć USA z regionu i stać się patronem dla państw Zatoki.

Świadczą o tym progowe żądania Teheranu, dogadującego się z Omanem w kwestii opłat za bezpieczne przepłynięcie Ormuzu (szlak ten przekracza ledwie kilkanaście statków dziennie, podczas gdy normalny ruch to ok. 130 statków na dobę). Już to stanowi policzek dla prymatu USA, bo tworzy barierę dla żeglugi z ogromnymi konsekwencjami gospodarczymi dla całego świata.

Dodatkowo Iran uzależnia powrót do negocjacji od odblokowania swych portów i wycofania wojsk USA z regionu, wypłaty odszkodowań za bombardowania infrastruktury i śmierć cywilów (m.in. 168 ofiar ze szkoły w Minab), odmrożenia kont w zagranicznych bankach oraz zaprzestania gróźb ze strony władz USA.

Pycha Teheranu

Co ciekawe, nie wygląda na to, by Irańczycy chcieli w ogóle dyskutować o swym programie atomowym, Donald Trump zaś nie jest w stanie nic na nich wymusić. Tym bardziej że zdaje sobie sprawę, iż nawet w USA opinia publiczna jest sceptyczna, czy próby zdobycia broni jądrowej przez ajatollahów były uzasadnionym pretekstem do wojny. Wśród ekspertów dominuje narracja, wedle której nie ma żadnych dowodów, by Iran w ostatnim czasie dążył do tego celu, a odkąd okazało się, jak łatwo może zablokować Ormuz – Teheran nie ma specjalnej motywacji do prób dalszego wzbogacania uranu w mocno zniszczonych przez naloty zakładach.

Władze w Iranie stały się w ostatnich dniach bardzo pewne siebie. Są mniej uzależnione od eksportu ropy niż inne państwa regionu, mają też liczne powiązania gospodarcze oraz połączenia drogowe i kolejowe z Azją Środkową, które są na granicy zasięgu wojsk powietrznych USA. Ajatollahowie i generałowie powinni jednak pamiętać, że z powodu amerykańskiej blokady portów gospodarka kraju jest w głębokim kryzysie, co może doprowadzić za jakiś czas do kolejnego, gwałtownego buntu społecznego.

Państwa regionu też nie będą stać bezczynnie, już myślą o zmianie sposobu eksportowania ropy. Zamiast tankowców, mają być głęboko wkopane rurociągi omijające szeroko Ormuz. Jeśli powstaną, to z powodu uporu Iranu, stając się kolejnym elementem, który zmieni ustawienie figur na niepokojącej cały świat bliskowschodniej szachownicy. ©℗

ROZMOWA

OJCIEC, ZDOBYWCA

MAREK KAMIŃSKI, PODRÓŻNIK:

Gdybym jako rodzic miał zainwestować milion w edukację dzieci i miałbym do wyboru studia na Harvardzie albo wyprawę na biegun, wybrałbym biegun.

KAMIŃSKI FOUNDATION

MARCIN TUSIŃSKI: Gdzie teraz jesteś?

MAREK KAMIŃSKI: W domu, ale nie sam; mamy tu takie *open space*.

To dobre warunki do rozmowy?

Nie mam takich rzeczy, o których nie mógłbym mówić w domu. Jeżeli nie mógłbym powiedzieć czegoś tutaj, to nie mógłbym też powiedzieć obcemu facetowi.

I jak Ci wychodzi życie w kapciach?

Nie chodzę w kapciach, wolę na bosaka. Lubię być w domu. Czasami się zastanawiam, czy podróże wciąż są mi potrzebne, bo tutaj mam wszystko.

Kiedy umawialiśmy się na ten wywiad, poprosiłeś, żebym wysłał Ci zaproszenie do kalendarza, maila do biura i jeszcze przypomniał esemesem. A potem się okazało, że Twoja córka ma urodziny i trzeba wszystko przełożyć. Nie brzmi to jak życie człowieka zadomowionego.

Mam napięty kalendarz. Staram się nie zawodzić ludzi, i tyle. Z mojego punktu widzenia prośba o to, żeby wysłać zaproszenie do kalendarza, to standard. Były urodziny córki i w ostatniej chwili okazało się, że restauracja, w której mamy mieć imprezę, jest nieczynna. Nie ma co demonizować.

Kiedy wróciłem z ostatniej wyprawy na Biegun Południowy, adaptowałem się do życia, musiałem wrócić do pewnych nawyków, zapoznać się z emocjami. To trochę tak, jakby wracać do życia po urlopie. Byłem tam z synem Kayem i po dotarciu na miejsce miałem w planach wrócić sam na nartach z kaytem (rodzajem spadochronu) przez Antarktydę, ale doszedłem do wniosku, że zakończę tę podróż z synem. I zacząłem odczuwać pustkę.

Znajoma Norweżka, która szła z córką na Biegun Południowy, miała jakiś czas temu wypadek, właśnie na kaycie. Spadochron ją pociągnął, zaklinowały się sanki... i tak sobie pomyślałem, może trochę na wyrost, że Kay uratował mi życie. Trochę tak, jak wtedy, gdy miałem jechać na Everest z Robem Hole'em. To była najbardziej tragiczna wyprawa w 1996 r. Rob zginął. Gdy przedtem rozmawialiśmy o możliwości mojego wyjazdu, Kay to usłyszał i poprosił, żebym mu obiecał, że bez jego zgody nie wyjadę. Miał wtedy 9 lat. Obiecałem, że nie pojadę, bo uznałem, że są rzeczy ważniejsze niż Everest. W „Dzienniku Mocy" pisałem, że na szczyt nie docierają najsilniejsi, tylko najbardziej odporni.

Syn stał się na chwilę ojcem?

Nie, nie stał się ojcem. Po prostu stał się jakimś głosem, który coś mi powiedział, człowiekiem.

Jakiego człowieka zobaczyłeś w Kayu podczas wyprawy?

To się okaże za jakiś czas. Podczas wyprawy zbudowaliśmy więź, która jest trudna do opisania. Przed nią robiliśmy ćwiczenia, oglądaliśmy filmy, czytaliśmy książki i starałem się nawet przesadzić, mówiąc, że będzie jeszcze gorzej, niż myśli: zimno, wysoko, ciężko. Ale jednak moment, kiedy wysiada się z samolotu na wysokości 3 tys. metrów w punkcie startu, to było zderzenie ze ścianą.

Było znacznie ciężej, niż to sobie wyobrażał. Szok, strach, lęk, nieporadność. Ale szybko się zmieniał, adaptował do nowej rzeczywistości. Dużo rozmawialiśmy. Kay zajmuje się rapem. Wytłumaczył mi, skąd to zainteresowanie. Często zaskakiwał mnie swoimi odpowiedziami. Np. kiedy zastanawiałem się na głos, jakby to było, gdybym spotkał tutaj młodego mnie sprzed 30 lat. Kay odpowiedział, że tamten Marek powiedziałby, że jest mu ciężko. Tak samo ciężko, jak mnie teraz. Zaskoczyło mnie to. Zrozumiałem, że odporność to nie jest twardość. To umiejęt-

MAREK KAMIŃSKI jest filozofem i podróżnikiem ekstremalnym. Jako pierwszy na świecie zdobył oba bieguny Ziemi bez pomocy z zewnątrz. Zaangażowany w projekty „LifePlan Academy", „Power4Resilience" i Kamiński Academy, które polegają na budowaniu odporności życiowej.

Na zdjęciu od lewej: Z synem Kayem na Biegunie Południowym, 31 grudnia 2025 r. Z synem na lotnisku Okęcie po powrocie z wyprawy na Biegun Południowy. Warszawa, 12 stycznia 2026 r.

RADEK PIETRUSZKA / PAP

ność rozmowy, przyznania się do strachu, słabości.

W Kaminski Foundation uczymy nauczycieli i rodziców, jak budować w dzieciach siłę, zanim przyjdzie kryzys. Ta wyprawa tylko utwierdziła mnie w przekonaniu, że relacja jest ważniejsza niż rekord.

To było jego marzenie czy Twoje?

Ja nie mam marzeń dla dzieci. Uważam, że powinny mieć swoje. Czasami fajnie podzielić się doświadczeniem, zrobić coś razem, ale moim marzeniem nie było nigdy to, żeby robić ekstremalne wyprawy z dziećmi.

A gdyby Kay został np. informatykiem i siedział w domu?

Myślę, że trudniej byłoby, gdyby chciał robić ekstremalne wyprawy. Już wolałbym, żeby był informatykiem. Dlatego miałem wątpliwości, kiedy wyszedł z inicjatywą tego wyjazdu. Kiedy był dzieckiem, czasem mówiłem, że pójdziemy razem na biegun i będzie najmłodszym zdobywcą, ale nie chodziło mi o to, żeby przygotowywał się do wypraw, nie myślałem o tym na poważnie. Przed tą wyprawą Kay wytłumaczył mi, że gdy w czasie wakacji pracował w mojej fundacji jako wolontariusz, zobaczył zdjęcia z Antarktydy. I zaczął wyobrażać sobie siebie w takiej sytuacji. Ostatecznie zrozumiałem, że zrobię wszystko, żebyśmy pojechali tam razem, że może jednak ta Antarktyda jakoś człowieka przywołuje.

Antarktyda czy ojcowskie oczekiwania?

Kiedy był dzieckiem, opowiadałem mu o wyprawach na takiej zasadzie, jak mówi się dziecku, że możemy poszukać skarbu, żeby zmotywować je do wyjazdu na narty.

Jacek Walkiewicz zapytał kiedyś Kaya, czy jestem dominującym ojcem. Kay odpowiedział, że nie.

Potrafisz słuchać?

Wszystkie moje osiągnięcia wynikały z tego, że umiałem słuchać. Potrafiłem się zatrzymać przy Wojtku Moskalu, przy Janku Meli i to zmieniło moje życie.

Nie obraź się, ale mam wrażenie, że nie jesteś człowiekiem słuchania. Mam raczej wrażenie, że jesteś człowiekiem opowieści, że snujesz pewien mit i ludzie z tego korzystają, ale łatwo stać się niewolnikiem własnego mitu.

Wydaje mi się, że opowiadanie nie stoi w sprzeczności ze słuchaniem. Sprzeczności mogą się łączyć, nawet w jednym człowieku.

Jestem zdobywcą, bo zdobyłem te bieguny, nie da się ukryć. Jestem autorem książek. Ale nie ma we mnie przymusu, żeby ten mit podtrzymywać. Jeżeli chciałbym zrobić jakąś wyprawę w przyszłości, to także dla siebie, bo to pułapka, żeby robić rzeczy tylko i wyłącznie dla innych ludzi. Trzeba też pamiętać o sobie, ale nie o swoim ego.

Z jakimi trudnościami mierzy się Twoja rodzina?

Myślę, że ceną, którą rodzina płaci za moje wybory, jest moja nieobecność w domu. Podczas wyprawy z Jankiem Melą było między nami napięcie, bo żona była akurat w ciąży. Nie była zachwycona, że wybieram się na tę wyprawę. Podobnie było podczas wyprawy na Camino. Ale myślę, że napięcia w takiej czy innej formie przeżywają wszystkie związki i staram się po wyprawach zrobić coś z nimi razem, przeżywać moje doświadczenie z wyprawy razem.

Trzeba być bardzo niezależnym, żeby udźwignąć taki rodzaj relacji.

Moja żona ma swoje życie. Radzi sobie, zajmując się sobą i dbając o siebie. Na początku wiele rzeczy robiliśmy razem. Kasia była pierwszą Polką na Biegunie Północnym, pojechaliśmy do źródła Amazonki, do Afryki, do Ameryki Południowej, wspinaliśmy się w Dolomitach. Potem, siłą rzeczy, był dom i zajmowanie się domem.

Z wyboru czy konieczności? ↦

↦ Z wyboru, oczywiście. Ja zrezygnowałem z ekstremalnych wypraw i byłem często w domu, ale to Kasia podjęła decyzję, żeby poświęcić czas rodzinie, za co jestem jej bardzo wdzięczny.

W jakim domu Ty się wychowywałeś?

Mam takie szczęście, że tata żyje i często nas odwiedza. Zawsze spędzaliśmy dużo czasu razem. Wychowywałem się w małym mieszkaniu, ale tata miał też pole. Zabierał mnie ze sobą. Nie narzucał mi żadnych wyborów. Mama zapisywała mnie na wszystkie możliwe kursy, żebym grał na pianinie, tata zachęcał do czytania książek, ale to nie było idealne dzieciństwo.

Babcia i tata przywiązywali dużą uwagę do tego, co ludzie powiedzą. Ja z kolei starałem się nie przywiązywać do tego wagi. Dawali mi przestrzeń. I to od nich nauczyłem się, że ważne jest dawać ją dzieciom. Moje maluchy chodziły do przedszkola Montessori, w którym daje się dzieciom dużo swobody. W przypadku córki to super zadziałało, bo ona to wykorzystała do rozwoju, ale Kay, jak nie musiał nic robić, to nie robił nic. Dlatego nie uważam, żeby dawanie wolności było zawsze dobre, ale częściej się sprawdza, niż nie.

Dzieci dokonują wyborów. Ja mogę im tylko pomagać. Kay ma 18 lat, Pola 21, więc trudno, żebym im planował życie, ale kiedyś dużo rzeczy robiliśmy razem: wakacje, ferie zawsze spędzaliśmy rodzinnie, wyjeżdżając na narty, na szalone wyjazdy. Chyba trzy razy podróżowaliśmy z Kayem dookoła świata, byliśmy z dziećmi kilka razy w Japonii, nurkowaliśmy w Polinezji, kiedy miał 14 lat. Zrobił licencję. Sam chciał ze mną nurkować. Pływaliśmy z rekinami. Pola nie chciała nurkować, więc odpuściła.

Ja tu słyszę ojca poza domem. Nie słyszę ojca w domu.

Opowiadam o wakacjach i feriach, w domu wymyślaliśmy różne rzeczy, graliśmy, odrabialiśmy razem lekcje. Tak jak mówiłem: ważne było to, żeby dawać im przestrzeń, żeby dzieci mogły spędzać czas z rówieśnikami.

Zanim pojawiły się dzieci, rzeczywiście uważałem, że ten zewnętrzny świat jest ważny, ale w końcu zrozumiałem, żeby w tym wszystkim nie zapominać o rodzinie. Staram się być całością i to nie znaczy, że przynoszę siebie z wypraw do domu. Ja na wyprawach także jestem ojcem i tym samym człowiekiem, co w domu. W domu jestem też tym człowiekiem z wypraw. Najważniejsze w podróżach jest to, że mogę być wewnątrz siebie i przynieść to tutaj. Cieszą mnie detale, jak choćby ciepła woda z kranu. To uczy doceniać proste rzeczy.

Czyli udało Ci się znaleźć równowagę?

Wyprawa z Kayem była dla mnie ważniejsza niż kolejna samotna podróż. Okazuje się, że do następnego wyjazdu na Antarktydę chce dołączyć także moja córka Pola, trochę pod wpływem Kaya. Robi się z tego wyprawa rodzinna. Kiedy dorastali, sądziłem, że w okresie dojrzewania zapomną, że nie będę z nimi podróżował. Dlatego myślę, że to naprawdę dużo, że oni z własnej woli tego chcą. To jest dla mnie największa nagroda.

Gdybym jako rodzic miał zainwestować milion dolarów w edukację swoich dzieci i miałbym do wyboru zapłacić za studia na Harvardzie, Stanford czy Berkeley, albo wyprawę na biegun, to wybrałbym wyprawę na biegun, bo tam człowiek doświadcza siebie bez masek. Ale nie każdy musi jechać na biegun. W Fundacji przekładamy to doświadczenie na codzienność — uczymy młodych ludzi, jak mierzyć się z własnymi granicami, budować sprawczość i odpowiedzialność. Biegun jest metaforą.

Każdy ma swój?

Mogę różne rzeczy mówić o sobie: że jestem otwarty, zamknięty, dopuszczam do siebie ludzi lub nie i wszystkie będą prawdą, ale dla mnie liczy się tu i teraz. A teraz ważne jest to, że Kay chce ze mną iść na koniec świata, że moja córka chce ze mną jechać na Antarktydę. Za rok będzie co innego. Będziemy mieli inne plany. Mój syn chce projektować ubrania, córka malować. Być może razem namalujemy jakiś obraz i to będzie ważne.

Kiedy patrzę na Andrzeja Bargiela, który zjeżdża na nartach z ośmiotysięczników, to myślę, że trzeba mieć jakiś gen szaleństwa albo potrzebę ucieczki, żeby robić takie rzeczy. Podobnie myślę o Twoich dokonaniach.

Zawsze interesował mnie człowiek i możliwości ludzkie. Mogłem wybrać ciepłe kapcie i korporację, ale największą możliwość do odkrywania człowieka i świata dostrzegłem w wyprawach ekstremalnych. Trudno mi ocenić siebie z zewnątrz, ale nigdy nie miałem wewnętrznej potrzeby, żeby przed czymś uciekać. Szedłem w wielkie nieznane i z każdą wyprawą coraz trudniej było mi opuszczać dom i rodzinę.

Mit bohatera znasz pewnie lepiej ode mnie. To człowiek, który jakiś jest – niepewny siebie, zbyt pewny siebie albo samolubny. Nagle pojawia się problem. Wyrusza w drogę i przechodzi przez różne przygody. U kresu podróży orientuje się, że odpowiedź od początku miał pod nogami.

Ja znam wersję bez egoisty na początku. Człowiek wyrusza w podróż, która go zmienia z różnych powodów – i dojrzewa.

Trzeba jechać aż na biegun?

Nie trzeba, ale można. Przypomina mi się scena z pewnego japońskiego filmu o himalaistach. Bohater stoi pod Everestem i pyta: dlaczego chcę tam wejść? Odpowiedź brzmi: bo tutaj jestem. Nie, że ja – ego, tylko człowiek, który ma wolną wolę. Tylko tyle. Nie wiem, czy jest duża różnica między tym, czy zdobędziemy wiedzę tutaj, czy tam. Ja po prostu zdobyłem ją tam.

Dokąd zmierzasz?

Prawdę mówiąc, nie wiem. Chciałbym zorganizować kilka wypraw, ale nie dlatego, że muszę. Owszem, łatwo stać się niewolnikiem własnych dokonań, ale z drugiej strony, jeśli lubimy pisać książki i piszemy jedną za drugą, czy jest w tym coś złego? Wiem, że chcę wrócić do świata wypraw choćby na chwilę, ale nie wiem, dokąd zmierzam. Kiedy wiosną zapytałem Kaya, jakie studia wybierze, bo zdawał w tym roku maturę, odpowiedział, że nie wie, bo do września jeszcze dużo czasu. „Droga wiedzie w dal i w dal, gdzie się zaczęła: tuż za progiem, a gdzie się skończy: nie wiem sam".

Dziś wiem, że najważniejsze nie jest to, dokąd zmierzam, ale z kim idę. Bieguny są spektakularne, prawdziwa praca odbywa się jednak w relacjach. W domu, w fundacji, w rozmowie z drugim człowiekiem. I to jest moja droga na teraz.

© Rozmawiał MARCIN TUSIŃSKI

WOJCIECH

Bonowicz: *Nienasycenie*

Wchodzę do rzeki ostrożnie. Skóra na moich stopach nie jest tak gruba, jak na stopach dziadka czy nawet taty, więc muszę ostrożnie stąpać po kamieniach, których woda nie zdążyła jeszcze wygładzić. Mama każe patrzeć pod nogi, bo w rzece mogą być kawałki rozbitego szkła albo rdzewiejąca puszka po konserwie. I jeszcze trzeba uważać na glony, zwłaszcza zielenice, na których łatwo się poślizgnąć. Tyle niebezpieczeństw, a jednak zanurzenie stóp w zimnej, płynącej wodzie jest pokusą tak silną, że dla niej pokonać można każdy strach.

Rzeka nazywa się Bela, płynie tuż za domem dziadków. Jest raczej płytka, można bez trudu przejechać przez nią wozem i przegnać krowy, żeby mogły paść się na łące po drugiej stronie. Do zakola, gdzie jest głębiej, zbliżać się nie wolno. Mimo że brodzę w wodzie tylko do połowy łydki, wydaje mi się, że naprawdę jestem odważny. Czuję, jak coś ociera się o moje kostki. Może to rybki? Choć rzeka nie jest zbyt czysta, małe rybki jeszcze się w niej widuje.

Nad Sołę w Oświęcimiu chodzimy w miejsca, gdzie jest jeszcze płyciej, a na brzegu jest dużo kamieni. W upalne dni kamienie są tak gorące, że z trudem daje się boso dojść do wody. Soła jest szeroka i można na niej puszczać kaczki. To jedno z najprzyjemniejszych zajęć: wyszukiwanie płaskich kamieni, a potem takie układanie ich w dłoni, żeby po wyrzuceniu odbijały się od powierzchni wody dwa, trzy, cztery razy.

W dzieciństwie zmysły są nienasycone. „Wyjdźże wreszcie z tej wody". Jak wyjść, skoro właśnie teraz w zimnym strumieniu palce zaczynają przyjemnie drętwieć? A jeśli można się zanurzyć po szyję, to usta robią się fioletowosine i jakby mniejsze, ciaśniejsze. Nie, nie można wyjść, dopóki wszystkiego się nie dotknie, nie spróbuje samemu, czy woda jest słodka (tak mówili w radiu: w rzekach wody są słodkie), nie skaleczy palca o ostrą krawędź kamienia, nie zamoczy majtek, które od wody robią się ciężkie.

Dobrze, jeśli nienasycone zmysły są jak najczęściej poza domem. Dziś europejscy uczeni alarmują, że liczba dzieci, które regularnie spędzają czas na świeżym powietrzu, nieustannie spada. Nie chodzi tylko o brak ruchu, koniecznego dla prawidłowego rozwoju. Angielski pisarz i podróżnik Robert Macfarlane w wywiadzie dla lipcowego „Znaku" zwraca uwagę, że dzieciom, które mają ograniczony kontakt z naturą, trudniej będzie „postrzegać siebie jako część tej wielkiej, przyjaznej i żywej sieci powiązań". W dzieciństwie, zwłaszcza wczesnym, „las czy rzeka mają własny głos i są pełnoprawnymi bohaterami wyobraźni". W naturalny sposób przyjmujemy postawę uważności i otwarcia na to, co inne. Ale jeśli inne jest tylko ekranem, część naszych zmysłów tępieje, a nasze „ja" zaczyna nadmiernie skupiać się na sobie.

Wielkie szczęście: mogę pogłaskać krowę, dotknąć jej rogów, przesunąć palcami po miękkich i mokrych nozdrzach. Podsuwam krowie jabłko, które właśnie spadło z drzewa, i z radością przyglądam się, jak miażdży je zębami, a sok spływa jej po pysku. Zapamiętale tłukę bąki, które siadają jej na grzbiecie, koło ogona i w pobliżu oczu. Uczę się ostrożnie podawać jej kępę zerwanej trawy. Uczę się przy okazji trawy, która przecież jest zbiorowiskiem wielu gatunków; niektóre źdźbła są soczyste i delikatne, a inne mogą mnie skaleczyć.

Nienasycone zmysły zapamiętują wszystko. Nie do każdego wspomnienia ma się później dostęp, ale każde zostaje zachowane: jeśli umysł nie pamięta, pamięta skóra. Akurat ja dużą część letnich wakacji spędzałem na wsi i tamte wspomnienia są najsilniejsze. Ale i w pozostałe miesiące ciągle chodziliśmy – najpierw z rodzicami, a potem sami – na dłuższe lub krótsze spacery. Niekoniecznie poza miasto. Macfarlane przypomina, że miasta to także „kipiące cudownością ekologiczne fenomeny", gdzie natura „kwitnie, adaptuje się i improwizuje".

Nietrudno nauczyć się uważności tam, gdzie wszystko jest nowe, dopiero poznawane. Trudniej o uważność w otoczeniu codziennym, które – choć przebogate – szybko powszednieje. Może dlatego nie doceniamy przyrody w mieście i musimy dopiero wyjechać „na łono przyrody", żeby jej obecność stała się bardziej dojmująca. Najlepszą, bo najzwięźlejszą definicję uważności znalazłem kiedyś u Krystyny Miłobędzkiej. „Tak zobaczyć, żeby widzieć, i tak słuchać, żeby usłyszeć", powiedziała w wywiadzie. To takie proste? Dlaczego więc takie trudne?

Mały chłopiec wydaje się nieuważny. Ale to tylko pozór. Chłonie wszystko, chce wszędzie zajrzeć, wszystkiego się dowiedzieć. Zamyka w dłoni pasikonika i czuje przyjemne łaskotanie. Leżąc w trawie, z „żabiej" perspektywy przygląda się roślinom, które wyglądają zupełnie inaczej od dołu niż od góry. Zapamiętuje zapach sadu pogrążonego w upale i zapach tego samego sadu o świcie, kiedy wszystko jest jeszcze mokre od rosy. Kiedy zamyka oczy, żeby na chwilę się skupić, słyszy naraz tyle dźwięków, że natychmiast musi otworzyć je z powrotem. ©

Wojciech Bonowicz jest poetą i społecznikiem. Autor biografii, rozmów rzek oraz „Dziennika pocieszenia".

WIARA

WIARA I VANCE

Książka „Komunia. Powrót do wiary” wiceprezydenta USA to nie tylko historia jego nawrócenia na katolicyzm. To także opowieść o amerykańskiej religijności, która tłumaczy politykę.

PIOTR POPIOŁEK

J.D. Vance w Bazylice św. Piotra, Wielki Piątek, 18 kwietnia 2025 r.

Wiara chrześcijańska, którą wykształciłem do piętnastego roku życia, miała charakter konfrontacyjny: odcinała mnie od mainstreamowej kultury, a nawet wzbudzała we mnie przed nią lęk. Zacząłem doszukiwać się ataków na moją wiarę, czy to ze strony nauczycieli w szkole, czy książek, które czytałem. Pierwsza część »Harry'ego Pottera«, która wyszła tuż po moich czternastych urodzinach, wzbudziła oburzenie moich współwyznawców. Nie czytaliśmy jej, ale byliśmy całkowicie przekonani, że zawiera prawdziwe satanistyczne rytuały, a jej popularność jest bezpośrednim dowodem diabelskiego oddziaływania na kulturę. [...] Lubiłem także klasyczny rock, ale wyrzuciłem większość moich obrazoburczych płyt CD, takich jak Black Sabbath, i schowałem moje albumy Led Zeppelin”.

Tak pisze J.D. Vance w niedawno wydanej autobiografii „Komunia. Powrót do wiary” („Communion: Finding My Way Back to Faith”). Jej lektura pokazuje nam nie tylko duchową drogę, jaką przeszedł obecny wiceprezydent USA. Mówi też o religijności – w tym wypadku amerykańskiej, choć przecież nie tylko – budowanej na lęku przed nieznanym i definiowanej przez zakazy. Która łatwo staje się pożywką dla populizmu i autorytaryzmu. Oraz narzędziem walki z politycznym wrogiem.

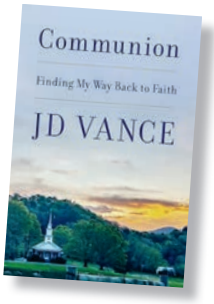

Papież kontra prezydent

Sympatia chrześcijan wobec administracji Donalda Trumpa różni się, w zależności od denominacji – mówią najnowsze badania Marquette University Law School dla amerykańskiego „Newsweeka”. Wśród „nowo narodzonych” (*born-again* – „narodzeni na nowo z Ducha”, jak często nazywa się protestantów ewangelikalnych) poparcie dla prezydenta i jego ekipy stabilnie rośnie (od 56 proc. do 61 proc.), natomiast u katolików – systematycznie spada (z 54 proc. do 45 proc.). Nie są to duże skoki, ale trend wart jest zauważenia. Można przypuszczać, że jednym z powodów utraty sympatii wśród katolików jest konflikt pomiędzy administracją USA i Stolicą Apostolską (nawet jeśli został on trochę podkoloryzowany przez media, zwłaszcza społecznościowe), a nawet – patrząc szerzej – sam pontyfikat Leona XIV. Amerykański papież zdaje się być przeciwwagą dla rządów Trumpa: jego wypowiedzi interpretowane są jako odpowiedzi na słowa i działania amerykańskiego prezydenta, nawet jeśli *explicite* nie odnoszą się do polityki USA. Różnice wydają się fundamentalne w licznych kwestiach: jak szacunek dla migrantów i najuboższych, podejście do wojny i do kary śmierci. A więc w tych dotyczących zagadnień katolickiej nauki moralnej i etyki społecznej.

Pytanie o to, jak katolicy odnajdują się wśród zwolenników Trumpa, wydaje się ciekawe. Ale jeszcze ciekawsze może być pytanie, jak odnajdują się w jego najbliższym kręgu, będąc – jak J.D. Vance czy Marco Rubio – częścią jego administracji i polityki, krytykowanych przecież przez Stolicę Apostolską.

KENNY HOLSTON - POOL / GETTY IMAGE

Komunia zamiast elegii

Najnowsza książka J.D. Vance'a stara się na te pytania odpowiedzieć. To swojego rodzaju kontynuacja poprzedniej, dobrze już znanej (choćby dzięki ekranizacji) jego książki – biograficznej „Elegii dla bidoków". Choć tym razem patrzymy na życie Vance'a z duchowej perspektywy. Nie jest to może autobiografia na miarę „Wyznań" Augustyna, ale pozwala wejrzeć w życie wewnętrzne aktualnego wiceprezydenta USA. Ukazuje nie tylko jego rozwój religijny – drogę od protestantyzmu, przez epizod utraty wiary, po nawrócenie na katolicyzm – ale również sposób, w jaki stara się godzić swoją wiarę z polityką. Jest też, co warto dodać, opowieścią o „amerykańskim śnie".

Bo nie samo życie osobiste i duchowe rozterki J.D. Vance'a są tu interesujące. Równie ciekawy jest pejzaż amerykańskiej religijności i jej związków z polityką. Dla mnie osobiście zadziwiająca jest też bliskość tamtej rzeczywistości z naszym, polskim katolicyzmem lat 90., w którym dorastałem – naznaczonym wpływami amerykańskiej religijności, zaimportowanej wraz z całą resztą tamtejszej kultury i popkultury.

Babcia i szatan

Dzieciństwo Vance'a, choć przesiąknięte prostą, ewangelikalną religijnością babci (codzienne modlitwy przez nią inicjowane i postawa ufności Bogu w najprostszych rzeczach), dalekie było od wyznaniowej ortodoksji – zauważa sam autor. Babcia niechętnie chodziła do kościoła, była krytyczna względem jego wszelkich instytucji. Uwielbiała za to teleewangelistów, a zwłaszcza Billa Grahama. Pod tym względem rodzina Vance'a była „niedenominacyjna" – nie przynależeli do żadnego wyznania wywodzącego się z tradycji protestanckich głównego nurtu, odkrywając nowe Kościoły i kaznodziejów. Nie jest to niczym dziwnym w amerykańskiej religijności, gdzie ważniejsza niż konkretna tradycja jest osobista relacja z Jezusem i indywidualne nawrócenie – do czego wciąż nawołują pastorzy.

Obraz zarysowany przez Vance'a pokazuje jednocześnie, jak mocno ewangelikalne chrześcijaństwo (a nawet „białe ewangelikalne chrześcijaństwo") jest związane z Partią Republikańską. Amerykański konserwatyzm, z jego poglądami nie tylko na gospodarkę, ale też role społeczne i rasę, znalazł w Kościołach ewangelikalnych silnego sojusznika. Kristin Kobes Du Mez w książce „Jezus i John Wayne. Jak biali ewangelikanie zepsuli wiarę i podzielili naród" („Jesus and John Wayne: How White Evangelicals Corrupted a Faith and Fractured a Nation") opisuje, w jaki sposób dwudziestowieczny ewangelikalizm stał się matecznikiem patriarchalnych, militarystycznych, rasistowskich i ksenofobicznych poglądów. Doprowadzając w skrajnych przypadkach do narodzin ruchów faszystowskich i ruchów teokratycznych w swym łonie.

Ojciec z mainstreamu

Vance'owi udało się uniknąć takich skrajności. Nie przyłączył się do żadnej ze skrajnych wspólnot religijnych (w kontrze do ministra wojny Pete'a Hegsetha, który jest członkiem dominionistycznego kościoła Douga Wilsona). Ale na pewno przesiąknął wtedy ewangelikalnym konserwatyzmem.

Widać to zwłaszcza w części wspomnień poświęconych latom 90., gdy nawiązał ponowną relację z ojcem, który go wcześniej zostawił i założył nową rodzinę. Ojciec dzisiejszego wiceprezydenta był osobą bardzo wierzącą i zaangażowaną w życie swojego Kościoła, reprezentującego najbardziej mainstreamowy ewangelikalizm.

Ten właśnie Kościół uformował go religijnie, a jednocześnie – wiele lat później – doprowadził do jego zwątpienia. To w nim nauczono go ślepej wiary w tekst Pisma Świętego: jeśli Księga Rodzaju nie zgadza się z twierdzeniami naukowców na temat historii świata i ewolucji, należy odrzucić naukę. Rozdźwięk między wiarą a nauką Vance przezwyciężył dopiero na studiach, zapoznając się z pismami św. Augustyna i zbliżając do katolicyzmu.

Panika i Armageddon

Tak jak i polscy katolicy dorastający w latach 90., doświadczył „satanistycznej paniki" (*Satanic Panic*), podsycanej przez religijne media, które przestrzegały przed wpływami szatana w kulturze masowej. Również jego przestrzegano przed czytaniem okultystycznego „Harry'ego Pottera" i słuchaniem „satanistycznej muzyki" (dlatego wyrzucił do śmieci swoje płyty Black Sabbath i ukrył nagrania Led Zeppelin).

Ale już wtedy odczuwał dysonans: z jednej strony w kościołach, do których uczęszczał, spotykał niezwykle przyjazne wspólnoty, wspierające ubogich i potrzebujących. Tyle że ich teologia i nauczanie wydawało mu się strasznie abstrakcyjne: kaznodzieje grzmieli o zbliżającej się apokalipsie i ponownym przyjściu Chrystusa. Zresztą – zamachy z 11 września i wojna w Iraku sprawiały wrażenie, że Armageddon jest coraz bliżej. Co dodatkowo podsycała ewangelikalna kultura, m.in. książki „Left Behind" Tima LaHaye'a i Jerry'ego B. Jenkinsa. Wszyscy czekali na apokalipsę i „porwanie" (*rapture*) wybranych do Nieba.

Droga przez Akwinatę

Po śmierci babci, poprzedzonej jej długą chorobą, abstrakcyjna teologia stała się dla J.D. Vance'a nie do zniesienia. Nie rozumiał, dlaczego Kościoły nie zajmują się rzeczywistymi problemami wiernych – zwłaszcza tych najbardziej potrzebujących, z dysfunkcyjnych rodzin i nieradzących sobie z utrzymaniem.

Ten krytycyzm jest w nim obecny do dziś – również wobec części własnej Partii ↦

Kompromisy J.D. Vance'a

Decyzje administracji Donalda Trumpa godzące w katolicką naukę społeczną i nauczanie papieży

PODATKI I ZDROWIE. „One Big Beautiful Bill Act" (4 lipca 2025) – cięcia w wysokości ok. biliona dolarów w Medicaid. Według agencji federalnej Congressional Budget Office (CBO) w ciągu najbliższych ośmiu lat bez ubezpieczenia zdrowotnego zostanie blisko 10 mln Amerykanów. Tymczasem przedłużenie ulg podatkowych dla najzamożniejszych zwiększy deficyt budżetowy o 3,4 bln dolarów.

IMIGRACJA. W pierwszej połowie 2026 r. liczba deportacji wzrosła o ok. 74 proc. w porównaniu do analogicznego okresu z 2025 r. Od stycznia 2025 w areszcie ICE zmarło co najmniej 47 osób.

INWIGILACJA. W ciągu ostatniego roku ICE zebrało niemal milion próbek DNA migrantów.

ZBROJENIA. Budżet obronny na rok fiskalny 2027 zakłada wzrost o 42 proc. względem obecnego poziomu. Administracja Trumpa chce wydać na zbrojenia 1,5 bln dolarów (ok. 5 proc. PKB).

BROŃ AUTONOMICZNA. Budżet programu rozwoju dronów bojowych (DAWG) wzrósł z 225 mln do 55 mld dolarów. W lutym 2026 r., w ramach operacji „Epic Fury" przeciw Iranowi, przeprowadzono nalot 900 dronami w 12 godzin. Pytania komisji senackiej o rolę AI w ataku na irańską szkołę, w którym zginęły dzieci, pozostają bez odpowiedzi.

KONFLIKTY ZBROJNE. W lutym 2026 r. Stany Zjednoczone rozpoczęły wojnę z Iranem (zabijając najwyższego przywódcę kraju); miesiąc wcześniej przeprowadziły akcję obalenia prezydenta Wenezueli i uprowadzenia go do USA w ramach operacji „Absolute Resolve" (styczeń 2026).

©℗ EA

↦ Republikańskiej. Przyznaje też, że także wielu wiernych Kościołów ewangelikalnych oceniało już wtedy Republikanów jako „partię bogaczy", która ma za nic zwykłych, ciężko pracujących obywateli i ludzi pracy. Ich poparcie w wyborach było traktowane jako „mniejsze zło": lepiej wybrać Republikanów, którzy wprawdzie są przeciwko ludziom pracy, ale sprzeciwiają się aborcji, niż Demokratów, którzy może i bardziej dbają o najbardziej potrzebujących, ale są za zabijaniem dzieci.

Poglądy Vance'a na społeczeństwo i moralność z tamtych czasów wydają się antycypować katolicką naukę społeczną. Być może dlatego tak dobrze się w niej odnalazł.

Jego droga do Kościoła katolickiego została w książce ukazana bardziej jako przygoda intelektualna niż nagłe nawrócenie w stylu ewangelikalnego „ponownego narodzenia". Wspomina, że w młodości zaczytywał się w C.S. Lewisie i J.R.R. Tolkienie. Potem przyszedł czas na Chestertona. W trakcie studiów na Yale zaczął czytać klasyków filozofii, siłą rzeczy trafiając też na takich autorów, jak św. Tomasz z Akwinu czy św. Augustyn. Wtedy też poznał Petera Thiela, obecnie prezesa firmy Palantir i „proroka" Doliny Krzemowej. To on wprowadził Vance'a w myśl René Girarda.

Ale ku katolicyzmowi poprowadzili go dominikanie Dominic Legge i Henry Stephan – przyjaciele rodziny i doradcy duchowi. Zwieńczeniem tej drogi był chrzest, udzielony Vance'owi w 2019 r. przez o. Henry'ego.

Katolicyzm bez objawień

Krytycy Vance'a zauważają często, że jego katolicyzm jest „bezobjawowy". Że jako współpracownik Trumpa, uczestniczy on w najbardziej skandalicznych decyzjach administracji – od radykalnej polityki antyimigracyjnej prowadzącej do śmierci niewinnych osób, nielegalnych aresztowań i deportacji, po militaryzm i prowadzenie wojen, które trudno nazwać sprawiedliwymi. A takich przykładów można by wymienić jeszcze więcej (patrz ramka). Że jego krytycyzm wobec Republikanów (owszem, wcześniejszy, ale przecież zauważalny także w pisanej na świeżo autobiografii) trudno pogodzić z rolą, jaką odgrywa u boku prezydenta Trumpa, wspierającego najbogatszych ulgami podatkowym i dokręcającego śrubę najuboższym poprzez cięcia programów socjalnych i ograniczanie publicznej opieki medycznej.

Tych sprzeczności jest więcej. Vance zachwyca się katolicką nauką społeczną i encykliką „Rerum novarum", krytykuje tech-miliarderów z Doliny Krzemowej, pisze o wyzysku amerykańskiej klasy pracującej, ale z drugiej widzimy, jak buduje apologię polityki Trumpa i jego administracji, współpracującej z miliarderami i lobbystami technologicznymi. Swoje antyimigracyjne poglądy raz tłumaczy zasadą „*ordo amoris*" Tomasza z Akwinu (zdeformowaną na potrzeby współczesnej polityki, co już wielokrotnie było dowodzone), raz troską o amerykańską klasę pracującą.

Wspominając swoją wizytę w Rzymie i rozmowę z Pietro Parolinem, J.D. Vance narzeka, że poglądy Stolicy Apostolskiej na migrację są abstrakcyjne i mało konkretne, bo nie skupiają się na rzeczywistych problemach. Ale z drugiej strony równie abstrakcyjnie brzmi jego obrona polityki Trumpa, która ignoruje sytuację konkretnych ludzi, porywanych z ulic przez ICE, wsadzanych do więzień czy deportowanych bez przestrzegania zasad.

Można powiedzieć, że odbywając podróż od ewangelikalizmu do katolicyzmu, J.D. Vance przystosował teologię katolicką do potrzeb swojego amerykańskiego konserwatyzmu. Można też dodać, że jest z tego powodu autentycznie ekumeniczny – szukając wspólnoty z innymi wyznaniami, nie patrzy na różnice teologiczne, ale kieruje się perspektywą wiary we wspólne wartości. Katolicyzm daje mu natomiast poczucie stabilności.

Ewangelia sukcesu

Historia Vance'a jest nie tylko drogą nawrócenia na katolicyzm, ale także spełnieniem „amerykańskiego snu". Pochodzący z dysfunkcyjnej rodziny, pogubiony religijnie, odnajduje szczęście – kończy studia, żeni się z piękną, ukochaną kobietą, zakłada szczęśliwą rodzinę, zdobywa majątek i zostaje wiceprezydentem.

„Po owocach ich poznacie" – to jeden z ulubionych fragmentów z Pisma Świętego Vance'a, do którego lubi się odwoływać. I wydaje się sam odnosić to do swojego życia. Jego życie jest bez wątpienia udane – co sam podkreśla, dostrzegając w tym łaskę Bożą. Jest ucieleśnieniem „ewangelii sukcesu", na której się wychował i którą głosili teleewangeliści jego dzieciństwa. Tak przynajmniej wynika z książki, którą sam o sobie napisał.

© PIOTR POPIOŁEK

TYGODNIK POWSZECHNY

„Tygodnik" na rok + 4 wydania specjalne

„Tygodnik Powszechny" to jedyny polski tygodnik społeczno-kulturalny. 30 tys. Czytelniczek i Czytelników. Najlepsze Autorki i najlepsi Autorzy. Wspólnota, która myśli samodzielnie.

Treści „Tygodnika Powszechnego" są wyjątkowe na polskim rynku prasy.

Diagnozy społeczne z ludzką wrażliwością
Kultura jako klucz do rozumienia świata
Otwarte podejście do wiary i duchowości
Bieżące wydarzenia w szerokim kontekście

OFERTA CENOWA

Tygodnik na rok + 4 wydania specjalne	InPost	cena 786 zł
	Poczta Polska	cena 787 zł
4 wydania specjalne	InPost	cena 100 zł
	Poczta Polska	cena 100 zł

prenumerata.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny", ul. Dworska 1C/LU 3–4, 30-314 Kraków
tel. 668 479 075 (w godz. 12:00-15:00)
adres e-mail w sprawie prenumeraty: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Razem tworzymy „Tygodnik"

DAWID GOSPODAREK

Cykl „Zaobserwuj po więcej”

Gdy sacrum spotyka się z ruiną

BORYS FIODOROWICZ,
ARTYSTA:

SZTUKA | **Bez względu na wyznawaną religię, potrzebujemy obecności kogoś, kto czuwa, i próbujemy nadać sens temu, co nas przerasta. To dla mnie ważniejsze niż różnice między religiami.**

DAWID GOSPODAREK: „Error 666”. To tytuł Twojej ostatniej wystawy. Brzmi niepokojąco.

BORYS FIODOROWICZ: Bo jest niepokojąco. Większość z nas nosi w sobie jakieś poczucie niepokoju, żyjemy w chaosie, który wydaje się osiągać apogeum – a to nie daje poczucia bezpieczeństwa.

A ten błąd z tytułu czego dotyczy?

Człowieka. Nie malowałem konkretnych wydarzeń. Moje obrazy powstają z napięcia między tym, co widzę, a tym, czego jeszcze nie potrafię uporządkować, i w związku z tym nie potrafię do końca nazwać. W pewnym momencie pojawiło się pytanie o błąd. Czyj? Ludzki. Stąd „sześć” – liczba związana w biblijnej symbolice z człowiekiem.

Często nawiązujesz do biblijnej symboliki. W Twoich obrazach są też motywy znane z ikon. Dlaczego zdecydowałeś się komunikować takim językiem?

Bo to język, który znam. Wyrasta z kultury, w której dorastałem. Jeśli znak potraktujemy jako język, to znaki z ikonografii chrześcijańskiej są językiem, w którym zostałem wychowany. W ogóle język *sacrum*, bez względu na to, jaką religię reprezentuje, jest dla mnie interesujący, bo niesie ze sobą wiele znaczeń: miłość, cierpienie, śmierć, nadzieję, winę, ocalenie, pragnienie. A kiedy zderzy się go ze współczesnością, może się okazać, że dojdziemy do miejsca, gdzie *sacrum* spotyka się z ruiną. I temu się właśnie przyglądam w moich obrazach.

W Twoich obrazach jest opowieść o krzywdzie, niesprawiedliwości. Ale nie tylko.

To może być zaskakujące, ale w tych obrazach jest nadzieja. Bo jeśli pojawia się komunikat o błędzie, to nie jest on wyrokiem. Błąd można jeszcze poprawić. Z jednej strony mamy niebywałą zdolność do niszczenia wszystkiego wokół siebie, z drugiej – tęsknimy za sprawiedliwością i pięknem. I obie te strony są prawdziwe. Dobrze to widać w obrazie „Czarne słońca", w którym Maryja stoi na księżycu, a obok pojawiają się znaki zagrożenia atomowego. Znaki te nie mówią o zniszczeniu i nieuchronnym końcu, mówią tylko o takiej możliwości. W zderzeniu z postacią Maryi – symbolu opieki – nie rozstrzygają sytuacji. Nic nie zostało jeszcze przesądzone. To właśnie daje nadzieję.

Jesteś jak biblijny prorok? Wskazujesz na zaburzoną rzeczywistość, przestrzegasz przed konsekwencjami i wzywasz do zatrzymania się i nawrócenia?

Bynajmniej. Nie przestrzegam, a dostrzegam. Obserwuję. Nie mam monopolu na rację, moje obrazy nie są drogowskazami. Nie chcę nikomu mówić, co ma myśleć. Stawiam pytania, na które często nie ma odpowiedzi, przynajmniej jednoznacznych.

Dobrze obrazuje to cykl „Zaobserwuj po więcej" – ruchoma instalacja w kształcie koła, z obrazami rozmieszczonymi na umocowanej centralnie róży wiatrów.

Z ARCHIWUM BORYSA FIODOROWICZA

„Czarne słońca"

Zrobiła na mnie mocne wrażenie. Skutecznie prowokuje do rachunku sumienia chociażby z pozwalania sobie na obojętność, niedostrzeganie czyjejś krzywdy.

Mam nadzieję, że prowokuje. Żyjemy w czasach, gdzie konflikty zbrojne i idące za nimi dramaty możemy oglądać właściwie na żywo. I oglądając jedną relację, możemy z łatwością przejść do następnej. Coś pojawia się na chwilę, by być zastąpione kolejnym obrazem. Rzeczywistość bezrefleksyjnie przewijana palcem: zaobserwuj po więcej.

Ta instalacja pokazuje też, że nie ma jednego stałego miejsca i czasu, które byłyby raz na zawsze bezpieczne. Wszystko może zmienić swoje położenie i warto pamiętać o tym, że nasza perspektywa nie jest jedynym obrazem świata.

Częścią tej instalacji jest obraz „Myanmar" poświęcony Birmie. Umieściłeś go z boku. Dlaczego?

Ponieważ Birma jest daleko, nie tylko w sensie geograficznym, ale także pod względem naszej uwagi. Od lat trwa tam wojna, która jest najdłuższym konfliktem zbrojnym współczesnego świata. W naszej części świata jest on niemal niewidoczny.

Maryja na tym obrazie ma twarz pomalowaną thanaką – charakterystyczną pastą używaną przez mieszkańców Birmy. Nie jest tu jednak tylko postacią znaną z ikonografii chrześcijańskiej, ale jest ↦

↦ obrazem człowieka zranionego i zapomnianego.

Dlaczego w dobie doskonale rozwiniętej informacji, gdzie odległości nie są żadnym problemem, konflikt na taką skalę, a także wiele innych, właściwie nie istnieje? Dlaczego ludzkie życie łatwo staje się tylko kwestią interesów i wpływów?

Najnowsza historia pokazuje, że jest w nas jednak wciąż sporo empatii. W 2022 r. odpowiedzieliśmy na potrzeby uchodźców z Ukrainy.

Tak, i to jest niezwykle budujące. Bo to był w moim pojmowaniu empatii naturalny odruch wobec człowieka w potrzebie. Ale później pojawiła się obojętność, niechęć, a wraz z nimi także nastroje i działania antyukraińskie. Mamy w sobie odruch pomocy, ale mamy też zdolność do przemocy i obojętności. Jedno nie unieważnia drugiego. Ale bardzo chcę wierzyć, że w ludzkiej naturze jest więcej tego pierwszego. I to jest właśnie nadzieja.

Widać w Twoich pracach dialog międzykulturowy. Oprócz wspomnianej Birmy to choćby praca „Wota. Ciężar oczekiwań", umieszczona w neogotyckiej kapliczce.

Jest taki rytuał buddyjski, praktykowany także w Birmie, podczas którego na posąg Buddy nakleja się płatki złota, co ma zapewnić pomyślność i ochronę duchową. Mechanizm bardzo podobny do tego, który znamy z naszych sanktuariów. Zainteresowało mnie to podobieństwo gestów i intencji. Bez względu na szerokość geograficzną i wyznawaną religię, potrzebujemy ochrony, obecności kogoś, kto czuwa, i próbujemy nadać sens temu, co nas przerasta. To dla mnie ważniejsze niż różnice między religiami.

Odbieram to także jako krytykę mechaniczności w przeżywaniu religii.

Tak, bezrefleksyjne działania z przyzwyczajenia mogą prowadzić do zatarcia, przysłonięcia tego, co najważniejsze. Rytuał wykonywany automatycznie zmienia się w karykaturę. Czasem może nawet służyć uspokojeniu czy uciszaniu sumienia. Gdzieś po drodze gubi się sens. W tym również dostrzegam analogię.

Język, którym opowiadasz, jest bardzo inkluzywny. Mam wrażenie, że Twoje prace mogą być czytelne i poruszające zarówno dla osób związanych ze światem sztuki, jak i dla tych, którzy na co dzień nie mają z nią wiele wspólnego.

To jest dla mnie ważne. Zależy mi, żeby moje prace były czytelne nie tylko dla ludzi związanych ze sztuką. Nie chcę robić prac niezrozumiałych, staram się upraszczać, czyścić aż do czytelnego przekazu. W tym przypadku uważam, że prostota nie wyklucza złożoności.

To widać chociażby w pracy „Święto Namiotów" – kolejnym przykładzie dialogu międzykulturowego.

Święto namiotów to żydowskie święto upamiętniające m.in. mieszkanie w szałasach podczas wędrówki do Kanaanu.

Dla mnie ta praca pokazuje obraz świata, który jest tyglem zależności, przemieszania znaczeń, nieoczywistych połączeń. Maryja, która była Żydówką, jest jednocześnie Królową kraju, którego mieszkańcy bywają ksenofobami i antysemitami, siedzi na podłodze w namiocie ozdobionym haftem inspirowanym m.in. palestyńskim *tatreez*, na ziemi będącej świadkiem niekończącego się dramatu. Ale jest to też – tak po prostu – historia o zwykłym człowieku, który ponosi konsekwencje decyzji podejmowanych za niego i ponad nim.

Powiedziałeś, że błąd można jeszcze naprawić. Co to znaczy?

To kwestia konkretnego wyboru i odpowiedzialności za swoje działania. Decyzja nie jednorazowa, a podejmowana każdego dnia. Takie codzienne ćwiczenia z empatii w czasie nieustających mniejszych lub większych apokalips.

© Rozmawiał DAWID GOSPODAREK

Z ARCHIWUM BORYSA FIODOROWICZA

„Wota. Ciężar oczekiwań"

BORYS FIODOROWICZ – artysta, który w swoich pracach łączy tradycję europejskiego malarstwa z osobistą refleksją nad kondycją współczesnego świata. Od lat rozwija własny, rozpoznawalny język malarski, czerpiąc z dawnych motywów i symboli, oraz nadając im współczesny wymiar. Konsekwentnie pozostaje w cieniu, oddając pierwszeństwo swojej twórczości.

Cztery razy sumienie

ARTUR SPORNIAK

ETYKA SEKSUALNA | Co robić, gdy wymogi nauczania Kościoła wiązać się będą z długotrwałą wstrzemięźliwością w małżeństwie? Oto kilka możliwych odpowiedzi.

Marek i Joasia zawarli małżeństwo w Kościele, bo oboje są ludźmi wierzącymi. Od początku też w planowaniu rodziny posługiwali się akceptowanymi przez Magisterium naturalnymi metodami rozpoznawania płodności (tzw. NPR) i nie sięgali po antykoncepcję, uważaną za niemoralną. Joasia czytała na różnych forach o trudnej sytuacji kobiet, np. z chorą tarczycą, które nie mogą stosować NPR, bo mają rozregulowany układ hormonalny. W duchu dziękowała, że jej to nie spotyka i że może mieć czyste sumienie – nie bardzo sobie wyobrażała długotrwałą wstrzemięźliwość seksualną, która na pewno nie byłaby dobra dla ich małżeństwa, a alternatywne rozwiązanie – stosowanie środków antykoncepcyjnych – nie wchodziło przecież w grę. Jak się jednak okazało, jej optymizm nie był do końca uzasadniony.

GRANICE | Trudności z NPR zaczęły się tak naprawdę, gdy Joasia karmiła piersią pierwsze dziecko. Laktacja blokuje płodność, która wraca stopniowo, wysyłając niejednoznaczne sygnały (np. w postaci pojawiania się i znikania śluzu szyjkowego). Choć zostały opracowane metody także i dla tego okresu, w praktyce są one trudne w stosowaniu, więc łatwo przegapić powrót płodności. Tak się też stało w przypadku ich małżeństwa – Joasia zaszła w drugą ciążę jeszcze podczas karmienia piersią.

Ze zdrowotnego punktu widzenia nie była to optymalna sytuacja – lekarze zalecają dłuższe niż kilkanaście miesięcy przerwy pomiędzy porodami, by organizm matki mógł się zregenerować i przygotować do kolejnej ciąży. Dlatego w okresie karmienia piersią drugiego dziecka Marek i Joasia na ponad rok zaprzestali współżycia seksualnego, okazując sobie bliskość poprzez pieszczoty. Joasia dowiedziała się jednak, że i w takim zachowaniu Kościół widzi grzech ciężki, nauczając, że niemoralne jest doprowadzanie się do orgazmu poza otwartym na płodność stosunkiem seksualnym. Zaskoczyło ją to i zirytowało. Spytała spowiednika, który doradził, by jednak kierowała się własnym sumieniem.

Minęły lata. Nadszedł czas premenopauzy, gdy jajniki powoli przestają produkować komórki jajowe, a cykl menstruacyjny może trwać nieprzewidywalnie długo – nawet kilka miesięcy. Poczęcie dziecka w okresie premenopauzy obarczone jest dużym ryzykiem wad genetycznych, o czym Joasia i Marek wiedzą, więc na pełne współżycie pozwalają sobie tylko co kilka miesięcy, gdy mają pewność, że Joasia jest w okresie niepłodnym. Zazwyczaj jednak zadawalają się pieszczotami. Z punktu widzenia katolickiej etyki seksualnej ich postępowanie wciąż jest niemoralne. Choć ich sumienia niczego im nie wyrzucają.

SUMIENIE | Jaki morał płynie z tej historii? Nie ma małżeństwa katolickiego, które stosując NPR, nie stanie w końcu przed pytaniem, co robić, gdy wymogi nauczania Kościoła wymuszają długotrwałą wstrzemięźliwość?

Postawiłem to pytanie w publikowanym jakiś czas temu na tych łamach artykule „Gdy Kościół wchodzi do sypialni. Co robić, kiedy katolicka etyka szkodzi małżeństwu". Zasugerowałem też odpowiedź: małżonkowie mają moralny obowiązek wybierać to, co dobre dla ich małżeństwa, kierując się sumieniem. Jeśli w sumieniu dojdą do przekonania, że wierność normie głoszonej w Kościele poważnie narazi dobro ich małżeństwa, mają prawo normę tę zignorować bez popadania w grzech ciężki (nie muszą się zatem z tego spowiadać). Magisterium Kościoła godzi się na takie postępowanie, gdyż uznaje prymat indywidualnego sumienia nad zewnętrznym prawem. Choć oczywiście z perspektywy Kościoła to nie jego nauczanie się myli, tylko sumienia małżonków, które tkwią w tzw. ignorancji niepokonalnej i tylko dlatego są pewne swojej racji.

Mówił o tym jezuita Jacek Prusak w podkaście „Tygodnika Powszechnego", w którym rozmawiamy o prymacie sumienia. Choć po rozmowach z innymi osobami, a zwłaszcza po reakcjach słuchaczy i czytelników w internecie, widzę, że podejście katolików do tej kwestii jest bardzo różne. Popatrzmy na cztery najczęstsze postawy.

PRYMAT | Pierwsza postawa polega na odruchowym stanięciu po stronie Magisterium, bez względu na to, jak to wpłynie na wzajemną więź. Mówiąc krótko: nie wyobrażamy sobie, by nie wypełniać wymogów Kościoła. W tej sytuacji jedyną opcją jest wstrzemięźliwość, a nad innymi możliwościami nawet się nie zastanawiamy. W takiej sytuacji zarówno moje potrzeby i pragnienia seksualne, jak i seksualność współmałżonka stają się problemem czy wręcz – zagrożeniem. Zaczynamy się unikać i wzajemnie oskarżać. Oddalamy się od siebie i gorzkniejemy.

Gdy człowiek opiera ocenę moralną swojego zachowania jedynie na prawie i zasadach pochodzących z zewnątrz – narzuconych przez autorytet, religię, społeczeństwo lub wychowanie – mamy do czynienia z sumieniem heteronomicznym, u osób dorosłych traktowanym jako niedojrzałe.

Bezmyślne podporządkowanie się autorytetowi to wciąż dość częsta reakcja, która niczego nie załatwia, bo tylko pozornie chodzi w niej o wierność Kościołowi – nie można być wiernym Bogu w Kościele, dewastując własne małżeństwo, przez ten Kościół pobłogosławione!

Dojrzała odmiana tej postawy też jest oczywiście możliwa – przynajmniej teoretycznie. Wybór wstrzemięźliwości jest wtedy w pełni świadomy, wspólnie omówiony i kontrolowany. Wymaga to jednak głębokiej więzi, porozumienia, uważności na emocje i odczucia własne oraz drugiej strony. Taki codzienny, intensywny heroizm może pogłębić więź, jednak nie zastąpi dobra i energii, jakie daje ↦

MOTORTION FILMS / SHUTTERSTOCK

małżeństwu współżycie seksualne. W dodatku zawsze pojawia się pytanie: czy ten wysiłek i napięcie nie jest tylko po to, by zadośćuczynić abstrakcyjnej normie?

WYBÓR | W drugiej postawie wybieramy lojalność względem siebie, kosztem lojalności względem wspólnoty Kościoła. Ceną jest rezygnacja z życia sakramentalnego.

Konsekwencję w takiej postawie chwali dominikanin Tomasz Grabowski w podkaście Tomasza Samołyka „Co robić, gdy sumienie i prawo Kościoła się wykluczają". Co prawda nie mówi o antykoncepcji, tylko o życiu w powtórnym związku, ale zasada jest podobna (choć oczywiście nierozerwalność małżeństwa ma uzasadnienie biblijne, w przeciwieństwie do zakazu antykoncepcji). „Spotkałem piękne małżeństwo – mówi o. Grabowski – które zdecydowało się na kilkanaście lat życia bez sakramentów, w imię wierności Bogu. I przez swoje powstrzymanie się od Eucharystii, uczcili Chrystusa w Eucharystii i czcili Go właśnie całym swoim życiem, które w punkcie wyjścia było zranione. Można powiedzieć – postępowali wbrew nauczaniu Kościoła, a jednocześnie zgodnie z nauczaniem Kościoła". Zakonnik retorycznie pyta: „Dlaczego mam nie wyobrażać sobie takiej sytuacji, że owszem, mówię: »nie dorastam do Twojego prawa, ale biorę tego konsekwencje, bo chcę Cię czcić jako Boga«. I tam, gdzie nie dorastam, mówię: »nie dorastam«, a tam, gdzie mogę Cię uczcić, tam Cię czczę".

> Bezmyślne podporządkowanie się to tylko pozorna wierność Kościołowi. **Nie można być wiernym Bogu w Kościele,** dewastując własne małżeństwo w tym Kościele zawarte.

Zauważmy, że w tej postawie nie ma pytania o prawdę. Z góry zakłada się, że leży ona po stronie nauczania Kościoła, sumienie zaś tylko dostosowuje się do wyznaczonych reguł: jesteś w permanentnym stanie grzechu ciężkiego, nie otrzymasz rozgrzeszenia, zatem nie możesz przystępować do komunii. Tyle że godząc się na to, akceptuję tym samym założenie, że moja miłość do drugiej osoby jest złem.

LOJALNOŚĆ | W przeciwieństwie do pierwszych dwóch postaw, kolejne dwie usiłują pogodzić lojalność wobec małżonka z lojalnością wobec wspólnoty Kościoła.

Zobaczmy więc najpierw postawę trzecią. Przyjmują ją ci, którzy nie mają odwagi uznać, że Kościół w sprawie seksualnej etyki małżeńskiej może się mylić. Zatem oni również nie pytają, jaka jest prawda. Uznają swoje postępowanie za grzech (skoro jest wbrew normie, nawet mało przekonującej). Jednocześnie powołują się na tzw. prawo stopniowości. Zakłada ono, że życie moralne jest w ciągłym rozwoju i nie można wymagać od nikogo zachowań ponad jego aktualne możliwości. Jeśli zatem nie stać nas teraz na decyzję o całkowitej wstrzemięźliwości, a z ważnych powodów nie chcemy (nie możemy) już mieć dzieci, zgadzamy się na użycie prezerwatyw. I po omówieniu takiego postępowania ze spowiednikiem (najlepiej stałym), przystępujemy do komunii. Nie rezygnujemy z „dążenia do moralnego ideału" wymaganego przez normę, ale przyjmujemy, że na razie nie jest on w zasięgu naszych możliwości.

Ta droga teoretycznie była możliwa już za Jana Pawła II (o prawie stopniowości mówi adhortacja „Familiaris consortio"), choć w Polsce niektórzy księża odważyli się ją proponować dopiero za pontyfikatu Franciszka, który kładł duży nacisk na rozeznawanie indywidualnych sytuacji.

O czwartej postawie już wspominałem: człowiek w sumieniu uznaje, że w kwestiach etyki seksualnej Magisterium może się mylić. Spośród wszystkich wspomnianych jedynie ta nie boi się zapytać o prawdę. To postawa wymagająca, bo przecież nigdy nie można powiedzieć, że ktoś z nas – instytucja albo my – poznaliśmy prawdę w pełni. Ciągle musimy ją badać, najbardziej uczciwie, na ile nas stać, tzn. opierając się na mocnych argumentach. Warto też zauważyć, że w postawie tej dystansujemy się jedynie od Magisterium, a nie od samego Kościoła, który przecież stanowimy my wszyscy – wierzący.

©℗ ARTUR SPORNIAK

O. WACŁAW

Oszajca:
Zasuszone laury

Pewnego dnia Jezus zagadnął uczniów: „Co ludzie mówią o Synu Człowieczym?”. Zapytał też: „A według was, kim jestem? Wtedy Szymon Piotr odpowiedział: Ty jesteś Chrystusem, Synem Boga żywego”. Jezus na to: „Szczęśliwy jesteś, Szymonie, synu Jony, gdyż nie poznałeś tego ludzką mocą, ale objawił ci to mój Ojciec, który jest w niebie. Ja zaś mówię tobie, że ty jesteś Skałą. Na tej Skale zbuduję mój Kościół, a potęga piekła go nie zwycięży”, i słowa dotrzymał. Zarówno dzięki tym, którzy Go pokochali, jak i tym, którzy zewnątrz i wewnątrz Mu przeszkadzali. Tak było, jest i będzie.

W „Dekameronie” czytamy, jak to Żyd Abraham, chcąc się naocznie przekonać, jak wygląda Kościół, wybrał się – gdzieżby indziej – do rzymskiej centrali. Po powrocie wyznał: „Według mego mniemania, wasz pasterz najwyższy, jako i wszyscy jego duchowni, z wielką pilnością a staraniem i umiejętnością chcą religię chrześcijańską poniżyć i z oblicza świata ją zetrzeć (...) A jako że, mimo tych ich wysiłków, wasza wiara coraz (...) doskonalszą się staje, tedy musiał Duch Święty w nią wstąpić (...) Chodźmy zatem do kościoła, pragnę przyjąć chrzest”. Dziś dzieje się coś podobnego. Ludzie wciąż w Kościele zaprzyjaźniają się z Jezusem – do tego stopnia, że nie porzucają Go, gdy z Kościoła odchodzą. Bo to nie Jezus ich rozczarował, ale Kościół – czyli my. Co teraz robić? Siąść i płakać?

„Daremne żale – próżny trud, / Bezsilne złorzeczenia! / Przeżytych kształtów żaden cud / Nie wróci do istnienia. // (...) Trzeba z żywymi naprzód iść, / Po życie sięgać nowe... / A nie w uwiędłych laurów liść / Z uporem stroić głowę. // Wy nie cofniecie życia fal! / Nic skargi nie pomogą – / Bezsilne gniewy, próżny żal! / Świat pójdzie swoją drogą” – pisał Adam Asnyk.

Warto o tym pamiętać, mówiąc za Janem Pawłem II, że nie można zrozumieć świata bez Chrystusa i Chrystusa bez świata. Bo wystarczy choćby popatrzeć na reakcje katolików na fakt, że krawiec Filippo Sorcinelli, ubierający papieży Benedykta, Franciszka i Leona, jest homoseksualistą i żyje w związku partnerskim z Yurim Kolesnikowem.

Abraham z noweli Boccaccia odkrył prawdę o Kościele nie w jego doskonałości, ale w tym, jak on sobie radzi sam ze sobą. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Pan Młody

Ubiegły tydzień upłynął w naszym krakowskim Kościele pod znakiem pieszej pielgrzymki. Podczas finałowej mszy świętej usłyszeliśmy jasnogórską ewangelię z Kany Galilejskiej. Nigdy wcześniej nie uderzyło mnie aż tak bardzo jej zakończenie: „Taki to początek znaków uczynił Jezus w Kanie Galilejskiej. Objawił swoją chwałę i uwierzyli w Niego Jego uczniowie” (J 2, 11).

Ostatnie zdanie można też czytać jako: „i uwierzyli ku Niemu” (greckie *eis auton* i łacińskie *in eum*). Uczniowie uwierzyli „ku Jezusowi” – co znaczy, że wydarzenie uruchomiło w nich proces zbliżania się „ku Niemu” – przemianę, coraz bliższą i głębszą więź. Proces, który sprawia, że nie chcesz stać w miejscu i pozostać taki sam. Na tym właśnie polega wiara – nie na równie abstrakcyjnym, co teoretycznym uznaniu, że Jezus potrafi „robić cuda”... Nie. Ona pozwala przeczytać kryjące się w wydarzeniu Kany zaproszenie do relacji. Tylko wtedy odkrywamy znak – nabieramy pewności, że nie chodzi w nim o uratowanie wesela i zaspokojenie pragnienia biesiadników. Chodzi o skierowane do nas zaproszenie do drogi. „Wiara widzi w takiej mierze, w jakiej się porusza naprzód” – pisał papież Franciszek w swojej pierwszej encyklice.

Ku jakiej relacji zaprasza nas Jezus? Całą drogę pielgrzymki przeszliśmy medytując hasło: „Uczniowie – misjonarze”. Mogłoby się więc wydawać, że chodzi o relację Nauczyciel–uczeń. Z pewnością tak, ale Kana zaprasza do czegoś znacznie więcej. A to „więcej” kryje się w znaku przemiany wody w wino. Kto na weselu stawia wino? Pan Młody. Oblubieniec. I to jest relacja, którą oferuje nam nasz Pan i Nauczyciel: relacja miłości / bliskości małżeńskiej – wyłącznej, prawdziwie intymnej, zmieniającej w życiu wszystko (tak – małżeństwo zmienia w życiu wszystko). To nie unieważnia Jego roli Nauczyciela, ale kompletnie zmienia rozumienie schematu Nauczyciel–uczeń. Bo w tym modelu najważniejszym pytaniem nie jest, czego i ile się nauczyłem, i co – zapytany – potrafię wyrecytować, jak na egzaminie. Najważniejszym pytaniem jest: co mnie z Nim łączy? Jaka miłość? Jaki rodzaj więzi? Zna to każdy, kto spotkał w życiu mistrza. Nauczycieli można mieć wielu, ale mistrza ma się z reguły jednego. Mając go, chcesz nie tylko wiedzieć tyle, co on. Chcesz stać się jak on! A to dwie zupełnie różne sprawy. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

RADIOWE PRZEDSZKOLE

Audycje Marii Wieman z początku miały zastąpić brakujących nauczycieli muzyki. W efekcie wprowadziły w przedszkolach rewolucję na światową skalę.

JAN BŁASZCZAK

Przez dwadzieścia dwa lata przygotowała niemal 1200 audycji dla Polskiego Radia. Choć najpewniej ona sama powiedziałaby, że przygotowała je dla dzieci. A dokładniej: dla przedszkolaków, których umuzykalnianie stanowiło jej życiową misję.

Ktoś mógłby uznać, że to cel nie dość poważny, mało prestiżowy dla starannie wykształconej pedagożki, prekursorki nowatorskiej wówczas metody Émila Jaques-Dalcroze'a, której Aleksander Zelwerowicz osobiście zaproponował posadę wykładowczyni w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej. Bo rzeczywiście, wydaje się, że Maria Wieman była pewna swojego warsztatu i świadoma reputacji, która za nią podążała. Natomiast lubiła też powtarzać, że najmłodszych powinni uczyć najlepsi. Pracowała więc w szkołach i przedszkolach, uczestni-

CLAUDE JACOBY / ULLSTEIN BILD / GETTY IMAGES

Przedszkole w Warszawie, 1960 r.

czyła w konferencjach, sympozjach, organizowała szkolenia. Wreszcie: przygotowywała audycje.

Robiła to wszystko z tym większym zapałem, że w umuzykalnianiu dzieci dostrzegała narzędzie kształtujące ich postawę fizyczną i psychiczną, stosunek do ojczyzny i siebie nawzajem. Działanie rozwijające wyobraźnię i uczące dyscypliny, ale też dostarczające mnóstwa radości. A w zniszczonej wojną Polsce była to niewątpliwie pożądana emocja.

Prowizorka na trzy dekady

Dobrze się składa, że w 2026 r., czyli oficjalnie w Roku Polskiego Radia, obok sejmowych uchwał i galowych koncertów ukazała się książka „Rytmika w eterze" (Wydawnictwo Naukowe UAM) przybliżająca fenomen Radiowych Audycji Umuzykalniających. Jej autorka, Katarzyna Forecka-Waśko jest pedagożką zainteresowaną metodyką nauczania rytmiki i muzyki.

Może z tego powodu jej publikacja nie jest biografią Wieman, a koncentruje się na dziele jej życia – nadawanych od końca lat 40. audycjach. A dokładniej: na skali tego przedsięwzięcia, jego nowatorstwie i całym precyzyjnie zaprojektowanym edukacyjno-medialnym mechanizmie, którego beneficjentami były dziesiątki tysięcy przedszkolaków.

„Po 1945 brakowało nauczycieli, pomocy dydaktycznych – to był moment, kiedy edukację trzeba było zorganizować od podstaw – czytamy w książce. – Polskie Radio próbowało wypełniać istniejące luki. Z myślą o przedszkolach przygotowywano nie tylko audycje muzyczne, ale także literackie i ortofoniczne, a w szkołach emitowano programy poświęcone chyba każdemu możliwemu przedmiotowi. W tym celu zaraz po wojnie radio zaczęło gromadzić wokół siebie fachowców – nie tylko z obszaru kultury, ale z różnych dziedzin, którzy mogli współtworzyć treść audycji".

Całe radiowe wsparcie miało stanowić jedynie tymczasową podporę dla publicznej edukacji dźwigającej się po wojnie. Tak dobrze je jednak wymyślono i zaprogramowano, że gdy machina ruszyła, to zatrzymała się dopiero w latach 70., kiedy prym w zarządzaniu zbiorową wyobraźnią zaczęła wieść telewizja. Nie oznacza to jednak, że tym samym metody stosowane przez Wieman zdezaktualizowały się. Przeciwnie – wciąż warto do nich sięgać.

Rytm się wybija

O statusie, jakim Wieman cieszyła się zaraz po wojnie, świadczy fakt, że wiele jej kursantek – przyszłych przedszkolnych wychowawczyń i nauczycielek umuzykalnienia – z dumą nazywało się „wiemankami". Warto jednak pamiętać, że autorka popularnych audycji nie była pierwszą Polką nauczającą metody Dalcroze'a, która położyła podwaliny pod rytmikę (podkreślając, że ciało – poprzez układ nerwowy i mięśniowy – naturalnie reaguje na muzykę).

Wieman zaznajomiła się z tą metodą w warszawskiej Szkole Rytmiki i Tańca Artystycznego prowadzonej przez Janinę Mieczyńską. To za jej sprawą poznawała kolejne wytyczne opracowane przez szwajcarskiego teoretyka. Chodziło m.in. o to, by prowadzić ćwiczenia w sposób zróżnicowany, ufać uczniom i ich wewnętrznemu rytmowi, a w muzyce bazować w dużej mierze na improwizacji.

Dlatego też w programie audycji przygotowywanych dla przedszkoli tak dużą rolę odgrywał cykl „Zabawy rytmiczne", który pozwalał młodym odbiorcom przeżywać, poznawać, a czasem nawet opowiadać muzykę za sprawą ruchu ich ciała.

Jak każda nowość, także metoda Dalcroze'a spotykała się z oporem. W „Rytmice w eterze" autorka przywołuje m.in. polemikę, jaka miała miejsce na łamach miesięcznika „Wychowanie w przedszkolu" w latach 1957-1959. Pedagożka i autorka Maria Cukierówna narzekała, że stosowanie zabaw ruchowych na zajęciach umuzykalniających odbywa się kosztem śpiewu.

Zabawa i dyscyplina

Oczywiście: masowa radiofonizacja szkół i przedszkoli miała również wymiar polityczny, a w treściach zachowanych audycji odnajdziemy tematy szczególnie bliskie socjalistycznemu państwu. Przede wszystkim jednak programy emitowane przez Polskie Radio ułatwiały pracę nauczycieli i poszerzały horyzonty ich uczniów. Aby było to możliwe, cykl audycji planowano z dużym wyprzedzeniem i dbałością o szczegóły. Było to bardzo ważne w przypadku edukacji przedszkolnej, bo na tym polu działalność Wieman była pionierska. Nikt wcześniej nie kierował audycji do tak młodego audytorium.

„Po pierwsze przeprowadzono badania oparte na odsłuchu tych audycji – wyjaśnia Forecka-Waśko. – Sprawdzono, czy lektorem powinien być mężczyzna czy kobieta, w jakim wieku powinny być dzieci oraz jaki czas trwania audycji zapewni efektywną percepcję. W tym celu prowadzono obserwacje w warszawskich przedszkolach".

Dbano również o przepływ informacji pomiędzy radiowcami a przedszkolnymi kadrami. Z tego powodu, gdy tylko spadł śnieg, Wieman analizowała już wiosenny program nauczania. Dzięki temu mogła z dwumiesięcznym wyprzedzeniem publikować konspekty audycji w czasopiśmie „Wychowanie ↦

↦ w przedszkolu". Na łamach tej gazety drukowano też listy nauczycieli, którzy zadawali pytania dotyczące audycji, dzielili się swoimi przemyśleniami, pisali o trudnościach.

„To była bardzo ożywiona korespondencja – tłumaczy autorka „Rytmiki w eterze". – Podobna zawiązała się pomiędzy wychowawcami a redakcją Polskiego Radia. W ramówce znalazł się nawet specjalny program dla nauczycieli, w którym tłumaczono, jak włączać do programu nauczania przedszkolne audycje. To był bardzo ciekawy proces, który odbywał się równolegle. Chodziło o to, by jak najlepiej przygotować nauczycieli do formuły, którą dziś nazwalibyśmy edukacją zdalną".

Bez pauzy

Wskazówki były tym cenniejsze, że medium, z którego korzystano, wymagało dyscypliny. Dziś jesteśmy przyzwyczajeni do tego, że każdy program można zatrzymać, przewinąć, włączyć po raz drugi. Piątkowe audycje Wieman startowały natomiast jak w zegarku o 9:40 i trwały zwykle po 17-18 minut. Twórcy starali się ułatwiać odbiór przedszkolakom, powtarzając pewne elementy, przypominając treści emitowane przed tygodniem i dając sporo czasu na realizację poleceń lektora, wszystko odbywało się jednak w czasie rzeczywistym.

Z jednej strony audycje zostawiały dużo miejsca dla kreatywności dzieci i ich wyobraźni, z drugiej – bez wątpienia wymagano od nich dyscypliny. „Wieman doskonale rozumiała, że dobrze zorganizowana zabawa tworzy przestrzeń dla kreatywności dzieci – tłumaczy Forecka-Waśko. – Nawet jeśli dzieci były dyscyplinowane przez te dwadzieścia minut, to pedagożka zwykła powtarzać, że to muzyka je dyscyplinuje. To ona prowadziła dzieci systemem sygnałów i kodów, które ułatwiały aktywne uczestnictwo w audycji, ale nie tworzyły poczucia opresyjności".

Badania prowadzone przez nadawcę, a także obecne w audycjach formaty miały sprawić, że możliwie największa część młodych odbiorców dobrze przyswoi emitowane lekcje. A te, jak podaje Forecka-Waśko, trafiały na żywo do nawet 60 tys. dzieci. Niezależnie od tego Wieman dbała, by miały one możliwość improwizacji, reagowania na muzykę zgodnie z wewnętrznym rytmem i niezależnie od swoich predyspozycji.

> Nauczycielki i pielęgniarki z dziecięcych sanatoriów pisały do „Wychowania w przedszkolu", że na czas audycji łączą łóżeczka w pary, **żeby dzieci mogły się chwycić za ręce, tworząc iluzję tańca.**

Dobitnym tego przykładem był odbiór programu przez dzieci przebywające w sanatoriach czy prewentoriach. Opiekujące się nimi pielęgniarki i nauczycielki pisały do „Wychowania w przedszkolu" o tym, jaką odmianę w ich życiu stanowi radiowy program. Opisywały, jak na czas audycji łączą łóżeczka w pary, żeby dzieci mogły się chwycić za ręce, tworząc iluzje tańca.

„Dzisiaj w obszarach medycyny dziecięcej, zwłaszcza w przypadku chorób długoterminowych, zwraca się uwagę na znaczenie systemu edukacji zdalnej – tłumaczy Forecka-Waśko. – To daje młodemu pacjentowi poczucie pewnego continuum, wysyła sygnał, że on ze szpitala lub sanatorium wróci do swojego świata. W tamtych czasach takie myślenie z pewnością nie było powszechne".

Metody Marii

Audycje przygotowywane przez Wieman wpłynęły zarówno na dydaktykę, jak i na kształt edukacji przedszkolnej. Wprowadzenie do przedszkoli rytmiki w formie radiowej spowodowało jej upowszechnienie. „Gdy dostrzeżono, że ta nowatorska metoda dobrze funkcjonuje, że poprzez tę formę pracy dzieci zdobywają także wiele pozamuzycznych umiejętności, m.in. lepszą koordynację ruchową, zdolność wykonywania kilku czynności jednocześnie, postanowiono ją kontynuować – pisze autorka książki. – I to był ewenement na światową skalę. We Francji, Wielkiej Brytanii czy Szwajcarii takie zajęcia były dodatkowo płatne. W Polsce na stałe zagościły w edukacji przedszkolnej".

Co z dziedzictwa Wieman mogliby zaczerpnąć dziś nauczycielki i nauczyciele przedszkolni, specjaliści w dziedzinie rytmiki? Forecka-Waśko nie ma wątpliwości, że samych audycji nie sposób emitować jeden do jednego. Zmienił się język, którym się komunikujemy, a i niektóre treści przybliżane w audycjach zdezaktualizowały się. W cenie natomiast powinna pozostać poetyckość piosenek nadawanych podczas Radiowych Audycji Umuzykalniających.

Przede wszystkim jednak programy Wieman to kopalnia pomysłów na ćwiczenia dla najmłodszych, a także lekcja w zakresie wprowadzania nowego materiału, powtarzania już poznanego, przemieszania ćwiczeń ze względu na ich trudność czy urozmaicenia zajęć.

„Dla mnie słuchanie tego materiału było cenną lekcją metodyki – przyznaje autorka „Rytmiki w eterze". – Wielokrotnie pracowałam później używając wymyślonych przez Wieman ćwiczeń". Owocem takiej inspiracji są stworzone przez Forecką-Waśko oraz Fundację Sztuk Puk słuchowiska „Mały słuchacz, wielka przygoda", które dotarły już do 70 przedszkoli położonych na terenie Wielkopolski.

Ucho, nie oko

A jaką naukę z sukcesów audycji sprzed dziesięcioleci mogliby wyciągnąć rodzice? Otóż Wieman była apologetką higieny cyfrowej czy – biorąc pod uwagę specyfikę jej medium – sensorycznej.

Nauczyciele byli uczulani, by w przedszkolu nie nadużywać słuchania radia, bo wówczas dziecko przestanie zwracać uwagę na płynące z niego komunikaty. A chodzi o to, by muzyka nie stała się dla dziecka szumem (albo tłem, jak chcieliby streamingowi giganci). Z tego też powodu Forecka-Waśko sugeruje, by małym dzieciom nie puszczać teledysków. „Prezentujmy im samą muzykę – dzięki temu jest większa szansa, że będą chciały tańczyć i bawić się przy jej dźwiękach".

Jak udowadnia „Rytmika w eterze", audycje Wieman wciąż mogą być źródłem inspiracji. Niestety, do dzisiaj zachowały się nagrania jedynie około dwustu z blisko tysiąca dwustu programów, a i dotarcie do nich nie jest łatwą sprawą. Obchody Roku Polskiego Radia to dobra okazja, by udostępnić je szerzej.

© JAN BŁASZCZAK

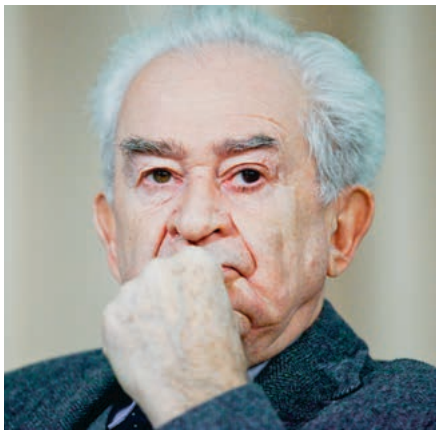

KAROL SEREWIS / EAST NEWS

Tomasz Szarota, 2014 r.

Sługa Klio. Tomasz Szarota (1940-2026)

MAREK ZAJĄC

WSPOMNIENIE | Dążył do prawdy bezkompromisowo, ale bez fanatyzmu. Był przekonany, że pamięć trzeba pielęgnować, bo inaczej ustąpi miejsca mitom i kłamstwom.

List ma datę 3 lutego 2026 r.

Drogi Marku! Od pewnego czasu zauważyłem szybkie pogarszanie się stanu mego zdrowia i coraz częściej pojawiającą się myśl o możliwym niebawem moim odejściu (...) W związku z tym pomyślałem sobie, że może zechcesz, po mojej śmierci, coś o mnie napisać i to opublikować w „Tygodniku Powszechnym" (...) Zdaję sobie sprawę, że gdyby jakiś Twój tekst o mnie miał powstać, bardzo by Ci się przydały pewne, uzyskane ode mnie informacje, a nawet sugestie dotyczące ewentualnie poruszonych w nim tematów. Szczerze mówiąc wątpię, by czytelnicy Twego tekstu o zmarłym Tomaszu Szarocie wiedzieli, że był synem zamordowanego przez Niemców konwertyty".

Do bólu rzetelny, precyzyjny i odpowiedzialny. Ciut ironiczny. Znał swą wartość, ale zarazem był pokornym sługą Klio – przekonanym, że pamięć trzeba pielęgnować, bo w przeciwnym razie zaniknie albo ustąpi miejsca mitom, półprawdom i kłamstwom. W obliczu śmierci nawet swoje życie potraktował jak ogniwo w łańcuchu historii. Taki był – Tomasz Szarota.

A zatem, spełniając jego wolę, przypomnijmy, że był synem Rafała Marcelego Blütha, żydowskiego konwertyty, związanego ze środowiskiem ks. Władysława Korniłowicza i Lasek. O losie znakomitego sowietologa, publicysty katolickiego i literaturoznawcy przesądził fatalny przypadek.

W październiku 1939 r. jego mieszkanie w Alejach Ujazdowskich – tuż przed niemiecką defiladą zwycięstwa, którą odbierał Adolf Hitler – przyszło rutynowo skontrolować dwóch mundurowych. Jeden sięgnął po leżący na biurku maszynopis. Była to sztuka, którą naziści uznali za antyniemiecką, a Blüth wraz z żoną tłumaczyli na polski. Małżonków aresztowano. Kobietę, ze względu na zaawansowaną ciążę, zwolniono. Jej męża rozstrzelano w listopadzie. W styczniu urodził się Tomasz.

Twarz ojca po raz pierwszy zobaczył, gdy miał 22 lata i studiował historię. Prof. Tadeusz Manteuffel wyszukał w uniwersyteckim archiwum opatrzone fotografią podanie Blütha z 1915 r. A potem, gdy Szarota prosił go o rękę jego córki, Anny, odpowiedział: „Jeśli choć w małej części jest pan tak przyzwoitym człowiekiem jak pana ojciec, to ja ze spokojem oddaję panu moją córkę". Tak się też złożyło, że naukową karierę związał młody Szarota z Instytutem Historii PAN, który po latach, od 1994 r., otrzyma imię jego teścia.

Jako badacz imponował różnorodnością zainteresowań i umiejętnością docierania do szerszego kręgu odbiorców. W pamięci kilku pokoleń pozostaną przede wszystkim dwie książki: „Okupowanej Warszawy dzień powszedni" i biografia dowódcy AK, gen. Stefana Roweckiego, która osiągnęła nakład 150 tys. egzemplarzy. Nie krył satysfakcji, że publikacja o zdeklarowanym antykomuniście stała się bestsellerem... w PRL.

Należał do wąskiego grona przed laty jeszcze nielicznych w Polsce komparatystów, zestawiających wojenne losy różnych państw i narodów. Echem odbiła się m.in. książka „U progu Zagłady. Zajścia antyżydowskie i pogromy w okupowanej Europie", gdzie zestawiał wydarzenia z Warszawy, Paryża, Amsterdamu, Antwerpii i Kowna. Ale badał też np. satyry i karykatury, stając się – nieświadomie – pionierem tego, co obecnie nazywa się historią wizualną.

Do obiegu wprowadzał nowe źródła, dokumenty i dzienniki. Imponował rzetelnością i detektywistycznym zacięciem, czego przykładem jest książka o tajemnicy śmierci prezydenta Starzyńskiego. Ale zamiast ciągnąć długą listę jego publikacji i wyróżnień, dość powiedzieć, że jako jedyny sześciokrotnie otrzymał Nagrodę Historyczną tygodnika „Polityka". Jej pomysłodawca, Marian Turski, mówił, że Szarota jest chlubnym wyjątkiem, bo nigdy nie zapomina umieścić kolegów po fachu w przypisach i bibliografii, a nawet podziękować im za pomoc.

Był też ważną postacią dla polsko-niemieckiego pojednania, nigdy jednak nie popadał w tanią emocjonalność. Gdy toczyła się ostra debata wokół tzw. wypędzonych, w 2010 r. w głośnym wywiadzie dla tygodnika „Der Spiegel" ukuł określenie *Vertreibung aus dem Leben*, czyli wypędzenie z życia. Nie negując cierpień Niemców, upominał się o miliony pomordowanych z ich rąk. I kolejne miliony tych, którzy – jak on sam – stracili bliskich.

W ostatnich latach w jego publikacjach i wywiadach jak refren powracała jedna kwestia: by Polacy dojrzale konfrontowali się z tym, co w naszych dziejach jest powodem wstydu – a zarazem nie zapominali o tym, z czego mamy prawo być dumni. Byśmy wyzbyli się zarówno megalomanii, jak i poczucia niższości.

„Zmarły Tomasz Szarota chyba nigdy za swego życia nie był nazywany polskim patriotą, choć się za niego uważał i bez wątpienia na to miano zasłużył" – napisał w ostatnim akapicie wspomnianego listu.

Jak każdy jego osąd przeszłości, również i ten należy uznać za trafny i sprawiedliwy. ©

NAUKA

ŚNIEŻKA CZY BREJA?

W zapisie geologicznym naszej planety zionie olbrzymia dziura, sięgająca nawet miliarda lat. Być może dlatego, że całą Ziemię skuł lód, który wystawił życie na ekstremalną próbę i zniszczył grube warstwy skał.

ŁUKASZ KWIATEK

Amerykańska badaczka Lynn Margulis rozwinęła dwie uwodzące koncepcje, z których pierwsza zapewniła jej miejsce w podręcznikach do biologii, a druga zawładnęła wyobraźnią twórców *science fiction*.

Ta pierwsza to teoria endosymbiozy, która wyjaśnia, jak proste organizmy jednokomórkowe nabyły wyspecjalizowane organella, m.in. mitochondria. To opowieść na inną okazję, przytoczmy tu tylko, dla klimatu, ogólną ideę: jednokomórkowy przodek wszystkich zwierząt, roślin, grzybów i protistów wchłonął inny, mniejszy organizm, ale nie zdołał go strawić. Niedoszła ofiara nauczyła się funkcjonować w nowym środowisku i współpracować z gospodarzem. W niemal każdej naszej komórce, według powszechnie dziś akceptowanej teorii Margulis, pływają i produkują dla nas energię stada potomków szczęśliwie niedojedzonej niegdyś bakterii.

Druga koncepcja, rozwijana przez Margulis wspólnie z Jamesem Lovelockiem, ociera się o metafizykę, ale równie łatwo dostrzec jej atrakcyjność. Do historii przeszła jako hipoteza Gai – i głosi, że cała nasza planeta funkcjonuje niczym jeden superorganizm. Występujące na Ziemi procesy geologiczne, biologiczne i atmosferyczne przypominają fizjologię planetarnej istoty, której dobrostan, podobnie jak nasz – jej skromnych części – zależy od utrzymania odpowiednich parametrów. Można powiedzieć, że to nie życie narodziło się na Ziemi niemal 4 mld lat temu – to Ziemia żyje od 4 mld lat. I stara się nie umrzeć.

Przypominam postać Margulis, ponieważ hipoteza Gai ułatwi nam zmierzenie się z jedną z ważniejszych dyskusji, która przetoczyła się przez geologię w ostatnich dekadach. By się w nią zagłębić, będziemy musieli zajrzeć do gigantycznej bruzdy na poczciwym obliczu staruszki Ziemi – Wielkiego Kanionu rzeki Kolorado.

Wielki Kanion

Nawet jeśli nie zgodzimy się z dosłowną wersją hipotezy Gai, trudno odrzucić jej metaforyczny wariant. Już z czysto geologicznej perspektywy Ziemia wydaje się bardzo „żywa", a procesy zachodzące na powierzchni planety pozostawiają na niej podobny ślad jak przeżyte doświadczenia na obliczu człowieka.

ALBO / SHUTTERSTOCK

Zapierający dech w piersiach widok Wielkiego Kanionu stanowi także geologiczną zagadkę: dwie warstwy skał leżące bezpośrednio na sobie może tu dzielić nawet miliard lat.

↦ Zderzające się ze sobą płyty tektoniczne zmieniają układ lądów i wypiętrzają góry, a powstająca głęboko pod powierzchnią magma przedziera się czasem ku górze, by wylać się jako lawa i zastygnąć niczym strup na otwartej ranie. Zarazem woda i powietrze erodują skały na powierzchni i tworzą nowe warstwy, zapewniając ziemskiej skorupie odmładzający lifting. Wwiercając się w geologiczną „skórę" naszej planety, poruszalibyśmy się w czasie – na ogół docierając do coraz starszych warstw Ziemi. Ale czasem w naszej podróży w przeszłość natrafilibyśmy na białe plamy.

Około 6 mln lat temu rzeka Kolorado, zasilana wodami z topniejącego śniegu zalegającego na Górach Skalistych, wyżłobiła najsłynniejszy kanion na świecie. Od dziesiątek milionów lat w tym miejscu powstawały doliny, ale właśnie wtedy Wielki Kanion Kolorado przybrał aktualny kształt. Rozciąga się na długości 446 km, w najszerszym miejscu ma ponad 29 km, a w najgłębszym – przeszło 1,8 km. Dla zamieszkujących te tereny Indian, np. plemienia Hawasupajów, Hopi czy Hualapai, jest miejscem świętym i odgrywa kluczową rolę w mitach o początku ludzkości. Niemal równie ważny jest także dla geologów – ponieważ tak wielkie połacie odsłoniętych skał dokładniej niż w każdym innym miejscu na Ziemi opowiadają jej historię.

Pierwsze geologiczne badania Wielkiego Kanionu zorganizowano w drugiej połowie XIX w. z czysto praktycznych powodów – budowy kolei biegnącej przez cały kontynent. Najważniejszymi dla tej historii wyprawami kierował weteran wojny secesyjnej (ciężko w niej ranny) John Wesley Powell, który zaangażował w prace nie tylko naukowców, ale i równie ważnych dla całego przedsięwzięcia artystów – fotografa Jacka Hillersa, malarza Thomasa Morana oraz ilustratora i muzealnika Williama Holmesa. Ich zadaniem było dokumentowanie skomplikowanych formacji geologicznych. To właśnie Powell zauważył i zaznaczył na opublikowanych mapach i ilustracjach, że w warstwach skał odsłoniętych w Wielkim Kanionie brakuje geologicznej ciągłości.

Wielka Niezgodność

W publikacji wydanej na 150-lecie kluczowej ekspedycji Powella Karl Karlström i Laura Crossey z Uniwersytetu Nowego Meksyku w Albuquerque tak podsumowali stan naszej wiedzy na temat geologii Wielkiego Kanionu.

W ogólnym zarysie, Wielki Kanion odsłania trzy złożone zespoły skalne. Na samym dnie znajduje się tzw. krystaliczne podłoże Vishnu, ukształtowane przeszło 1,75 mld lat temu, ale później wielokrotnie przeobrażone. Jego pierwotne warstwy wytworzyły się, zanim powstał tu stały ląd – w miejscu prastarych wysp wulkanicznych, przykrytych z czasem magmą i pyłem oraz innymi osadami. Przez kolejne setki milionów lat ruchy tektoniczne pogrzebały tę formację głęboko pod powierzchnią, a potem wypiętrzyły w tym miejscu góry, które z czasem zostały starte do podłoża.

Na zgliszczach tych gór w ciągu następnych setek milionów lat utworzyła się kolejna struktura, nazywana supergrupą Grand Canyon. Te skały dokumentują okres od ok. 1,25 mld lat do ok. 700 mln lat temu, choć z rozległymi przerwami. Był to czas, gdy na Ziemi powstał i rozpadł się superkontynent Rodinia (przodek znacznie lepiej znanej i zbadanej Pangei), co pociągało za sobą mnóstwo zjawisk geologicznych (napieranie na siebie mas lądów, nanoszenie osadów, aktywność wulkaniczną). Dla naszej opowieści kluczowe jest to, że ta struktura skalna zachowała się tylko w niektórych miejscach Wielkiego Kanionu.

Zaś na niej (a miejscami bezpośrednio na tych najstarszych skałach podłoża Vishnu) spoczywają znacznie młodsze (liczące ok. 510 mln lat) skały osadowe, tworzące tzw. grupę Tonto. Powstała ona w czasach, gdy sporą część tego terenu przykryło morze, przynoszące różnorodne osady – piaski, muły czy związki wapnia.

Taka sekwencja odsłoniętych skał oznacza więc, że w różnych częściach Wielkiego Kanionu brakuje dokumentacji procesów geologicznych zachodzących w czasie od setek milionów do nawet przeszło miliarda lat. Tego rodzaju przerwy na styku warstw skalnych noszą w geologii nazwę niezgodności – a ta konkretna, najlepiej udokumentowana w Wielkim Kanionie, choć widoczna także w innych częściach świata, określana jest jako Wielka Niezgodność. Do dzisiaj trwają dyskusje nad jej przyczyną – co takiego działo się w czasie, z którego nie zachowały się skały – i co dokładnie doprowadziło do ich erozji?

Część badaczy uważa, że Wielką Niezgodność najlepiej wyjaśnia scenariusz, zgodnie z którym Ziemia ok. 600-700 mln temu niemal w całości została skuta lodem. I to on miał zeskrobać z jej powierzchni „brakujące" skały.

Wielka wędrówka

Jednym z ojców chrzestnych tej hipotezy – nazywanej w geologii hipotezą Ziemi-śnieżki – był radziecki klimatolog Michaił Budyko. Pod koniec lat 60. stworzył on model klimatyczny, który przewidywał, że po przekroczeniu pewnego progu zlodowacenie będzie samoistnie się napędzać. Podstawowy mechanizm jest prosty: lądolód, z racji swojego koloru, odbija więcej światła niż woda czy ląd (w fizyce ten parametr odbijalności określa się jako albedo), sprawiając, że planeta mniej się nagrzewa. Z bardziej współczesnej wersji modelu wynika, że jeśli lód pokryłby obszar Ziemi do ok. 25-30 stopnia szerokości geograficznej na południe i na północ od równika, to albedo Ziemi tak bardzo by wzrosło, że zlodowacenia nie dałoby się już zatrzymać.

Jeszcze zanim Budyko opracował swój model, geolodzy i klimatolodzy dysponowali przesłankami, że ok. 600-700 mln lat temu lód faktycznie pojawiał się zadziwiająco blisko równika. Ślady tych zlodowaceń znaleziono m.in. na Grenlandii, która dzisiaj wprawdzie znajduje się w pobliżu bieguna północnego, ale przecież nie zawsze tak było, co zawdzięczamy wędrówce kontynentów – bodaj najbardziej spektakularnemu przejawowi geologicznego życia naszej planety. W interesującym nas okresie Grenlandia faktycznie znajdowała się w strefie równikowej – i jeśli nawet tam dochodziło wówczas do przyrastania warstw lodu, to tym bardziej tereny położone bliżej biegunów musiały być zamarznięte na kamień.

Istnieją jeszcze inne przesłanki wspierające hipotezę Ziemi-śnieżki. Jedną z nich są skały określane jako żelaziste formacje wstęgowe (lub angielskim skrótem BIF), które powstają w wodzie tylko w szczególnych warunkach – gdy brakuje w niej tlenu. Większość z nich uformowała się w pradawnych czasach, zanim jeszcze organizmy produkujące tlen zatruły nim atmosferę (wybijając niemal wszystkie istoty żywe, dla których ten

gaz był toksyczny, ale robiąc miejsce dla oddychających tlenem naszych mikroskopijnych przodków). Niewielka część BIF-ów powstała również ok. 600-700 mln lat temu, a jedno z najbardziej eleganckich wyjaśnień tej anomalii głosi, że oceany zostały skute lodem, co ograniczyło dostęp tlenu do wody – wówczas BIF-y znowu mogły się wytrącać.

Innym, bardziej subtelnym śladem geologicznym przemawiającym za hipotezą Ziemi-śnieżki jest tzw. anomalia irydowa. Pierwiastek ten ma przeważnie nieziemski rodowód – przylatuje w meteorytach i kosmicznym pyle. Wspomniana anomalia wiążę się z tym, że u podstawy skał powstałych po ustąpieniu zlodowacenia znaleziono podwyższone stężenia irydu. Jedno z wyjaśnień jest takie, że ten kosmiczny pierwiastek odkładał się na powierzchni lodu i gdy doszło później do ocieplenia klimatu, to nagromadzony iryd opadł nagle na dno. Ten chemiczny sygnał sugeruje też, jak długo mogły trwać epizody globalnego zlodowacenia – od kilku do kilkunastu milionów lat.

Wielkie zimno

W wykładzie wygłoszonym na kanale YouTube „Copernicus" Aleksander Majchrzyk z Instytutu Geologii UJ wymienił jeszcze kilka argumentów przemawiających za Ziemią-śnieżką (większość dotyczy pojawienia się charakterystycznych dla obecności lodowca śladów w wielu miejscach na świecie w okresie ok. 600-700 mln lat temu), ale nie musimy ich w tym miejscu wszystkich przytaczać – niech nam wystarczy świadomość, że bardzo rozległe zlodowacenia są dobrze potwierdzonym faktem geologicznym. Zapytajmy za to, dlaczego Ziemia miałaby w ogóle zamarznąć.

Podstawowy mechanizm nie powinien być dla nas zaskakujący, choć wystąpił w innych realiach geologicznych. Otóż w okresie, który nas interesuje (jego geologiczna nazwa to kriogen, czyli dosłownie „narodziny zimna") większość ziemskich lądów była bardziej niż dzisiaj skoncentrowana w okolicy równika. To oznaczało wyższe temperatury nad lądami i wyższe średnie opadów, które prowadziły do erozji skał.

Wiele tych skał zawierało wówczas krzemiany, których wietrzenie wysysało z atmosfery dwutlenek węgla. Zaś, jak dobrze dziś wiemy, mniej dwutlenku węgla w powietrzu oznacza niższe globalne temperatury. Cały proces posiada wpisany w siebie pewien stopień samoregulacji (obniżająca się temperatura zmniejsza tempo wietrzenia skał, więc dalsze ochładzanie klimatu hamuje), ale ten planetarny bezpiecznik nie zdołałby całkowicie zatrzymać zlodowacenia.

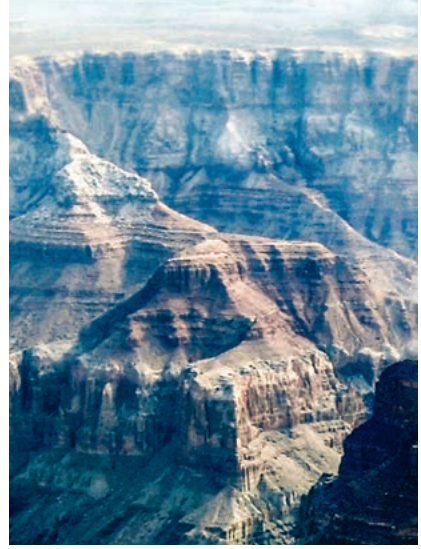

ALBO / SHUTTERSTOCK

Dla mieszkających tu Indian Wielki Kanion jest miejscem świętym i odgrywa rolę w mitach o początku. **Niemal równie ważny jest dla geologów.**

Zwłaszcza że napędzały je jeszcze inne czynniki, z których najważniejszym mogło być słabiej świecące Słońce. Z modeli astrofizycznych wynika, że młodsza o kilkaset milionów lat gwiazda emitowała o ok. 6 proc. mniej energii niż dzisiaj. Ziemia miała więc kilka dobrych powodów, by zamarznąć.

Nie jest jednak jasne, czy stało się to w całości. Choć niektóre szacunki mówią, że w szczycie zlodowacenia w kriogenie temperatury mogły być niższe aż o 50 stopni Celsjusza niż dzisiaj, to jednak istnieje możliwość, że oceany nie zamarzły całkowicie, a wokół równika utworzył się pas płynnej wody. Istotnym argumentem za takim scenariuszem jest fakt, że... istniejemy. Trudno sobie wyobrazić, by życie – wówczas występujące jedynie w wodzie – przetrwało epizod całkowitego zlodowacenia.

W każdym razie kriogen był poważnym testem dla życia, z którego mogło ono zresztą wyjść wzmocnione. Z kolejnego okresu (nazywanego ediakarem) znamy już niezwykle bogate zespoły dużych, wielokomórkowych organizmów, wśród nich formy uznawane za jedne z najstarszych zwierząt. Kriogenowe zlodowacenie, które przeorganizowało chemię i ekologię oceanów, mogło ułatwić ważne ewolucyjne kroki.

Wielka odporność

Zlodowacenie w kriogenie (właściwie: zlodowacenia, bo epokę lodową przerwał wówczas cieplejszy okres) uważane jest dzisiaj za niepodważalny fakt geologiczny, ale badacze spierają się, jaki był jego faktyczny przebieg i zasięg. Czy doszło do skucia lodem całej planety, zgodnie z hipotezą Ziemi-śnieżki? A może lodu było trochę mniej, jak głosi wariant tej hipotezy nazywany Ziemią-breją? Trwają też spory o to, w jakim stopniu kriogenowe zlodowacenia tłumaczą Wielką Niezgodność.

Kilka miesięcy temu Rong-Ruo Zhan z Uniwersytetu Północno-Zachodniego w Xi'an i współpracownicy przekonywali w „PNAS", że prastare skały nie zostały zerodowane w całości przez lodowiec – erozję miały za to przyspieszyć procesy tektoniczne, występujące setki milionów lat przed kriogenem. W zaproponowanym przez zespół z Chin scenariuszu zlodowacenia co najwyżej dokończyły dzieła zniszczenia.

Historia kriogenowych zlodowaceń uczy nas jednak, że ziemskie systemy, zapewniające planecie bardzo długie okresy stabilności, co jakiś czas mogą się rozregulować – nasza Gaja może chorować. Czasem przemarznie, jak w kriogenie, czasem się przegrzeje, czego zaczęliśmy już doświadczać. W każdej z tych sytuacji kluczową rolę odgrywają gazy cieplarniane, bo to spadek koncentracji dwutlenku węgla doprowadził do epoki lodowej, a dzisiaj jego nadmierna emisja przegrzewa planetę. Ten sam gaz pozwolił zresztą Ziemi wyjść z etapu śnieżki lub breji – bo przemarznięta planeta pozostawała geologicznie aktywna. Nie ustały zjawiska wulkaniczne, dzięki którym powietrze w końcu ponownie nasyciło się dwutlenkiem węgla. Po jakimś czasie temperatury zaczęły rosnąć, a lód się wycofał.

Przeziębionej w kriogenie Ziemi przeszło pewnie przez myśl: nie, nie umrę; jeszcze nie teraz. ©℗ ŁUKASZ KWIATEK

KULTURA

OPOWIEŚCI PODCHODZĄ JAK SARNY

GEORGI GOSPODINOW, PISARZ:

Ojciec dzwonił do mnie czasami, mówił: musisz zobaczyć, jak wspaniałe pomidory urosły. To zdanie na język emocji można przetłumaczyć: starzeję się, tęsknię, przyjedź.

ANNA GOC: „I mnie, który wierzy w słowa, zabrakło słów" – napisałeś w książce „Ogrodnik i śmierć", osobistej opowieści o ojcu. Pisanie zaczyna się od bezradności?

GEORGI GOSPODINOW: Czasami nie możemy czegoś wyrazić słowami. I właśnie te momenty, kiedy brakuje nam słów, interesują mnie w pisaniu najbardziej.

Przez pół roku po śmierci ojca nie potrafiłem nic powiedzieć. Czułem ból. Największą rozpacz, na którą nie ma słów. Kiedy zacząłem znajdować słowa, ból powoli przechodził w smutek, a smutek jako emocja przyziemna był bardziej do uniesienia.

Ostatni miesiąc od diagnozy taty spędziliśmy razem w moim mieszkaniu. Byłem przy nim przez cały ten czas. Zapisywałem wspólne momenty, bo chciałem je uchronić od zapomnienia. Notowałem lekarstwa, które mu podawałem, także te, którymi próbowaliśmy uśmierzyć ból.

Ojciec też zostawił notatnik – ogrodnika. Myślisz, że pisał go dla synów?

Ten zeszyt jest wyrazem tego, jak mojemu ojcu, ale też całemu jego pokoleniu, które urodziło się tuż po wojnie, trudno było mówić o własnych doświadczeniach i emocjach. Jak ciężko im było mówić: „kocham cię", „jesteś dla mnie ważny". Używać słów, które musieli uważać za wyolbrzymione, zbyt patetyczne. Chciałem opowiedzieć o tej emocjonalnej niemocy, braku możliwości wyrażania swoich uczuć.

Mój ojciec pojawiał się właściwie we wszystkich moich książkach. My-

MIRCO TONIOLO / SHUTTERSTOCK / REX FEATURES / EAST NEWS

GEORGI GOSPODINOW – bułgarski pisarz, w przekładzie na język polski ukazały się: „Schron przeciwczasowy", za którą otrzymał Międzynarodową Nagrodę Bookera 2023, „Powieść naturalna", „Fizyka smutku", „Ogrodnik i śmierć" oraz „I wszystko stało się księżycem".
Na zdjęciu: w Wenecji, 2022 r.

ślę, że moment jego śmierci był chwilą, kiedy zrozumiałem, że chciałbym napisać o nim książkę. I o jego pokoleniu, o którym często się opowiada poprzez motyw brakującego ojca. Stąd nawiązania do „Odysei".

To jest też o długiej drodze, która rozpoczęła się jeszcze od ojca mojego ojca, poprzez relacje z moim ojcem, aż do momentu, kiedy ja w końcu chciałem kogoś przytulić. Nie krytykuję jednak tego pokolenia, nie obwiniam ich. Chciałem zrozumieć, dlaczego tacy byli.

Dlaczego tak trudno im było przytulać?

Wiem, że kochali nas bardzo, ale nie potrafili tego uzewnętrznić. Mój ojciec nigdy nie był całowany ani przytulany. Zrobiliśmy ten pierwszy krok, kiedy się z ojcem przytuliliśmy.

Jestem już z tego pokolenia, które przytula dzieci. Robimy to bez zastanowienia, jako coś zupełnie naturalnego. I to jest ta bardzo długa droga, którą przeszliśmy, by zacząć wyrażać emocje.

Jednocześnie „Ogrodnik i śmierć" to książka o wyrażaniu miłości. Widać ją i wtedy, kiedy tata nosi Twoje stare kurtki, żeby je znosić do końca. I gdy dowiaduje się, że „Schron przeciwczasowy" jest nominowany do jednej z najważniejszych nagród literackiego świata i mówi – jedź, choć już źle się czuje. Obrazy, które przywołałeś, zastępują wielkie słowa.

To chciałem pokazać, że na końcu zostają nie słowa, tylko gesty. Momenty, które mieliśmy razem. Mój ojciec właśnie w taki sposób wyrażał swoje uczucia – prowadził notes ogrodnika, w którym zapisywał, kiedy jakie rośliny sadzić, jak je pielęgnować. ↦

↦ W jego ogrodzie były i róże, i ziemniaki. Dzwonił do mnie czasami, mówił: musisz zobaczyć, jak wspaniałe pomidory urosły. To zdanie na język emocji można przetłumaczyć: starzeję się, tęsknię, przyjedź.

Nagroda Bookera to był ten sam rok, w którym mój tata zmarł. Wiem, że w tamtym roku były dla niego też szczęśliwe momenty. Nasi rodzice często woleli pozostać w cieniu. Nie jestem pewien, czy potrafiłbym się zachowywać tak, jak oni.

Jednocześnie chciałem też opowiedzieć o tym, jak bardzo nie chcieli pokazać nam swojego strachu. Nawet wtedy, gdy umierali. Ostatnimi słowami mojego ojca była prośba, żebyśmy sprawdzili, czy na stole na pewno leży jego dowód osobisty, bo będzie prawdopodobnie pierwszą rzeczą, której będziemy potrzebowali po jego śmierci.

„Ogrodnik i śmierć" to także książka, w której można odnaleźć emocje tych, którzy próbują się nauczyć – jak piszesz – żyć na nowo bez tego, kogo się kochało: „Wygląda na to, że po śmierci, tak jak po każdych narodzinach, świat zaczyna się od nowa".

Zobacz.

(Wyjmuje telefon, otwiera listę ulubionych kontaktów).

Nie skasowałem numeru taty. Do tej pory, kiedy wysiadam z pociągu, odruchowo chcę do niego zadzwonić. Powiedzieć mu, że dojechałem do Krakowa, i że wszystko jest w porządku. I te momenty, kiedy uświadamiam sobie, że już nie mogę tego zrobić, są najtrudniejsze.

Albo gdy widzę róże. One już nigdy nie będą po prostu różami. Zawsze będą przypominały te, które mój tata miał w ogrodzie. Myślę, że człowiek nigdy do końca nie rozdziela się ze swoimi bliskimi.

Też myślę, że oni mieszkają w nas. Ci, którzy odeszli, i ci, których straciliśmy, bo nasze drogi się rozeszły.

Podczas spotkań z czytelnikami w różnych krajach zrozumiałem, że doświadczenie relacji z ojcami jest uniwersalne. Nieustannie dostaję wiadomości, że moja książka pomogła komuś przejść przez te najtrudniejsze momenty.

„Świat jest jednością, a powieść tym, co go łączy" – napisałeś w „Powieści naturalnej".

Aby powstała historia, trzeba ją najpierw złapać,
a żeby ją złapać
– ty, piszący, musisz
pozostać niewidzialny.

Myślę też, że książka odnajduje swojego czytelnika dokładnie w tym momencie, w którym powinna.

Kiedy podpisywałem „Ogrodnika i śmierć", podszedł do mnie mężczyzna i poprosił, żebym zadedykował tę książkę jego matce. Wyznał, że dostał ją od mamy na kilka dni przed jej śmiercią. Miał wrażenie, że mama podarowała mu tę opowieść właśnie po to, by mógł ją przeczytać, kiedy jej już nie będzie. Że chciała go zostawić z tą książkę, by dzięki niej mógł poradzić sobie z jej odejściem.

Tobie też pomogła?

Notując, uruchamiałem coś, co możemy nazwać magicznym myśleniem. Chciałem wierzyć, że pisaniem pomagam ojcu. Myślałem, że jeśli napiszę: „błagam, żeby tata bardzo nie cierpiał, błagam, żeby tata bardzo nie cierpiał" – i tak siedem razy, to będzie go bolało mniej.

Ogród i jego cykliczność też dawały spokój?

Myślę, że właśnie dlatego ludzie zakładają ogrody, żeby doznać tego rodzaju spokoju. Im jesteśmy starsi, tym więcej czasu spędzamy w ogrodzie. Nazywam to ogrodniczą nieśmiertelnością.

Rozmawiałeś z tatą o zapiskach?

Mój ojciec widział, że coś notuję, ale nie rozmawialiśmy o tym. Był osobą bardzo skromną, nie pomyślałby nawet, że piszę o nim. A już tym bardziej, że mógłbym napisać o nim książkę.

O dzieciństwie opowiadamy rzeczownikami, o dorosłości czasownikami, starość opisujemy przymiotnikami – to fragment z innej Twojej książki, „Fizyki smutku". Co nam dają przymiotniki w opowiadaniu o starości i odchodzeniu?

Łatwiej jest nam kochać swojego ojca, niż go zrozumieć. I to starałem się zrobić – opowiedzieć o tym, że ostateczne zrozumienie przychodzi poprzez emocje, z serca.

Mój ojciec bardzo często pojawia się w moich książkach. I nawet tytułowe opowiadanie z tomu „I wszystko stało się księżycem" zaczyna się tak: „Kastor P. szedł umrzeć. Przeżył siedemdziesiąt dziewięć lat i trzy miesiące i nie widział sensu, by to kontynuować". I mój ojciec – uświadomiłem sobie to niedawno – również zmarł w tym wieku.

W jednym z opowiadań z tego tomu, „Przed hotelem Bułgaria", jest scena, w której ojciec siedmioletniego chłopca rozmawia z golarzem, który w międzyczasie strzyże chłopca. Siedmiolatek najbardziej boi się tego, że golarz obetnie mu ucho. Tę scenę przypomina sobie dorosły mężczyzna i patrzy na chłopca jak na kogoś z przeszłości. Czy i Tobie się zdarza, że nie rozpoznajesz dawnego siebie?

Nie wierzę w chronologię ani w linearność czasu. I to wyraża się w tym, jak piszę. Podobnie postrzegam siebie – jestem wciąż taki sam. I mój ojciec również jest ten sam. Natomiast czasami trudno jest mi powiedzieć, co było prawdą, a co fikcją. Ale to nie ma już znaczenia.

Jeśli linearność czasu nie ma znaczenia, to czym jest czas?

Czas i pamięć są głównymi tematami moich tekstów. Motywem, który tworzy linię w tym zbiorze opowiadań, jest pytanie: co zrobimy, kiedy nadejdzie moment apokalipsy. Apokalipsa nie jest kwestią przestrzeni, tylko właśnie czasu. Kiedy nadchodzi, czas się zamyka, tworzy krąg.

„Czasami koniec świata jest czymś bardzo osobistym" – zapamiętałam z „I wszystko stało się księżycem".

W ostatniej książce wykorzystuję motyw Apokalipsy św. Jana, także w kontekście kategorii czasu. Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość zamykają się w jednym momencie. Wszystko staje się teraz. Może to nie jest wcale takie przerażające? Obserwujemy coś podobnego we współczesnym świecie – to, co było przeszłością, miesza się z tym, co jest teraźniejszością.

Gdy byłem dzieckiem, babcia czytała mi codziennie o szóstej wieczorem Biblię. Motyw apokalipsy często się pojawiał.

Wyobrażałeś ją sobie?

Moim zdaniem apokalipsa jest czymś cichym i spokojnym, pozbawionym fajerwerków. Jest szeptana. Myślę o niej w ten sposób być może dlatego, że babcia, czytając Biblię, szeptała. W tamtych czasach czytanie Biblii było zakazane, dlatego nasza była owinięta w gazetę.

Każdego wieczoru o osiemnastej babcia siadała blisko okna, ja obok niej. Dotykała palcem linijek, przesuwała po kolejnych, szeptała (*szepcze*): „i właśnie wtedy cztery konie apokalipsy...". Za każdym razem, gdy otwieram Biblię, czuję się jak wtedy, przywołuję tamto wspomnienie.

No i dlatego też uważam, że czytanie Apokalipsy powinno odbywać się spokojnie, a nie z poczuciem paniki. Bóg nie krzyczy, On mówi cicho.

Wieczorne czytanie Biblii z babcią miało wpływ na Twoje pisanie?

Tak, teraz też siadam do pisania, gdy zapada zmierzch.

Jon Fosse w wywiadzie dla „Tygodnika" mówił, że pisze o świcie, gdy mrok przechodzi w jasność. W „godzinie wilka" – jak nazwał ten moment.

Ja odwrotnie. Jest coś przejmującego w tym konkretnym momencie dnia, kiedy znika światło, a jego miejsce zajmuje ciemność. Jak każde dziecko bałem się ciemności. Teraz też się jej boję, ale tej metafizycznej.

Kiedy miałem sześć lub siedem lat, po raz pierwszy dotknęło mnie doświadczenie apokalipsy. Bardzo często śnił mi się wtedy przerażający koszmar. Nie mogłem się jednak nim z nikim podzielić, bo – jak mówiła moja babcia – u nas nie opowiada się takich rzeczy. Wpadłem wtedy na pomysł, że go zapiszę. I dzięki temu, że go zapisałem, przestałem go śnić. Ale również dzięki temu nigdy go nie zapomniałem.

Czy to był koszmar ze studnią?

Tak. W tym koszmarze cała moja rodzina była na dnie studni. To był koszmar, który oddawał uczucie, że zostajesz sam. Myślę, że to jest właśnie część apokalipsy – poczucie, że zostajesz sam.

W tomie „I wszystko stało się księżycem" napisałeś, że „kiedyś samotność była bardziej skoncentrowana i mniejsza, dało się ją oswajać, głaskać jak kota". Co się z nią stało?

Samotność stała się poczuciem globalnym, może nawet kosmicznym. Ludzie, którzy ją odczuwają, są jak małe punkty w skali globu. *Social media* nie pomagają nam, potęgują samotność – to jest już dla nas jasne. Samotność jest jak lawina, która naciera na nas zewsząd, jest w doświadczeniu wielu ludzi.

I to jest paradoksalne, że teraz, kiedy rozmawiamy przez wszystkie możliwe nośniki i kanały, poczucie samotności staje się jeszcze bardziej dotkliwe. Wszyscy mówimy, ale brakuje komunikacji. Wymieniamy się tylko monologami.

To są sprawy, o których ostatnimi czasy często myślę – w jaki sposób damy sobie radę z samotnością? Nie mam jeszcze odpowiedzi na to pytanie.

Literatura ma się zająć tymi tematami?

Myślę, że literatura daje możliwość, by poruszać te tematy i pisać o tych emocjach, które ciężko byłoby wyrazić słowami. I które rozumiem dopiero wtedy, kiedy o nich napiszę. Literatura jest zrozumieniem siebie i świata. I pozwala unieść to, co w inny sposób byłoby emocjonalnie nie do udźwignięcia.

Opowiadanie i pisanie ma moc magiczną. Bardzo w to wierzę. Pierwsze funkcje języka były funkcjami magicznymi. Drugą funkcją literatury było oswajanie złego poprzez zamknięcie go w pewnym porządku słów. Na koniec można wspomnieć i o tym, że za sprawą literatury możemy nadawać sens i pokazywać ten sens innym.

Gdy piszę, prowadzę z czytelnikiem wyimaginowaną rozmowę. Każda książka, każde opowiadanie jest jak korytarz, który łączy mnie z moim czytelnikiem. Tworzy się między nami relacja. Niewidzialna społeczność. Ja nie znam moich czytelników, ale oni wiedzą o mnie wszystko. Czasami się spotykamy. Okazuje się, że przez wiele lat byliśmy razem.

Przed naszą rozmową czułam coś podobnego – że spotykam się z kimś znajomym, a jednocześnie z kimś, o kim przecież nic nie wiem. Zaskoczyły Cię Twoje książki?

Gdy wracam do moich poprzednich książek, zdarza się, że czuję się zaskoczony. Choć nie są to tylko miłe niespodzianki. Jednak bez tych książek nie mógłbym sobie przypomnieć wielu historii z mojego dzieciństwa.

Opowiadasz po to, żeby pamiętać. Zachować ludzi i zdarzenie od zapomnienia. Jak powiedział jeden z moich przyjaciół: kiedy milczymy, zapominamy.

Opowiadanie „O, Henry (Historia bożonarodzeniowa)" jest o trudzie opowieści.

To jest opowiadanie o tym, jak się pisze opowiadania i jakie to jest trudne. Jeden z bohaterów mówi, że aby powstała historia, trzeba ją najpierw złapać, a żeby ją złapać – ty, piszący, musisz pozostać niewidzialną istotą. Pozwolić na to, żeby historia podeszła do ciebie jak sarna. Oswoić ją. Nie opowiadać jej na siłę. Dać opowieści czas.

I w ten sposób jest napisane to opowiadanie. I tak naprawdę wszystko jest tak, jak w tym opowiadaniu.

Opowieści do Ciebie podchodzą?

Podchodzą. Staram się je usłyszeć.

©℗ Rozmawiała ANNA GOC

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TP NA STRONIE „TYGODNIKA"

„Nieukończony film" – zakazany obraz o początkach pandemii COVID-19 w intrygujący sposób odtwarza atmosferę tamtego czasu. Dokładnie tam, gdzie wszystko się zaczęło.

TygodnikPowszechny.pl/co-obejrzec-w-weekend

Model bliskości

PIOTR KOSIEWSKI

SZTUKA | Z kopalń i hut do kościołów. Tegoroczne Manifesta opowiadają o Zagłębiu Ruhry przez historie migrantów, przemysłu, wiary i wspólnoty.

IVAN EROFEEV / MANIFESTA 16 RUHR / MATERIAŁY PRASOWE X3

Obok: głowa Madonny Mirosława Bałki przed kościołem Christ-König w Bochum.

Na prawej stronie od góry: Eva Koťátková, When Animals Fall from the Sky, 2026, Kościół Christ-König, Bochum, Manifesta 16; w absydzie praca Małgorzaty Mirgi-Tas, 29 (new sculpture of the fallen man pink). Zuza Golińska, Swarm – Serie, 2023-2025, Gethsemane-Kirche, Bochum.

Manifesta to nietypowe biennale. Nie jest przypisane do jednego miejsca, lecz co dwa lata organizowane w różnych regionach Europy. Wymyślone zostało w Holandii w roku 1994, a dwa lata później w Rotterdamie odbyła się jego pierwsza edycja. Później impreza gościła m.in. w Ljubljanie, Frankfurcie i Palermo. A sam pomysł powołania nomadycznej wystawy związany był ze zmianami politycznymi, gospodarczymi i społecznymi, jakie zachodziły w Europie po upadku bloku wschodniego i zacieśnianiu się europejskiej współpracy – dwa lata przed stworzeniem Manifesta podpisano traktat z Maastricht powołujący Unię Europejską w znanym nam obecnie kształcie.

W tym roku Manifesta, już szesnaste, zorganizowano w Zagłębiu Ruhry. To szczególne miejsce: od XIX w. było to centrum niemieckiego górnictwa i przemysłu ciężkiego.

Po II wojnie światowej Zagłębie Ruhry stało się ucieleśnieniem nowoczesności Zachodnich Niemiec. Jednak, paradoksalnie, już pod koniec lat 50. pojawiały się sygnały kryzysu. W latach 60. i 70. zamknięto pierwsze kopalnie. Ostatnia – Prosper-Haniel – zakończyła działalność w roku 2018. Wiązało się to także z likwidacją części kluczowych gałęzi przemysłu ciężkiego.

Region nadal pozostał bardzo silnym ośrodkiem przemysłowym, z gęstym zaludnieniem, ale całkowicie zmienił się jego charakter, w tym pejzaż miast, z którego zniknęła większość fabrycznych budynków (pozostałe przekształcono m.in. w muzea) i pokopalnianych hałd. Oznaczało to zmianę tożsamości Ruhry, której fundamentem przez blisko dwa wieki było górnictwo. Rozpoczął się także inny proces, mający istotny wpływ na charakter tego terenu: sekularyzacja.

KOŚCIOŁY | Od drugiej połowy lat 40. po lata 60. ubiegłego wieku w Zagłębiu Ruhry wzniesiono ponad 1000 nowych kościołów. Część z nich zastąpiła budynki zniszczone podczas alianckich nalotów, jednak wiele służyło już nowym mieszkańcom, w tym osobom przesiedlonym ze wschodnich terenów dawnych Niemiec. W projektowaniu dominowała modernistyczna estetyka. Kościoły miały być symbolem nowoczesności, a jednocześnie pielęgnować tradycyjną tożsamość.

Dziś miejsca niegdyś centralne w życiu wielu osób stały się – jak piszą twórcy obecnej edycji Manifesta – „symbolami kurczącej się sfery publicznej: atomizacji społecznej i utraty zbiorowego doświadczenia". Podzielają los, który wcześniej był udziałem kopalń węgla i hut: nikną z krajobrazu miast. I to kościoły stały się tematem tegorocznej edycji, zatytułowanej znacząco: „This is not a church".

Najnowsze Manifesta stały się również okazją do podsumowania ich dotychczasowych odsłon. Tego, na ile nomadycznemu Biennale udało się za pomocą sztuki dotknąć istotnych kwestii społecznych, kulturowych czy ekonomicznych. Do przygotowania imprezy zaproszono osoby, które znacząco wpłynęły na sztukę w tym czasie: niemieckiego kuratora René Blocka, Brytyjczyka Meyrica Hughesa oraz Andę Rottenberg.

Każda z tych osób tworzyła wystawy wspólnie z reprezentantami młodszego pokolenia krytyków i kuratorów – w przypadku Andy Rottenberg był to Krzysztof Kościuczuk, wcześniej m.in. kurator i dyrektor artystyczny stworzonego przez Grażynę Kulczyk Muzeum Susch.

WĘGIEL | Przygotowane wystawy są efektem wielopokoleniowego dialogu osób urodzonych między 1942 a 1998 r. i prezentowane są w 12 kościołach położonych w czterech miejscowościach: Bochum, Duisburgu, Essen i Gelsenkirchen. Choć Manifesta nie ograniczają się tylko do tych ekspozycji: towarzyszy im ponad 60 innych wydarzeń (warsztatów, spotkań czy rozmaitych zajęć rodzinnych).

Przed Kościołem Christ-König w Bochum stanęła trzymetrowa rzeźba Mirosława Bałki przedstawiająca Madonnę. Polski artysta użył nietypowych materiałów: stalowy szkielet wypełnił bry-

łami węgla – surowca definiującego charakter tego regionu. Artysta przypomina, że przeszłości nie można, a nawet nie powinno się wymazywać.

Dowartościowując węgiel, nadaje mu cechy szlachetnego materiału. Zwraca też uwagę na rolę, jaką religia pełniła w życiu tutejszych mieszkańców. Bez obu tych elementów nie można zrozumieć ani przeszłości, ani teraźniejszości Zagłębia Ruhry i podobnych mu regionów.

HISTORIA | Wystawy w tym i dwóch innych kościołach Bochum przygotowane przez Andę Rottenberg i Krzysztofa Kościuczuka odwołują się z kolei do historii Zagłębia Ruhry, ale też polskiej i polsko-niemieckiej przeszłości. W prezbiterium Kościoła Christ König znalazły się m.in. rzeźby Małgorzaty Mirgi-Tas przedstawiające upadających mężczyznę i kobietę. Skulonych, jakby starających się schronić, wzajemnie osłonić.

Do przygotowania woskowych rzeźb artystka wykorzystała fragment pomnika upamiętniającego grupę Romek i Romów, dorosłych i dzieci, zamordowanych przez Niemców w okolicach małopolskiego Borzęcina Dolnego w 1943 r. Zaprojektowany przez Mirgę-Tas i odsłonięty w roku 2011, po pięciu latach został zniszczony. Z jego resztek powstała przejmująca praca, przypominająca zarówno o tragicznej historii Romów, jak i trudnościach, jakie wiążą się z pamięcią o tych wydarzeniach.

Z kolei w prezbiterium Gethsemane-Kirche znalazła się instalacja Zuzy Golińskiej „Swarm" (2023-2025). Powstała w Stoczni Gdańskiej we współpracy z tamtejszymi spawaczami. Materiały w niej użyte pochodzą właśnie z tego miejsca, będącego symbolem Solidarności, które po 1989 r. musiało – podobnie jak wiele innych wielkich zakładów przemysłowych – przejść bolesną transformację. Z resztek złomu, w tym wielkich butli, powstały niepokojące obiekty, przypominające groźne owady, a może drony czy inne mechanizmy służące do zabijania.

W Bochum obejrzeć można także film Wilhelma Sasnala „Centrum" (2004), opowiadający o skomplikowanej historii Śląska, w tym o powielanym w PRL-u micie węgla jako „czarnego złota". Na wystawie znalazły się też obrazy artysty, a jeden z nich, pokazujący ręce trzymające bryły węgla niczym coś najcenniejszego, mógłby, obok „Madonny" Mirosława Bałki, stać się symbolem tegorocznych Manifesta.

Anda Rottenberg i Krzysztof Kościuczuk nie opowiadają jedynie o przeszłości i teraźniejszości Zagłębia Ruhry oraz podobnych regionów. Pytają o przyszłość samych kościołów. Podłogę Kościoła Christ König pokryły wykonane z tkanin ptaki i zwierzęta. Czeska artystka Eva Koťátková przekształciła wnętrze w tymczasowe dormitorium czy oddział ratunkowy. Niektóre postaci śpią, inne leżą na szpitalnych kocach. Każdy może się obok nich ułożyć, przytulić się, posłuchać ↦

PIOTR KOSIEWSKI

Abbas Zahedi, Ouranophobia 47051, Kulturkirche Liebfrauen, Duisburg

↦ głosu. Kościół stał się przestrzenią bezpieczną, schronieniem dla rannych, chorych, potrzebujących pomocy, a może po prostu odpoczynku.

SIŁA ROBOCZA | Artyści pytają też o religię. W Bochum przypomniano film „Szukając Jezusa" (2013) Katarzyny Kozyry, opowiadający o jej podróży do Ziemi Świętej w poszukiwaniu osób, które dotknął tzw. syndrom jerozolimski. Artystka spotkała ludzi, którzy często przekroczyli granice religijnej ortodoksji, a nawet głoszą herezje. Jednak nie jest to katalog religijnych dziwactw, lecz pytania o wiarę i sposób jej wyrażania.

Tegoroczne Manifesta to także opowieść o ludziach, którzy przez dekady przybywali do Zagłębia Ruhry w poszukiwaniu pracy. Byli wśród nich Polacy, ale przede wszystkim osoby sprowadzane tu od lat 50. do lat 70. ubiegłego stulecia w ramach polityki prowadzonej przez RFN: siła robocza, która budowała potęgę gospodarczą powojennych Niemiec.

Te właśnie osoby i ich potomkowie dziś w znacznej mierze określają charakter tego regionu. Choć byli, a nawet dziś są nadal niedostrzegani. Samo określenie ich mianem gastarbeiterów – gościnnych pracowników – podkreślało tymczasowy charakter ich obecności. I to właśnie im wystawy w kościołach Gelsenkirchen poświecił niemiecki kurator Gürsoy Doğtaş.

W BUDOWIE | Są wreszcie same kościoły. To, czym się teraz stały. Na obrzeżach Essen wznosi się St. Marien zbudowany w latach 1961-1963 według projektu Hansa Schillinga. Jego monumentalna, brutalna bryła, wykonana z czerwonej cegły, przypomina dawną architekturę przemysłową Zagłębia Ruhry. Surowość budynku przełamują jedynie ekspresjonistyczne witraże Manfreda Otta.

To jedna z najciekawszych realizacji tego czasu. Kościół jednak stoi opuszczony. Mury przeciekają. Na ścianach widać osady brudu. I to w tej przestrzeni zawieszono „Brzozowy krzyż" (2016) Kathariny Fritsch, jednej z najciekawszych współczesnych artystek niemieckich. Można też zobaczyć instalację wideo Anniki Kahrs „Le Chant des Maisons" (2022). Film został nagrany w zdesakralizowanym kościele w Lyonie. Opuszczonym, jak ten w Essen.

Kahrs pokazuje proces budowy we wnętrzu drewnianego domu. Odgłosy jego wznoszenia przeplatają się z muzyką wykonywaną w kościele, często z wykorzystaniem znalezionych w nim rzeczy, jak uszkodzone organy i zapisy nutowe. Do opuszczonego gmachu wraca życie i śpiew, który pełni tak ważną rolę w liturgii chrześcijańskiej. Tylko na chwilę, podobnie jak krzyż powieszony w St. Marien, wykonany zresztą nie z drewna, lecz z plastiku. Udający to, czym nie jest.

CISZA | Co możemy zrobić z tymi niewykorzystanymi budynkami? – pytają twórcy tegorocznych Manifesta. Szacuje się, że w ciągu kolejnej dekady zostanie zamknięta połowa z 40 tys. niemieckich kościołów. Jakie jest ich znaczenie i wartość? Jak można je zachować jako przestrzenie społeczne, a jednocześnie dostosować je do współczesnego życia? Kościół St. Marien w Essen nie został zdesakralizowany, ale nikt go nie używa. Odżył tylko na czas Biennale. Niektóre kościoły, jak wybudowany w latach 1947-1950 Gethsemane-Kirche w Bochum, chroni wpisanie na listę zabytków. Inne zmieniają swą funkcję. Monumentalny Liebfrauenkirche, wzniesiony w latach 1958-1971 według projektu Toniego Hermannsa w centrum Duisburga, to jedna z najważniejszych realizacji architektonicznych późnego modernizmu w tej części Niemiec. Już w 2011 r., po latach opuszczenia, został przekształcony w centrum sztuki.

W ramach Manifesta pokazana została tam wielka instalacja Brytyjczyka Abbasa Zahediego wykonana z dziesiątków piszczałek pochodzących z nieużywanych organów z całej Europy, w tym z Kościoła św. Mikołaja w Kijowie, zniszczonego w pożarze w 2021 r., co przejmująco przypomina, jak ważne to miejsce było kiedyś dla ludzi. Cisza piszczałek „symbolizuje zanik wspólnotowej wiary i wspólnych doświadczeń w naszym społeczeństwie" – podkreśla artysta.

Jeden ze współtwórców tegorocznych Manifesta, barceloński architekt Josep Bohigas, widzi w procesie sekularyzacji kościołów nie tylko zagrożenie, ale też szansę. Można bowiem, przekonuje, wdrożyć „model lokalnej rewitalizacji oparty na bliskości". Równomiernie rozmieszczone budynki kościelne powinny zostać zaadaptowane tak, by nadal pełniły funkcję centrum lokalnego życia. By mogły stać się miejscami wspólnymi oraz przeciwdziałać poczuciu dystansu fizycznego i społecznego, które często definiuje współczesne życie w mieście.

© PIOTR KOSIEWSKI

MANIFESTA 16 trwają do 4 października br.

Czas przygód

BISERKA ČEJOVIĆ

KSIĄŻKI | Henryk Sienkiewicz był zdania, że każdy pisarz powinien przynajmniej raz w życiu wydać coś dla dzieci. Z porady noblisty skorzystali Radek Rak, Wit Szostak i Michał Kuźmiński.

Kiedy autor „Trylogii" przygotowywał się do pisania książki, która miała nosić tytuł „Przygody dwojga dzieci w Środkowej Afryce", zakładał, że tworzy bestseller, ale z artystycznymi ambicjami. Do pracy przygotował się sumiennie, wykorzystując między innymi wspomnienia z krótkiej wyprawy do Afryki, w tym opis ataku malarii.

Choć uważał, że każdy pisarz powinien przynajmniej raz w życiu wydać coś dla dzieci, tworzył powieść, która miała być czytana masowo i wielopokoleniowo. Jego życzenie zostało zresztą natychmiast spełnione. Gazety publikujące kolejne rozdziały „W pustyni i w puszczy" znacznie zwiększały nakłady, a pierwsze wydanie książkowe okazało się idealnym prezentem bożonarodzeniowym sprzedanym na pniu w kilku tysiącach egzemplarzy (w późniejszych dodrukach przeszkadzały tylko problemy z dostawami papieru do drukarni).

Sienkiewicz uważał swoją pracę nad książką za „łatwą i miłą", ale korzystał już wtedy z kilkudziesięcioletniego doświadczenia autora poczytnych tytułów. W konstrukcji akcji powieści oraz sylwetek bohaterów wykorzystał wielokrotnie sprawdzane patenty, dorzucił nawiązania do traperskiej powieści przygodowej, szczyptę Dzikiego Zachodu, a także sporo doświadczeń z lektury Daniela Defoe i niezwykle popularnego na przełomie wieków Rudyarda Kiplinga.

Wyszedł produkt idealny: pasjonujący, rozchwytywany i natychmiast przetłumaczony na kilka języków obcych.

Dla siostrzeńców

Sienkiewiczowski talent do opowiadania historii wciągających, okraszonych humorem i nienachalnie edukacyjnych już nie znajduje uznania wśród dziecięcych i nastoletnich czytelników. Nie czyta się Sienkiewicza, tak jak nie czyta się Curwooda, Maya czy Szklarskiego.

I choć Sienkiewicz nadal funkcjonuje jako autor lektur szkolnych, niczego już w młodych czytelnikach nie rozpala, a częściej raczej gasi pragnienie czytania. I nie jest to winą ani Sienkiewicza, ani uczniów, ale po prostu zmian w sferze kultury, języka i obyczajowości. Oczywiście warto czytać „W pustyni i w puszczy", ale na pewno inaczej niż kiedyś: krytycznie, z dystansem, dyskutując o stereotypach, historii, kolonializmie, rasizmie, o realistycznej i baśniowej konwencji tej literatury...

Sienkiewicz nie był jedynym autorem, który eksperymentalnie (i w zasadzie jednorazowo) napisał coś z myślą o dzieciach. James Joyce umieścił baśń w liście do wnuka, Virginia Woolf sprezentowała swoją nowelkę siostrzeńcom, Aldous Huxley napisał opowiadanie dla siostrzenicy, a Salman Rushdie książkę dla dzieci zadedykował własnemu synowi.

Baśniowy „Marzyciel" Iana McEwana został wydany w Polsce jako książka dla dorosłych i chyba niewiele dzieci słyszało o jego istnieniu. Na mojej prywatnej liście książek, które klasyfikuję jako powieści młodzieżowe, znajdują się „Nie opuszczaj mnie" oraz „Klara i słońce" Kazuo Ishigury, ale autor raczej nie ma o tym pojęcia.

Choć warto wspomnieć, że „Klara..." rzeczywiście początkowo była pomyślana jako książka dla dzieci opowiadająca o chorej dziewczynce i jej lalce, ale autor wycofał się z tego pomysłu w obawie, że wywoła u dzieci traumę. Drogi panie Ishiguro, kto w czwartej i piątej klasie polskiej szkoły podstawowej czytał naturalistyczne nowele Sienkiewicza, Prusa i Konopnickiej, temu literackie traumy niestraszne!

Idąc noblowskim śladem, warto wspomnieć, że na półce z literaturą dziecięcą znajdziemy również nazwisko Olgi Tokarczuk, autorki – wraz z Joanną Concejo – picturebooka „Zgubiona dusza". Książka o gubieniu siebie samego w bezmyślnej bieganinie i pośpiechu, promująca ideę uważności i celebrowania życia, zdobyła wiele znaczących nagród.

Czy jednak rzeczywiście przeznaczona jest dla dzieci? Może raczej dla dorosłego, który przypomina sobie, że był kiedyś dzieckiem i ponownie próbuje go w sobie odnaleźć? A może dla rodziców, którzy zatrzymają się i poczytają z dzieckiem?

Mankell dla młodszych

Jak znaleźć sienkiewiczowski złoty środek między popularnością a ambicją, literaturą wybitną a taką, po którą dziecko rzeczywiście chce sięgnąć? Listy nagradzanych książek pełne są pozycji mądrych i pięknych, ale czy w istocie chętnie czytanych? Jednocześnie półki księgarń i bibliotek uginają się pod ciężarem książek źle napisanych, czasami wręcz szkodliwych, fatalnie wydanych, ale lubianych i szalenie popularnych.

Pisarzem, który pozostawił nam dziecięce książki artystycznie doskonałe, ale jednocześnie interesujące dla młodego czytelnika, był Henning Mankell, Tak, ten Mankell, którego znamy głównie z cyklu powieści kryminalnych o Kurcie Wallanderze. W Polsce ukazała się jego czterotomowa seria książek opowiadających o dorastającym na szwedzkiej prowincji Joelu Gustafsonie.

Lata 50. XX w., niewielka miejscowość, samotny ojciec – drwal i były marynarz – wychowujący nastoletniego syna. Pozornie niewiele się dzieje, ale ileż w tym świecie magii, mądrości, prawdziwego życia i specyficznego humoru. Joel, który jako jedenastolatek zaczyna więcej widzieć, więcej rozumieć i intensywniej przeżywać swoje dorastanie i samotność, dokonuje wielu osobistych odkryć. Inaczej patrzy na tatę, zaczyna szukać informacji o mamie, próbuje znaleźć przyjaciela i przeżyć najprawdziwsze przygody. Coraz trudniej jest mu przenosić się do świata fantazji i choć próbuje pozostać dzieckiem, świat dorosłych zaczyna go pochłaniać, co nie zawsze jest miłym doświadczeniem. ↦

↦ Mankell zachwyca nie tylko umiejętnością opisania przeżyć dorastającego nastolatka, ale również ciepłym, niekiedy absurdalnym humorem oraz mistrzowsko przedstawionymi postaciami drugiego planu (choćby Starego Murarza czy Gertrud Bez Nosa). I choć trudno pokazać zaszytą wśród lasów szwedzką prowincję w baśniowy i jednoznacznie pozytywny sposób, Mankellowi udaje się przekazać młodszemu czytelnikowi, że poczucie wolności i niezależności nie ma związku z miejscem, w którym przyszło nam mieszkać.

Książki o Joelu pisane były równolegle z cyklem powieści o Kurcie Walladerze i chyba warto wrócić do obu serii, by po latach przekonać się, jak dobrym pisarzem był Henning Mankell, i zauważyć, że oba cykle cechuje tak samo ambitne i poważne podejście do konstruowania powieści.

Szostak szuka

Coś z ducha szwedzkiego realizmu magicznego znajdziemy w znanej już i wielokrotnie recenzowanej oraz nagradzanej „Wylince" Wita Szostaka. Przypomnę, że i w tym przypadku mamy do czynienia z powieścią formacyjną, ale też przeznaczoną dla odbiorców w różnym wieku. Oczytany dziesięciolatek odnajdzie w niej echa „Zimy Muminków" czy „Alicji w Krainie Czarów" (książek niepoddających się zresztą łatwym klasyfikacjom), a ambitny dorosły skojarzy fabułę z „Czarodziejską górą" Tomasza Manna lub „Empuzjonem" Tokarczuk.

Ale to nie literackie zabawy detektywistyczne decydują o sile tej książki. Zawiera ona w sobie kilka mocnych i jasnych znaków rozpoznawczych literatury Szostaka: zatarcie granic między realizmem a fantastyką, zaburzenia czasu i przestrzeni, kameralność, dialog między teraźniejszością a przeszłością.

Niedopowiedzenia fabularne „Wylinki" skłaniają do zadawania pytań, szukania drugiego i trzeciego dna, do rozpoczynania lektury na nowo (czy pamiętacie, jak kiedyś po wielokroć czytaliśmy nasze ulubione książki?). Wielowarstwowość „Wylinki" sprawia, że jest to książka dostępna w gruncie rzeczy zarówno dla początkującego, jak i zaawansowanego czytelnika, nawet jeśli są w podobnym wieku.

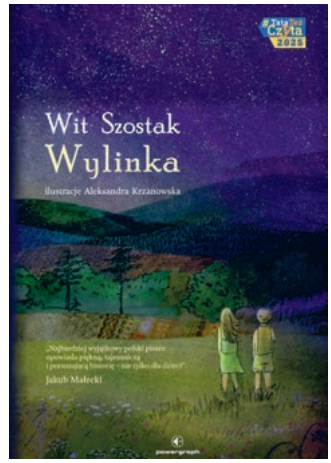

WYLINKA
Wit Szostak
Powergraph, 2026

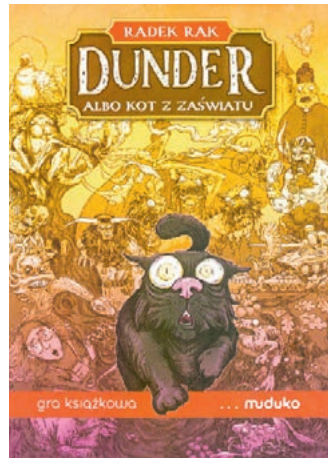

DUNDER ALBO KOT Z ZAŚWIATU. GRA KSIĄŻKOWA
Radek Rak
Muduko, 2024

MAJA I CZAS MOTYLI
Radek Rak
Powergraph, 2026

Pierwszy zobaczy frapującą fabułę i z przyjemnością da się porwać atmosferze pełnej zagadek i niejasności. Drugi w bonusie otrzyma pretekst do snucia rozważań filozoficznych i analizy własnych stanów emocjonalnych.

Rak o dorastaniu

Stojącą na tej samej półce „Maję i czas motyli" Radka Raka łączy z „Wylinką" nie tylko to samo wydawnictwo (Powergraph), ilustratorka (wspaniała Aleksandra Krzanowska) oraz zadedykowanie książek dzieciom i bliskim, ale również poważne i pełne szacunku podejście do czytelnika.

Jestem przekonana, że i na „Maję..." spadnie deszcz zasłużonych nagród, ale będzie to tylko skutek uboczny, bo nie godzi się nie nagradzać tak dobrej książki. Czy napisanej w duchu poprzednich utworów Radka Raka? Jeśli będziecie szukać w „Mai..." elementów powieści inicjacyjnej, na pewno je odnajdziecie. Rok z życia tytułowej bohaterki to czas dorastania, dostosowywania się do nowych okoliczności życiowych, uczenia się rozpoznawania własnych uczuć oraz emocji świata ludzi i zwierząt.

Jeśli przeczuwacie, że przyroda odgrywać będzie w powieści ważną rolę, to też się nie rozczarujecie. Dorastaniu Mai oraz jej wewnętrznej przemianie towarzyszy przyrodnicza gawęda poświęcona owadom, śluzowcom, grzybom, pszczołom, nietoperzom czy jeżom. Motywem przewodnim staje się metamorfoza, której podlegają zarówno niewielkie organizmy, jak i ludzie.

Istnieje szansa, że po lekturze „Mai i czasu motyli" wygracie olimpiadę przyrodniczą, bo na temat owadów hemimetabolicznych i holometabolicznych będziecie wiedzieć naprawdę dużo, ale przecież nikt nie zrobi wam sprawdzianu z życia i zwyczajów larw ziemiórki pleniówki. Mieszkająca na przemian z tatą i mamą Maja zauważy, jak fascynująca jest podwójność i niejednoznaczność przyrody. Jej osobisty koniec świata, od którego zaczyna się książka, będzie początkiem roku pełnego odkryć zupełnie nowych światów (choć czasem w skali mikro) i zachwytu przyrodą obecną zarówno na krańcach wielkich, jak i na balkonach apartamentowców.

Na marginesie warto wspomnieć, że „fantastyczna” natura Radka Raka znajduje odzwierciedlenie również w jego bardzo pratchettowskiej książkowej grze paragrafowej „Dunder albo kot z zaświatu”. Pratchettem inspirowana jest nie tylko zwariowana fabuła, którą można czytać na wiele sposobów, ale również bohaterowie nieomal zaczerpnięci ze Świata Dysku (na czele z kotem w stanie czystym).

Pratchettowska jest okładka „Dundera...” naśladująca dawne wydania znanego cyklu, a także widniejąca na okładce rekomendacja Piotra W. Cholewy, tłumacza tego uniwersum. Nie jest to może książka wprost przeznaczona dla dzieci, ale jeśli macie pod ręką jakąś sztukę z poczuciem humoru przywykłą do lekkiej makabry i lubiącą literackie zabawy, to będzie propozycja akurat dla niej.

Ćwiek i Ziębiński retro

Doświadczony pisarz, który postanawia napisać książkę dla dzieci, postawiony jest w trudnej sytuacji. Pamięta, że pisze dla młodego odbiorcy, ale jednocześnie musi o tym zapomnieć, żeby nie popaść w nadmierny infantylizm. Stara się traktować czytelnika poważnie, ale jednocześnie nie może przytłoczyć go wszystkimi problemami świata. Pragnie opowiadać fascynujące historie, ale przecież nie chce, aby książka zamieniła się w przygodową wydmuszkę. Chce pisać językiem zrozumiałym dla dziecka, ale co, gdy zna tylko język dzieci dorastających w czasach stanu wojennego? Marzy o eksperymentach literackich i językowych, ale obawia się, że zostanie zrozumiany wyłącznie przez własne dzieci. Chce ucząc bawić i bawiąc uczyć, a tworzy edukacyjne opowiadania żywcem zaczerpnięte z dziewiętnastowiecznej „Złotej różdżki”.

Chyba nie warto pozbywać się własnego stylu i zapominać o osobistych literackich fascynacjach. Bezpretensjonalne, pełne humoru opowiadania zawarte w „Wielkiej księdze Klary” Marcina Wichy zdobyły młodszych i starszych czytelników swoją autentycznością, uniwersalnością i pełną ciepła ironią bliską słynnemu „Mikołajkowi”.

Kuba Ćwiek w „Piwnicznych chłopakach” nie zapomniał o swoich popkulturowych zainteresowaniach i zaproponował młodszym czytelnikom przygodową zabawę w stylu filmów z lat 80., dorzucając paru nordyckich bogów (bo lubi), zombie oraz opuszczoną poniemiecką kopalnię. Robert Ziębiński pisze dla nastolatków „Czarny staw”, w którym nawiązuje do wszystkich chyba elementów popkultury znanych z filmów, kaset wideo, opowieści grozy i ludowych legend. A nawiązuje, bo się na tym dobrze zna i wie, że to się dobrze czyta.

PIWNICZNE CHŁOPAKI
Jakub Ćwiek
Pulpbooks, 2024

WIŁA
Robert Ziębiński
Mięta, 2025

ŁOWCY TAJEMNIC. ZŁODZIEJ CZASU
Michał Kuźmiński
Znak Emotikon, 2026

Kuźmiński na wakacje

Najnowsza książka Michała Kuźmińskiego, „Złodziej czasu”, rozpoczyna cykl detektywistyczny przeznaczony dla młodszych nastolatków. Współautor popularnych powieści kryminalnych (oraz redaktor „Tygodnika Powszechnego”) nie zaskakuje więc doborem gatunku literackiego, ale łagodzi jego charakter.

Spędzające wakacje w starym domu na Dolnym Śląsku rodzeństwo przypadkowo wpada na trop zagadki, której rozwiązanie kryje się w czasach drugiej wojny światowej. Co współczesne dzieci wiedzą na temat wojny? Niewiele. Jedenastoletnia Dorota i jej młodszy brat Daniel przy okazji wspólnego śledztwa nie tylko odnajdują skarb, ale przede wszystkim poznają skomplikowane, splatające się losy polskich i niemieckich rodzin.

Autor, sprytnie pozbawiając bohaterów zasięgu w telefonach komórkowych, tworzy w gruncie rzeczy powieść w stylu retro, bliską choćby „Tańczącemu słoniowi” Adama Bahdaja czy „Zębowi Napoleona” Aleksandra Minkowskiego. To sygnał dla dorosłych, że mogą przeczytać książkę razem z dziećmi.

Charakterystyczne postacie drugiego planu, bezradna policja, rodzice w kryzysie, przedmioty z ukrytymi wskazówkami – wracają po latach w odświeżonej wersji. Razem z Dorotą i Danielem odkrywamy elementy łamigłówki, przekonując się, że kolejny już raz dorośli kompletnie nie poradziliby sobie bez dzieci. A już na pewno nie odkryliby tajemnicy od lat skrywanej w starym domu.

Jestem ciekawa, gdzie bohaterowie spędzą kolejne wakacje. Dolny Śląsk może zapewnić inspirację wielu tomom opowieści o łowcach tajemnic i sprawić, że „Złodziej czasu” nie stanie się jednorazową przygodą Kuźmińskiego z dziecięcą literaturą detektywistyczną.

© BISERKA ČEJOVIĆ

Za kulisami

ANITA PIOTROWSKA

FILM | Klimat epoki, zmitologizowanej w dużej mierze przez ówczesne kino, powraca w paryskich przechadzkach, zadymionych wnętrzach i jazzujących trąbkach.

Jej pojawienie się na gruncie kina porównywano do przełomu impresjonistycznego w dziejach malarstwa. Bez niej trudno sobie wyobrazić Nowe Hollywood lat 70., z Altmanem, Scorsesem i Coppolą na czele, czy w ogóle kino z autorskim stemplem, dążące do uwolnienia myśli, narracji, modelu produkcji.

Także swego czasu polscy twórcy – Skolimowski, Wajda, Zanussi i wielu innych – czerpali garściami ze stylistyki francuskiej Nowej Fali. A była ona dzieckiem paryskiej filmoteki, klubów filmowych i filmowej prasy. Wyrosła nie tylko z pasji, zrazu „teoretycznej", czysto kinofilskiej, przekutej rychło na praktykę, ale również z potrzeby artystycznego ryzyka. Kiedy dzisiaj ogląda się film Richarda Linklatera, rekonstruujący w sowizdrzalskim tonie powstawanie najsłynniejszego tytułu z tego nurtu, ta rewolucja dzieje się na naszych oczach. Z udziałem wielu swoich ojców i matek.

Jean-Luc Godard nie miał jeszcze trzydziestki, gdy zaczął kręcić „Do utraty tchu", choć w 1960 r. czuł się stary jak na debiutanta. Jego kumple skupieni wokół miesięcznika „Cahiers du Cinéma", czyli François Truffaut, Claude Chabrol albo Éric Rohmer, swoje pierwsze filmy mieli za sobą. I nawet znając historię kina ogląda się ten fabularyzowany *making of* z poczuciem, że przecież to nie miało prawa się udać. Mało znany aktor Guillaume Marbeck wciela się w człowieka zdeterminowanego i z początku jakby zagubionego na planie filmowym, aczkolwiek Godard był już wtedy geniuszem i mózgowcem, który w przeciwieństwie do zdezorientowanych współpracowników doskonale wiedział, o czym będzie jego film.

Oglądamy więc, jak z chaosu wyłania się coś. Jak brak tradycyjnego scenariusza, „partyzanckie" zdjęcia, produkcyjne przestoje i potem jeszcze łamiący wszelkie reguły montaż przyczyniają się do filmowej rewolucji. Przed nami sunie korowód postaci, które odcisnęły swoje piętno na Godardzie, na jego filmie i całej Nowej Fali. Od patronujących jej klasyków w rodzaju Roberta Rosselliniego, Roberta Bressona i Jeana-Pierre'a Melville'a, przez wszystkich świętych z nurtu Nouvelle Vague, aż po ikoniczne twarze z jej orbity, na przykład Juliette Gréco. Trzeba przyznać, że ten skrupulatny wikipedyzm, będący hołdem złożonym nie jednemu Godardowi, ale całej grupie twórców, także mniej znanych, stanowi znaczne obciążenie dla opowiedzianej przez Linklatera historii.

Lecz amerykański reżyser nie ukrywa, iż mocno zadłużył się u nowofalowców, o czym świadczył choćby jego drugi tytuł w karierze, offowy „Slacker" z 1990 r. Dlatego też po latach nakręcił obraz bezwstydnie kinofilski. Ten film o powstawaniu filmu sypie anegdotami i słynnymi godardowskimi bon motami („najlepszą krytyką filmu jest nakręcenie własnego"), a czarno-białe zdjęcia Davida Chambille'a upodabniają się do kadrów z końca lat 50.

Linklater po kronikarsku odtwarza dwadzieścia dni z planu „Do utraty tchu", chociaż tytuł traktuje również niczym *nomen omen*, oddając wariacką atmosferę w trakcie zdjęć – co było wielkim testem cierpliwości dla producenta Georges'a de Beauregarda czy aktorów, Jeana-Paula Belmonda i Jean Seberg, niepewnych o dalsze losy swoich karier. Scenariusz „Nowej Fali", napisany przez Holly Gent Palmo i Vincenta Palmo Jr., regularnych współpracowników Linklatera, nie ukrywa też amerykańskiej fascynacji „francuskością", i Seberg, czyli Amerykanka w Paryżu, jest tutaj poniekąd ich medium, przybyłym z zupełnie innego świata.

Klimat epoki, zmitologizowanej w dużej mierze przez ówczesne kino, powraca w paryskich przechadzkach, zadymionych wnętrzach, w jazzujących trąbkach, turkocie kamery i oczywiście w modzie. Trudno oprzeć się wymiętej elegancji Godarda, gangsterskiemu szykowi jego bohatera czy fryzurze „na chłopczycę" noszonej przez główną aktorkę. Jednakże Linklater nie ogranicza się do powierzchownej stylizacji, bo i sam sposób prowadzenia narracji naśladuje godardowską dezynwolturę.

Widać, że Amerykanin ma do tamtych ludzi i do tamtej epoki stosunek wręcz miłosny. I mocno swoim francuskim „ojcom" zazdrości – niezależności, inwencji,

MATERIAŁY PRASOWE

NOWA FALA
(„Nouvelle Vague”) – reż. Richard Linklater. Prod. Francja/USA 2025. Dystryb. Stowarzyszenie Nowe Horyzonty. W kinach od 21 sierpnia.

Richard Linklater zaczynał od filmów o zbuntowanym dorastaniu, zanim jego „Przed wschodem słońca” (1995) otworzyło jedną z najsłynniejszych w kinie trylogii. Jeszcze większym artystycznym sukcesem był w 2015 r. „Boyhood”, realizowany przez kilkanaście lat i nominowany do sześciu Oscarów. Po raz kolejny zagrał w nim Ethan Hawke, z którym amerykański reżyser ostatnio nakręcił „Blue Moon”.

Na zdjęciu: Aubry Dullin w filmie „Nowa Fala”

bezinteresownego podejścia do kina, bezgranicznej wiary w to, co robią. Sam nie szuka jednak rewolucyjnych rozwiązań, po prostu je reprodukuje sześćdziesiąt pięć lat później, z wyraźnie nostalgicznym wdziękiem.

Trudno zresztą byłoby podążać tropami Godarda, którego dzieła, zwłaszcza pod koniec życia zakończonego w 2022 r. wspomaganym samobójstwem, stawały się coraz bardziej erudycyjno-eseistyczne i dla wielu hermetyczne. Podczas gdy ścieżki jego kolegów i koleżanek spod znaku Nouvelle Vague rozeszły się w rozmaitych kierunkach, niekoniecznie nowofalowych, on do końca pozostał lewicowym intelektualistą kina oraz niestrudzonym eksperymentatorem. I nadal znajduje na całym świecie wiernych naśladowców, by wymienić tylko Radu Jude. Twórca „Przed wschodem słońca” nie zalicza się do tego grona, lecz jego obfita i bardzo nierówna filmografia to także jakaś opowieść o dążeniu do bezkompromisowości i niezależności, niemożliwych bez wsparcia ze strony odważnych producentów i sprzyjającego systemu.

Miały to szczęście filmy Nowej Fali, w tym „Do utraty tchu”, które niedawno weszło w Polsce na ekrany kin, można więc sprawdzić, co pozostało z filmowej rewolucji. I czy tamta radość tworzenia przekłada się na dzisiejszą frajdę z oglądania. Ów przekręcony czarny kryminał w pikantno-romantycznej posypce, wpisany po reportersku w rytm paryskiej ulicy, z narwanym bohaterem i równie rwanym rytmem opowiadania, stał się dla reżysera z Teksasu reliktem kina wolnego od komercjalizacji i konwencjonalizacji.

Zajrzenie za kulisy tej produkcji będzie przede wszystkim przygodą dla tych, którym cokolwiek mówią pojawiające się w filmie nazwiska, twarze czy tytuły. Jednak i bez znajomości kontekstów jest „Nowa Fala” urokliwym portretem cokolwiek pretensjonalnego acz genialnego nerda w ciemnych okularach i jego środowiska. Ich kreatywności i odwadze wiele zawdzięcza już kilka pokoleń reżyserów, a choć dawne pomysły na reformowanie języka filmowego miały prawo się zestarzeć, wciąż jednak tęskni się za duchem tamtych twórczych poszukiwań. Nawet jeśli, tak jak u Linklatera, są już bardziej anegdotą czy legendą. ©

Lektor:
Powrót opowieści

▪ *Jaroslav Rudiš, Petra Dvořáková, Petra Klabouchová, Marie Hajdová, Leoš Kyša, Jakuba Katalpa, Michal Vrba, Michaela Klevisová, David Jan Žák, Kateřina Tučková:* **SUDETY. RAJ UTRACONY. OPOWIEŚCI Z CZESKO-NIEMIECKIEGO POGRANICZA**, *Wrocław 2026*

Po II wojnie Polska przesunięta została na mapie na zachód. Inaczej z Czechosłowacją, wyjąwszy wcieloną do ZSRR Ruś Podkarpacką (czy też Zakarpacką). Granice Czech i Moraw wyglądają tak, jak przed konferencją w Monachium.

Granice się nie zmieniły, ludność tak. Na mocy dekretów podpisanych przez przebywającego na uchodźstwie prezydenta Edvarda Beneša po wojnie pozbawiono majątku i wysiedlono do Niemiec i Austrii około 3 milionów Niemców z terenów przygranicznych, zwanych nieprecyzyjnie Krajem Sudeckim.

Wysiedlenia przyniosły wiele ofiar – np. podczas brneńskiego „marszu śmierci” do granicy z Austrią czy pogromu w Uściu nad Łabą – i badają je dzisiaj historycy. „Nie ma co udawać – piszą autorzy przedmowy – głównym celem czeskiego »rozrachunku« z Niemcami po maju 1945 roku było po prostu wypędzenie. Dokonano go, i to w sposób metodyczny, a wręcz nieludzki. Miało to swoje potworne przyczyny oraz długofalowe skutki”. Jednym z nich jest zaprzestanie snucia opowieści o pograniczu, „zupełnie jakby historia państwa czeskiego rozgrywała się tylko w otoczonej górami dolinie”.

Stąd pomysł, by tę opowieść przywrócić: ludziom i literaturze. Bo to nie jest zbiór szkiców historycznych. Dziesięcioro pisarzy, urodzonych wiele lat po wojnie, zmierzyło się na różne sposoby z tym zadaniem. W opowiadaniu Rudiša „Zákupy – Sarajewo” mamy wspomnienie nieco haszkowskiej, niespiesznej rozmowy dwóch kolejarzy o śmierci następcy tronu i dopiero na końcu dowiadujemy się, że jeden z rozmówców to Niemiec, którego syn zginie w przyszłości pod Stalingradem, on zaś zostanie wysiedlony, choć jako socjaldemokrata wyjeżdżać nie musiał.

W „Mandlu” Jakuby Katalpy porządek w miasteczku, gdzie wszyscy żyją zgodnie, burzy osiedlenie się... Włocha (nie wiedział, biedak, że za sąsiada mieć będzie weterana włoskiego frontu). Spośród znanych u nas pisarzy wymienić trzeba Kateřinę Tučkovą, która w debiutanckim i tłumaczonym na polski „Wypędzeniu Gerty Schnirch” odważnie podjęła temat wspomnianego „marszu śmierci”.

Sporo dobrej prozy, a w dodatku książka pięknie wydana i zilustrowana (brawa dla Jaromira 99, czyli Jaromira Švejdíka, plastyka i muzyka!). ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Co jedzą władcy Ameryki

Pięćdziesiąt tysięcy dolarów, żeby zostać alfą. O samcu ani słowa, ale kto ma wiedzieć, ten wie. Dziś nawet w reklamie skierowanej ewidentnie do samych mężczyzn, takich zapiętych pod szyję w przepocony kaftan faceta z *cojones* (ulubiony eufemizm w bańce prawoskrętnych publicystów, którym się wydaje, że jak założą hiszpańskie gacie na swoją wulgarność, to nie będzie wystawać), nie wypada głośno wypowiadać słów obciążonych patriarchatem. Gloryfikacja samczości w wersji goryla to jednak obciach nawet wśród ludzi dalekich od ekscesów zaplątanej we własne obsesje sekciarskiej lewicy w Ameryce.

Nawiasem mówiąc, wolno nam już ją nazywać *woke* bez obaw, że to jakaś niesprawiedliwa obelga – skoro tego słowa używa wielka nadzieja Demokratów na jakąś przyszłą prezydenturę Alexandria Ocasio-Cortez. Ostatnio pani deputowana przyznaje w wywiadach, z nieco zażenowanym śmiechem, „no trochę z tym *woke* przesadziliśmy". Komentuje w ten sposób porażki w prawyborach np. kandydatki, która serio domagała się prawnego zakazu święta dziękczynienia i innych tego typu kroków w przepaść. Śmielej, towarzysze, śmielej.

Ale zostawmy chwilowo tę wesołą czeredkę oraz jej gen samozagłady roznoszony przez wnuczęta Aurory z wegańską grzywką. W szanującym się kąciku kuchennym musimy się raczej skupiać na tym, co krzepkie i pożywne – a tego znajdziemy w bród po drugiej stronie spektrum politycznego. W kręgach dworu pomarańczowego władcy, który co prawda już dziadzieje i ma z daleka widoczne problemy z cielesnym schyłkiem (dożyć osiemdziesiątki na Big Makach i coli – szanuję!), ale od swoich popychadeł wymaga, żeby tryskały młodością. I tu właśnie wkracza na scenę doktor Sean O'Mara, obiecujący, że zamieni cię w „lidera, którego czas się nie ima".

Starczy za te wspomniane pięćdziesiąt tysięcy wykupić „protokół lidera Alfa" i zacząć korzystać z jego wskazówek „strategicznej rekalibracji". Co dokładnie kalibruje, to wiedza tajemna, szczegółów więc nie potrafię zdradzić, ale dla ludzi nienarzekających na nadmiar drobnych wścibska prasa ustaliła z grubsza w zarysach, iż kluczowi politycy z obecnej administracji, z wiceprezydentem na czele, stosują dietę złożoną z wołowiny lub mięsa innych przeżuwaczy jedzących trawę, a obok tego kiszonek i innych produktów fermentacji (w tym także sery, jogurty, o winie nic nie piszą).

Nie jest to samo w sobie szkodliwe (poza skutkami hodowli bydła dla planety, panowie, zdaje się, już mają gotową ucieczkę na Marsa), ale można przy tym skisnąć z nudów, nawet jeśli wołowina jest z najlepszych mięsnych ras.

WIN MCNAMEE / GETTY IMAGES

Stąd te kiszonki na talerzu, w dużej ilości i wariantach – na szczęście proces fermentacji mlekowej, bo to ona spośród wielu w przyrodzie jest najważniejsza w kuchni, może dotyczyć prawie każdego płodu rolnego, choć z lepszym lub gorszym skutkiem. Boska i nieodwołalnie najwyższa para na kwaśnym Olimpie jest jedna na wieki wieków: kapusta i ogórek. Ale burak, marchew, rzodkiew czy kalafior też dają radę.

Wychyleni w stronę Azji Amerykanie kiszoną kapustę znają głównie w wersji koreańskiego kimchi, ta europejska (zwana oczywiście z niemiecka *Sauerkraut*) im śmierdzi, o czym skwapliwie informują wszystkie artykuły. Skądinąd pochwalne w tonie, bo nawet jeśli ponoć nie ma „naukowych dowodów" na dobroczynne działanie kiszonek dla ludzkiego ciała, to jest to oczywistość, jakiej my na szczęście w zacofanych rejonach świata nie musimy wyczytywać z gazet. Serce rośnie na widok kłębów kopru i powiązanych w nasze słowiańskie *fasci* chrzanowych patyków. Z braku innych, już zużytych wspólnotowych rytuałów, pozostało nam powszechne, ponadpartyjne kiszenie. Idą chłody i znów jakąś cząstkę naszej polskiej duszy zdeponujemy w słoju na lepsze, mniej nienawistne czasy.

Trudno mi sobie wyobrazić, w imię jakich chorych idei i ambicji tamten wielki naród, złożony z ludów o potężnych tradycjach dobrego jedzenia, mógł wysterylizować swoje obyczaje do tego stopnia, że teraz wpuszczanie z powrotem paru bakterii i pleśni do kuchni staje się aktem awangardowym. Oraz polityczną deklaracją, kiszonki i fermentację zachwala minister zdrowia Robert Kennedy Jr., również adept diety O'Mary oraz

Sekretarz ds. zdrowia i opieki społecznej Robert F. Kennedy Jr. podczas wydarzenia promującego poprawę zaopatrzenia kraju w żywność i realizację programu „Przywróćmy Ameryce zdrowie". Waszyngton, 10 sierpnia 2026 r.

autor kampanii na rzecz „ozdrowienia" Ameryki, która miesza wiele foliarskich dyrdymałów z bezsprzecznie słusznymi pomysłami. Ostatnio zainaugurował kanał o nazwie „Prawdziwe jedzenie", gdzie zaczął wrzucać filmiki z przepisami, które mają pokazać obywatelom, że można gotować tanio i szybko rzeczy nieprzetworzone (bo to na tym polega owa „prawdziwość" i ja się z tym określeniem zgadzam).

Na pierwszy ogień poszedł omlet francuski ze szczypiorkiem, a do tego sałata polana domowym winegretem. Omlet rzecz prosta, da się opowiedzieć w dwie minuty, pozostały kwadrans spędzamy na słuchaniu, jak to ważne, że teraz na nowo kochamy jajka i władza do nich zachęca. Oraz masło – najlepiej to z Francji, bo zawiera „aż" 84 proc. tłuszczu. To co oni do swojego dodają? Wolę nie wiedzieć. A winegret? Hoho, patrzcie, nie trzeba kupować dressingu, który ma dwuletnią datę ważności, starczy pomieszać w misce oliwę (minister nienawidzi olejów z nasion), musztardę, ocet (fermentacja!), może trochę miodu... Nie przyłączam się do kpin, które ta ministerialna szkółka gotowania wzbudza. Jest to na podstawowym poziomie dobre. Ten wielki naród ma prawo jeść po ludzku. A dieta O'Mary? Miejmy jednak nadzieję, że jest kolejną wellnesową lipą i cała ta ekipa nie osiągnie wiecznej młodości.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Frittata z makaronem

W diecie pana O'Mary oraz w nowych wytycznych żywieniowych amerykańskiej administracji prawie nie występują węglowodany – sam minister przecież szczyci się tym, że na śniadanie prawdziwy Amerykanin przestaje jeść płatki i zamienia je na jaja z bekonem. Tymczasem ja będąc wielkim fanem jajek w każdej postaci, a zwłaszcza tego, co z racji swego pochodzenia nazywam frittatą (ale przecież wiadomo, że to rodzaj omleta), lubię je mieszać z węglowodanami. Np. w tym bardzo starym i popularnym przepisie z Neapolu, w którym chodziło o wykorzystanie nadmiarowego makaronu, który pozostał z obiadu. Ale nikt wam nie broni ugotować spaghetti od zera.

SKŁADNIKI:

350 g spaghetti 5 łyżek sosu pomidorowego 5 jajek
150 ml mleka 100 g sera wędzonego typu scamorza
100 g boczku (opcjonalnie) 1 łyżka skrobi kukurydzianej
▪ garść parmezanu

W dużej misce mieszamy jajka z mlekiem, solimy, dodajemy pokrojony w kosteczkę ser typu scamorza (ale polski wędzony, typu gryficki, da radę) i ewentualnie boczek oraz dla większej puszystości skrobię. Jeśli nie został makaron z obiadu, to gotujemy go al dente, mieszamy w osobnej misce z odrobiną sosu pomidorowego, studzimy, aż będzie ledwo letni, mieszamy z masą jajeczną, dosypujemy tarty ser. Dajemy na dużą patelnię, na której uprzednio ogrzaliśmy czosnek z odrobiną oliwy – tak żeby omlet miał ok. 2 cm grubości. Smażymy najpierw krótko na dość dużym ogniu, żeby się szybko ściął od spodu, potem zmniejszamy ogień do minimum, przykrywamy, smażymy ok. 10 minut albo tyle, żeby wierzch zrobił się suchy, ostrożnie przewracamy za pomocą talerza i dosmażamy z drugiej strony jeszcze kilka minut. ©℗

ADOBE STOCK

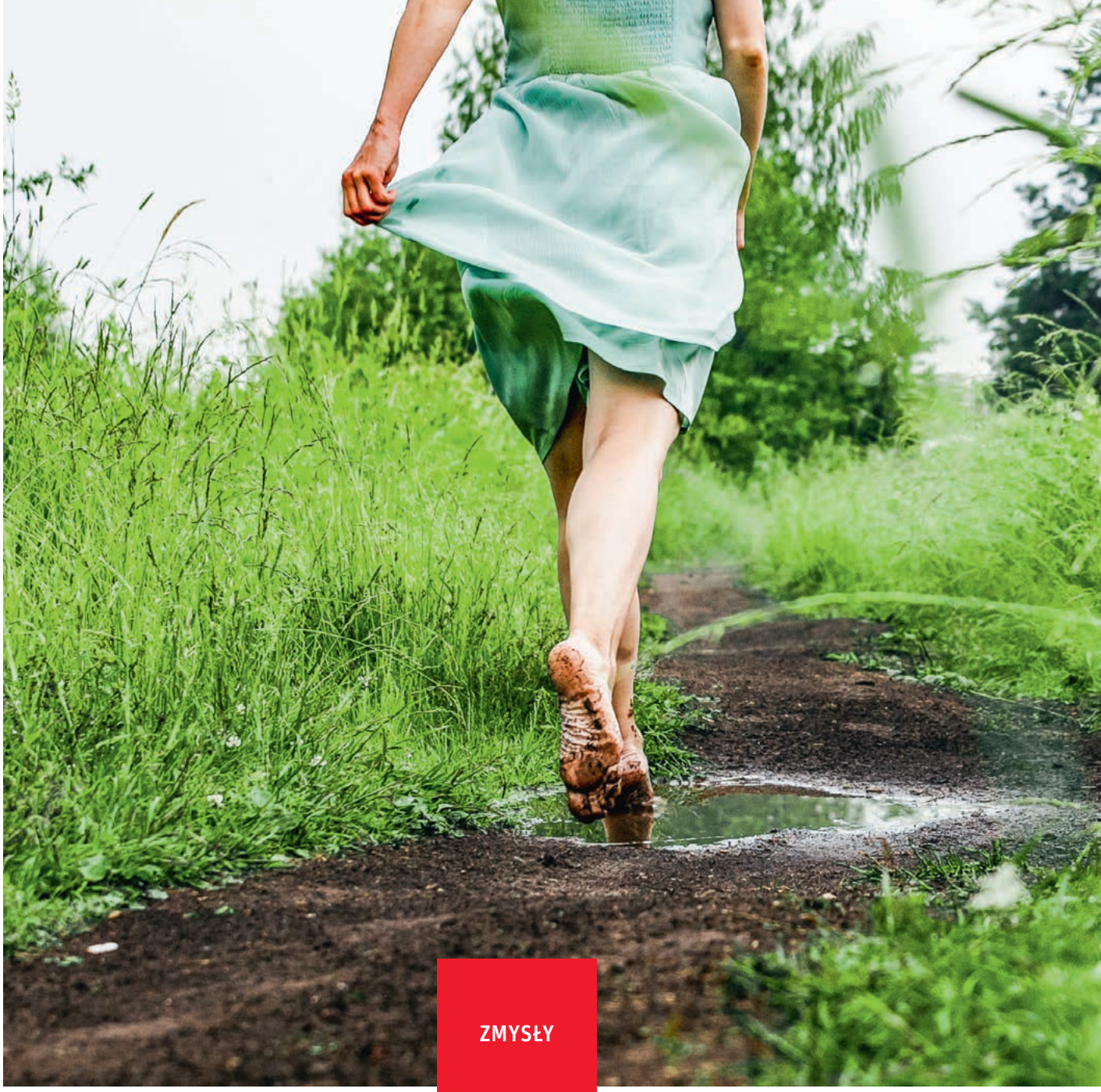

ZMYSŁY

ZANIM ROZEŚMIAŁA SIĘ GWIAZDA

Idąc przez łąkę, w istocie przemierzamy niewidzialne światy. Przestrzeń wokół nas buzuje od treści, ale nie wszystkie komunikaty są przeznaczone dla ludzi.

JULIA FIEDORCZUK

LESYA.PARFENOVA / SHUTTERSTOCK

Każdy podmiot rozpina swoje związki niczym pajęcze nici na określonych właściwościach rzeczy i splata je w mocną sieć, która dźwiga jego bycie-tu" – pisał w 1934 r. Estończyk Jakob von Uexküll, biolog i badacz percepcji u zwierząt. Wprowadzone przez niego pojęcie *Umwelt* leży u podstaw biosemiotyki, interdyscyplinarnej dziedziny wiedzy łączącej biologię z nauką o znakach.

Zdolności poznawcze, które według teorii Umweltu są swoiste dla istoty żywej, i które konstytuują jej relację z otoczeniem, przekładają się na związki, jakie organizm rozpina „niczym pajęcze nici" na elementach środowiska. Każdy Umwelt jest kompletny, każde zwierzę – wpasowane w swój świat. Zwierzęce światy mogą być częściowo lub zupełnie niedostępne dla ludzkich zmysłów, Uexküll zachęca jednak, byśmy uruchomili wyobraźnię.

W mydlanej bańce

Na przykład kiedy wędrujemy przez kwitnącą łąkę, warto uświadomić sobie, że każde z mijanych stworzeń żyje wewnątrz „bańki mydlanej" wypełnionej znaczeniami, które akurat dla niego są istotne. Świat chrabąszczy różni się od rzeczywistości motyli, jeszcze inne są Umwelty ptaków, myszy, kretów czy kleszczy (opisywanych przez Uexkülla ze szczerym podziwem).

Idąc przez łąkę, w istocie przemierzamy liczne niewidzialne światy, wędrujemy pośród „mocnych sieci", na których opiera się bycie-tu innych istot. Różne aspekty naszego fizycznego istnienia przenikają do poszczególnych Umweltów. Ktoś postrzega zapach ludzkiej skóry, ktoś słyszy odgłos kroków lub szelest odzieży, ktoś wyczuwa wibracje wytwarzane przez ruch, temperaturę ciała, emocje, impulsy elektryczne, a może nawet takie właściwości nas samych, o których nic zupełnie nie wiemy.

Przestrzeń wokół nas buzuje od treści, ale nie wszystkie komunikaty są przeznaczone dla ludzi. Nie musimy ich rozumieć ani nawet rejestrować, sam już fakt uznania semiotycznej złożoności życia zmieni nasz odbiór świata. Według Uexkülla zmianę tego rodzaju utrudnia „mechanicystyczna teoria istot żywych". Przekonania wynikające z tej teorii bronią dostępu do „bramy", przez którą trzeba przejść, by świat ożył.

Innymi słowy, tym, co utrudnia dostęp do nowego, nieskończenie bogatego obszaru badań, jest cień rzucany przez wiedzę wytworzoną w ramach ograniczonego, ale wciąż dominującego paradygmatu.

Pomiędzy nami a światem

Poezja zawsze wiedziała o istnieniu tego bogactwa. Obraz świata jako sieci zbudowanej przez postrzegające i działające podmioty pojawia się na przykład u Walta Whitmana. W jednym z wierszy poeta obserwuje „bezgłośnego cierpliwego pająka", który bada pustkę, zarzucając nici wysnuwane z samego siebie – z własnego organicznego istnienia.

Nici zaczepiają się o elementy otoczenia i powstaje konstrukcja dostosowana do unikalnych warunków środowiska, zarazem jednak wyrażająca konkretny pajęczy styl. W analogiczny sposób ludzka dusza szuka sposobów, żeby budować pomosty pomiędzy sobą a światem. Jej aktywność daje się wobec tego porównać do tkania sieci:

Oddzielna, otoczona bezmiernymi morzami przestrzeni,
Bez ustanku dumasz, próbując wysłać wieść,
połączyć dwie sfery,
Aż utworzy się most, którego ci potrzeba, aż wytrzyma
giętka kotwica,
Aż nitka pajęczyny, którą rzucasz, zaczepi się gdzieś,
moja duszo.

Podstawowym zmysłem większości pająków jest dotyk, w tym zdolność do wyczuwania wibracji, ich Umwelt jest więc głównie czuciowy. Ciekawe, że Whitman przez taki, a nie inny dobór metafory zwraca uwagę na haptyczny aspekt tego, co określa mianem „duszy". Nie da się duszy oddzielić od ciała, bo właśnie poprzez ciało komunikujemy się z otoczeniem, a nie ma innego „ja" niż to, które powstaje w sieci relacji. ↦

↦ Duchowość Whitmana jest na wskroś cielesna, a nawet erotyczna: zmysł dotyku często wybija się na pierwszy plan jako przeciwwaga dla bardziej abstrakcyjnych ścieżek poznania, tradycyjnie ujmowanych przez zmysł wzroku.

We własnej skórze

Główny nurt europejskiej filozofii traktuje wzrok jako podstawowy zmysł prawdy. „Wiedzieć" znaczy „widzieć". „Światło" rozumu przeciwstawia się „mrokom" ignorancji, stan mądrości lub szczególnego wglądu to „oświecenie". Wiele trudnych kwestii da się „wyjaśnić"; po przebadaniu jakiejś sprawy można sformułować wnioski albo „spostrzeżenia".

Klasyczna europejska epistemologia opiera się na dychotomii światła i ciemności, greckie θεωρία (*theoría*) oznaczało pierwotnie tyle, co „ogląd". „Oglądamy", rzecz jasna, oczami, a więc inaczej niż pająki, choć raz na jakiś czas zdarza nam się także „dotknąć" sedna sprawy lub choćby tylko „prześlizgnąć się" po powierzchni jakiegoś zagadnienia.

Choć powyższa skłonność wynika po części z biologii – ludzie, podobnie jak inne ssaki naczelne, zasadniczo są wzrokowcami – to nie wszystkie kultury są równie wzrokocentryczne i nie wszystkie style poznawcze przedkładają światło nad mrok.

Wszechobecność metafor bazujących na dychotomii światła i ciemności wynika z zachodniego uprzywilejowania praktyk kognitywnych bazujących na samoświadomości i piśmie (przykładowo, sanskryckie słowo *bodhi*, tłumaczone na Zachodzie jako „oświecenie", oznacza raczej „przebudzenie" lub „urzeczywistnienie"; tłumaczenie odwołujące się do zmysłu wzroku pojawiło się w XIX w. w nawiązaniu do europejskiej epoki rozumu). Ale inne praktyki istnieją.

Od momentu urodzenia ludzie są przede wszystkim skórą i najpierw to zmysł dotyku pozwala dziecku orientować się w świecie. Skóra powstaje z tej samej części zarodka co mózg (ściśle: z ektodermalnego listka zarodkowego). W sensie fizycznym skóra oddziela nas od świata, ale w sensie psychologicznym odwrotnie: skleja nas z otoczeniem za pośrednictwem receptorów, które odbierają i interpretują sygnały pochodzące z zewnątrz – od innych.

Semiotyczne właściwości skóry otwierają przed nami świat. Pod tym względem ten największy organ ludzkiego ciała odzwierciedla podstawową właściwość każdego życia. Na skierowanej ku światu powierzchni każdej żywej komórki bez ustanku odbywa się proces semiozy, czyli „tłumaczenia" zewnętrznych impulsów na wewnętrzne sensy. Jest to możliwe dlatego, że to, co wewnętrzne, jest wychylone na zewnątrz.

Ludzki organizm składa się z wielu warstw półprzepuszczalnych błon komórkowych, których powierzchnia, jak szacuje Jesper Hoffmeyer, wynosi w sumie około trzydziestu kilometrów kwadratowych. Skóra, czyli warstwa najbardziej zewnętrzna, otacza wszystkie pozostałe błony i ich wnętrza, jest więc „metabłoną", pomostem semiotycznym między ja i ty.

W meksykańskim Guerrero

Da się pomyśleć wiedzę jako rodzaj czucia. Takie przesunięcie – z patrzenia na czucie – eksponuje cielesność procesów poznawczych. Maurice Merleau-Ponty, którego fenomenologiczne podejście jest zbieżne z propozycjami biosemiotyki, w centrum tych procesów umieszcza „doznawanie". Doznawanie to „żywotna komunikacja ze światem, która uobecnia go nam jako swojskie środowisko naszego życia".

I przedmiot poznania, i poznający podmiot mają dzięki temu „konsystencję", choć francuskie *épaisseur* tłumaczę na własny użytek jako „gęstość". Rozumiem ją jako niemożność zredukowania konkretnego istnienia do jego reprezentacji czy idei. To coś więcej niż materialność, to wynikające z relacji nasycenie byciem – to tkanka bytu i nasza „współcieleśność", warunek intymności.

Jednym z najważniejszych słów w języku mè'phàà, którego wariantami posługuje się dziś około stu pięćdziesięciu tysięcy ludzi (przede wszystkim w meksykańskim stanie Guerrero), jest skóra (*xtá*). Guerrero należy do najniebezpieczniejszych obszarów Meksyku, rdzenni mieszkańcy tych górskich terenów są systematycznie nękani przez kartele narkotykowe, pazerne i bezwzględne korporacje (niszczące środowisko, żeby wydobywać srebro i złoto) oraz, w perspektywie historycznej, przez kolonialną politykę kolejnych meksykańskich rządów.

Pomimo skrajnie trudnych warunków kultura mè'phàà żyje, choć niektóre warianty tego tonalnego, gramatycznie bardzo złożonego języka są w tej chwili krytycznie zagrożone (tak dzieje się wtedy, kiedy w danym języku czy dialekcie mówią już tylko starsi dorośli i nie jest on w sposób naturalny przekazywany kolejnym pokoleniom). Wszystko, co wiem o kulturze mè'phàà, zawdzięczam poecie i aktywiście Hubertowi Matiúwàa oraz jego tłumaczce, również poetce, Juanie Adcock.

Matiúwàa pisze w swoim rdzennym języku właśnie po to, żeby walczyć o przetrwanie związanej z nim kultury, jej stylów poznawczych, systemu wartości, wiedzy i poetyki. Sam tłumaczy swoje wiersze na hiszpański, żeby były dostępne dla szerszego grona odbiorców. Juana Adcock tłumaczy z mè'phàà na angielski, posiłkując się hiszpańskimi przekładami samego autora i jego wskazówkami.

Próbując przekładać fragmenty wierszy Matiúwàa na polski, polegałam na ich wersjach hiszpańskich i angielskich oraz na wsparciu obojga autorów. Moje przekłady nie udają gotowych polskich tekstów, godzę się na ich prowizoryczność i chropowatość, ponieważ teksty źródłowe pozostają dla mnie w znacznym stopniu nieprzejrzyste. Studiowanie tej twórczości jest dla mnie ćwiczeniem wychodzenia poza styl poznawczy, w którym poruszam się najsprawniej – dlatego celowo unikam wrażenia, że cokolwiek udało mi się opanować.

Język mè'phàà, jak wyjaśnia poeta, odzwierciedla głębokie przeświadczenie tej kultury, że wszystko, co istnieje, jest rodzajem skóry – także ludzie przynależą do skóry Ziemi. Skóra jest zmiennokształtna, w zależności od tego, co lub kogo chroni. Cząstka *xtá* wchodzi w skład przymiotników opisujących charakterystyczne cechy danej osoby czy zjawiska, zbitka *xtángoo* oznacza „skórę słów", czyli zbiór norm etycznych regulujących życie społeczności, w tym jej relacji z innymi istotami i ze światem/Ziemią (*numbaa*).

Poezja Huberta Matiúwàa często eksploruje ten motyw, co przekłada się, w moim odbiorze, na jej silną zmysłowość. W cyklu zatytułowanym „Mbo Xtá ridà / Gente piel", czyli „Ludzie skóry", autor wspomina przodków, którzy nadali światu jego aktualny kształt:

Wyszli ze snu
założyli na siebie skórę
tego świata
namalowali noc
językiem wiatru.
Zanim pierwszy raz roześmiała się gwiazda
pełzali z wężami.
Wyznaczyli przebiegi rzek
i pokryli góry łuskami.

W trudnych warunkach

Niezależnie od przynależności gatunkowej wszystkie żywe istoty mają skórę, czyli należą do jednego świata/Ziemi. Pamięć jest w tym ujęciu rodzajem blizny, raną, która się zagoiła, ale pozostawiła materialny ślad. Historia jest utkana z takich śladów.

Spróbujmy to sobie wyobrazić: świat jest żywy i przesycony znaczeniami, a każde pojedyncze istnienie to coś w rodzaju organu/receptora na jego skórze. Ta żywa tkanka ewoluuje – to z nas powstaje świat dla kolejnych istot. Intymne doświadczenie współcielesności musi przekładać się na inną postawę wobec Ziemi niż ta, którą dyktuje myślenie techniczne – skuteczne, ale odrywające podmiot od przedmiotu. Jeśli należymy do skóry Ziemi, to eksploatacja jej zasobów będzie w końcu eksploatacją nas samych. W jednym z wierszy Matiúwàa porównuje ekstrakcję metali do ekshumacji ciał przodków:

ludzie przybywają z daleka
wydobywać ciała naszych dziadków.
To nie metafora.

Pisząc „my", zachowuję świadomość problematyczności tego zaimka w kontekście drastycznych nierówności współczesnego świata – sytuacja „ludzi skóry" jest tych nierówności dobitnym przykładem. Ale w skrajnie trudnych warunkach, w jakich znalazły się dziś liczne formy życia, czucia i myślenia, warto upomnieć się o takie „my", jakim posługuje się język mè'phàà: „my", w którym zawiera się także „wy".

Czy kiedy księżniczka Enheduanna zapisywała swoje hymny do Inany pismem klinowym, myślała o tym, że mogłyby być czytane także opuszkami palców, i czy miało to dla niej jakieś znaczenie? Pismo klinowe, ze względu na swoją trójwymiarową naturę, wydaje się szczególnie haptyczne, ale przecież czytanie papierowych książek także angażowało zmysł dotyku, poprzez różne rodzaje papieru, obecność tłoczeń czy możliwość tworzenia zapisków na marginesach stron.

Również niektóre praktyki duchowe skupiały się na materialnym aspekcie istnienia tekstu – wystarczy wspomnieć zwyczaj ręcznego przepisywania Tory czy sutr buddyjskich (zdarzały się akty jeszcze bardziej radykalne, jak zjedzenie Tory przez proroka Ezechiela czy połknięcie świętego tekstu przez XVIII-wiecznego tybetańskiego jogina).

Pomiędzy słowami

Warto przypomnieć, że czytanie jest zdecydowanie haptycznym doświadczeniem dla osób słabo- lub niewidzących. Niewidząca poetka Jadwiga Stańczakowa w jednym ze swoich wierszy porównała to doświadczenie do robienia na drutach:

Dla mnie czytanie
palcami
to trochę inne
czytanie
czasami pomiędzy słowa
i zdania
coś się zakrada
coś rozsnuwa
jak gdybym robiła na drutach
albo odmawiała
różaniec.

Robienie na drutach jest czynnością stereotypowo kobiecą, z porządku krzątactwa, o którym pisała Jolanta Brach-Czaina. Metafizyczny wymiar zwyczajnej robótki dodatkowo podkreśla wzmianka o różańcu. Odmawianie różańca, podobnie jak mantrowanie, angażuje przede wszystkim zmysły. Treść powtarzanego tekstu ma znaczenie drugorzędne wobec samego aktu powtarzania w rytmie wyznaczanym przez przesuwane w palcach paciorki.

Celem takiej praktyki jest wyciszenie umysłu – spokojny umysł otwiera się na komunikaty płynące z piętra duszy głębszego niż *ego*. W wierszu Stańczakowej czytanie przypomina medytację. Nie da się przewidzieć, dokąd nas zaprowadzi, skoro coś się „zakrada" i „rozsnuwa" (sensy?). Właśnie te „rozsnucia" są w poezji kluczowe. Nie w świetle rozumu, ale tam, gdzie pod naciskiem doświadczenia kruszeją pokłady skostniałej wiedzy, rodzą się najważniejsze intuicje.

Poetka zastanawia się, czy w ogóle umiałaby pisać, gdyby widziała:

Czy byłabym poetką,
gdybym widziała?
może oczy
zakrzyczałyby we mnie
jasnowidzenia
i widzenia.

Ślepota bywa alienująca i także ten jej aspekt pojawia się w twórczości Stańczakowej, częściej jednak poetka bada to doświadczenie jako element swojego unikalnego ucieleśnienia. W niektórych wierszach ślepota pozwala jej doświadczyć zwierzęcej natury własnego istnienia:

Chodzę pływam po ociemniałym domu,
dotykam rzeczy czujkami łokci,
muskam płetwami dłoni ściany, drzwi.

Stańczakowa nie wybrała (i zapewne nie wybrałaby) losu „ślepaka", ale wzmianka o „krzykliwości" wzroku i przeczucie, że poezja pochodzi raczej z mroku niż ze światła, przemawiają także do mnie, widzącej. Z pewnością ma tu znaczenie fakt, że czytam jej wiersze w schyłkowej fazie antropocenu, kiedy ciemność jest krytycznie zagrożona. © JULIA FIEDORCZUK

Tekst jest fragmentem książki Julii Fiedorczuk, która ukaże się nakładem wydawnictwa Karakter 5 października.
Śródtytuły pochodzą od redakcji.

TOMASZ

Stawiszyński: *Władca iluzji*

„Widziałem przyszłość horroru, jej imię to Clive Barker" – powiedział kiedyś, całkiem słusznie, Stephen King. Przeczytałem te słowa w pierwszej połowie lat 90. ubiegłego wieku na kiczowatej okładce polskiego wydania któregoś tomu „Ksiąg krwi", cyklu opowiadań, które ową przyszłość zapoczątkowały. Nie wiedziałem wtedy jeszcze za bardzo, kim jest ten cały King (o Barkerze nie wspominając), ale jego nazwisko ciągle do mnie powracało. Notorycznie widywałem je na egzaltowanych blurbach umieszczanych na kolejnych książkach publikowanych przez nieodżałowanej pamięci wydawnictwo Phantom Press, a także wydawnictwo Amber – w kultowej serii „Amber horror". Zaczytywałem się wtedy bez pamięci m.in. w Grahamie Mastertonie, Guyu N. Smithcie, Harrym Adamie Knighcie, F. Paulu Wilsonie, Brianie Lumleyu czy Jamesie Herbercie – i co rusz się dowiadywałem, że każdy z nich to bez wątpienia „nowy Stephen King". Kiedy więc zobaczyłem, że ów słynny King sam z kolei poleca Barkera, natychmiast po tego drugiego sięgnąłem.

W tym samym czasie sięgnąłem też po Kinga, ale to jest już inna historia, kiedyś tu zresztą przeze mnie pokrótce opowiedziana. Dziś wracam do Barkera, bo jest to – po pierwsze – twórca nieco zapomniany, a na pewno zbyt mało doceniany, po drugie zaś, bo dowiedziałem się właśnie, że ktoś go w końcu przypomniał i docenił. W październiku Joyce Carol Oates i Clive Barker otrzymają za całokształt twórczości jedną z najbardziej prestiżowych nagród literackich na świecie – World Fantasy Award.

Ale wróćmy jeszcze do lat 90. Przyznam, że kiedy już zagłębiłem się w lekturę „Ksiąg krwi", dokonała się w mojej głowie radykalna rewolucja. Te opowiadania, fatalnie przetłumaczone, ale literacko kunsztowne, przerażające, makabryczne, ekscentryczne, niepodobne do niczego, co wcześniej czytałem, uświadomiły mi, że horror jest pełnoprawną dziedziną sztuki, której jedyne granice wyznacza ludzka wyobraźnia. Ta zaś, jak wiadomo, granic nie honoruje.

Przy czym w przypadku Barkera powyższe sformułowanie należy traktować dosłownie. „Księgi krwi" (1984-85) to seria opowiadań od biedy mieszczących się jeszcze w zdefiniowanym horrorowym kanonie, podobnie jak jego powieściowy debiut „Potępieńcza gra" (1985). Ale już późniejsze powieści – choćby „Kobierzec" (1987), „Wielkie sekretne widowisko" (1989) czy „Imajica" (1991) – konsekwentnie przekraczają wszelkie znane literaturoznawcom kategorie. Zwłaszcza „Wielkie sekretne widowisko". Nie przesadzę wcale, jeśli powiem, że to jedna z najbardziej osobliwych książek, jakie w życiu czytałem.

Podobnie osobliwe są trzy filmy, które Barker nakręcił w Hollywood. Najpierw kultowy już dzisiaj, klasyczny, choć, znowu, niepodobny do niczego „Hellraiser" (1987) – debiut reżyserski pisarza, wielki hit na podstawie jego własnej minipowieści „The Hellbound Heart" (w Polsce ukazała się jako „Powrót z piekła"). Później „Nocne plemię" (1990) – ekranizacja noweli „Cabal" – pomieszanie *dark fantasy* z horrorem, film, którym zachwycał się sam Alejandro Jodorowsky, ale który okazał się finansową klapą. Winę za to ponosili producenci, którzy wersję Barkera przemontowali i skrócili, a później reklamowali jako *slasher*, choć była to przecież mroczna, alegoryczna baśń o potworach-outsiderach. Finalny akord filmowych prób Barkera to „Władca iluzji" z 1995 r., też komercyjna porażka, też w efekcie konfliktów z producentami, którzy najwyraźniej nie byli gotowi na realizację fantazji, jakie rodziły się w głowie autora „Ksiąg krwi". Wszystkie te trzy tytuły, nawiasem mówiąc, mają dziś status kultowy, a opublikowane jakiś czas temu wersje reżyserskie „Nocnego plemienia" i „Władcy iluzji" pokazują, jak wielkie szkody poczyniła hollywoodzka machina.

Dziś ten wybitny pisarz – rocznik 1952 – jest człowiekiem mocno schorowanym. Choć nieustannie zapewnia, że pracuje nad kolejnymi książkami, od dawna nie ukazało się nic nowego – i być może już się nie ukaże. Do inspiracji jego dorobkiem przyznaje się wielu autorów i reżyserów, m.in. świetna argentyńska pisarka Mariana Enríquez, znana choćby z monumentalnej „Naszej części nocy", powieści mogącej spokojnie się równać z najlepszymi utworami inspiratora. Zarówno „Wielkie sekretne widowisko" i jego kontynuacja pod tytułem „Everville", jak „Kobierzec" i „Imajica", doczekały się w Polsce wznowień – dwóch pierwszych powieści przez wydawnictwo Replika, dwóch kolejnych przez wydawnictwo MAG, które całkiem niedawno przygotowało także nową edycję „Ksiąg krwi" – zbiorczo, w dwóch tomach, wreszcie w naprawdę dobrych tłumaczeniach. Mimo to Barker pozostaje – nie tylko w Polsce – autorem raczej niszowym, funkcjonującym w rejestrach ściśle gatunkowych.

A przecież jest on niewątpliwie jednym z najbardziej oryginalnych artystów drugiej połowy XX w. Owszem, nie każdy wytrzyma konfrontację z jego twórczością, pełną makabry, dziwnych wizji, specyficznie opisywanej seksualności czy metafizyki. Twórczość ta obejmuje zresztą znacznie więcej, niż tu ułamkowo napomknąłem – także seriale, komiksy, powieści dla dzieci, malarstwo czy gry komputerowe. Takich artystów jednak – radykalnych, bezkompromisowych, idących wyłącznie własną ścieżką – zdecydowanie w dzisiejszych skomercjalizowanych i zideologizowanych czasach potrzeba. Tym bardziej się cieszę, że komitet World Fantasy Awards wreszcie sobie przypomniał o Barkerze. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

REKLAMA

POEZJA - PROZA - ESEJE - WYWIADY

radar

TRÓJJĘZYCZNY MAGAZYN LITERACKI

Najnowsza literatura z Polski, Niemiec i Ukrainy

W NAJNOWSZYM NUMERZE:

Tamara Duda
Mateusz Górniak
Julia Ilucha

Michał Milczarek
Jan Rojewski

Daniel Kehlmann
Anastazija Lewkowa
Eva Menasse

Czytaj na **e-radar.online**, a bezpłatnego egzemplarza szukaj w księgarniach kameralnych.

Wydawca:

Instytut Kultury Willa Decjusza

Kraków

Finansowanie:

austriackie forum kultury www

oead

FUNDACJA WSPÓŁPRACY POLSKO-NIEMIECKIEJ
STIFTUNG FÜR DEUTSCH-POLNISCHE ZUSAMMENARBEIT

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

REKLAMA

BALTIC OPERA FESTIVAL

BALTIC OPERA FESTIVAL

LIPIEC 2027

Kolejna odsłona największego wydarzenia operowego w Europie

ORLEN
MECENAS GŁÓWNY

Organizatorzy Festiwalu
Opera Bałtycka w Gdańsku
SAMORZĄD WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Dofinansowane ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Partnerzy
Bałtycki Bank Spółdzielczy segno
OPERA WRZESIŃSKA
OPERA LEŚNA Powered by Energa
Sopot

Patroni medialni
tvn WARNER BROS. DISCOVERY
RMF CLASSIC
zwierciadło
VOGUE
wyborcza.pl
ORFEO
trojmiasto.pl
Newsweek
onet
ruch muzyczny
Partner wydawniczy artystycznych Opery Bałtyckiej

Partnerzy technologiczni
onex.group